

g / a / b / a / r

/ d / y / n / a /

g / a / b / a / r

d / y / n / a /

g / a / b / a / r

d / y / n / a /

g/a/b/a/r/d/y/n/a

Byliśmy partyturą, sprężystą i dotykálną.

Cisza, rozciągnięta wzdłuż naszych ciał, była osnową, dobrze napiętą i obciążoną ołowiem, aby mogła utrzymać wątek.

Chłopiec ukryty we wnętrzu krosien, mały jak na swój wiek, lecz silny i zręczny, na znak swojego mistrza unosił lub opuszczał wybrane struny, żeby dźwięk mógł zanurzyć się w ciszy albo wypłynąć na powierzchnię – ruchliwość ciszy objawiała wątek. Dźwięki spływały powoli, w równym tempie i nieruchomiały - zamieniały się w przestrzeń. Z każdą sekundą przybywało przestrzeni splecionej z wątków, fraz i tematów o dotykálnej teksturze.

Wątki, frazy i tematy o dotykálnej teksturze:

Cajg, cwelich, drelich – proleci z najniższej półki, od urodzenia gorsza służebna materia.

Ponowoczesny poliamid - ustępliwy, nie stawia oporu.

Odbija rzeczywistość, ale jej nie męczy.

Kroje bitewne:

- zasadzka w Lesie Teutoburskim - wzór męskiej marynarki

- szarża lekkiej brygady pod wodzą FitzRoya Jamesa

Somerset, pierwszego barona Raglan - koncepcja rękawa

typu raglan

- bitwa pod Marengo - wykrój spodni

- rzeź pod Austerlitz - wykrój palta

- manewr okrążający von Schlieffena - bez znaczenia dla krawiectwa

***Szmu* - to, co nigdy nie zaistniało. Inaczej: ścinki.**

Dublura - podszewka, miejsce gdzie dusza styka się z ciałem, zwana również szyszynką Kartezjusza

Dopinana Pasmanteryjna Tożsamość

Ciąć czy drapować? - krawieckie „*unde malum*”

Hugo Boss w poszukiwaniu czerni absolutnej

Kiedy mundury tracą pamięć?

Ciałowędrowanie Leonida B-jcewa, czyli wojenny transwestytyzm

Krojenie versus dzianie - inaczej: Krawiec Sześciodniowy kontra Wieczny Dziewiarz.

Literacka Taksydermia, inaczej: wypychanie faktów, inaczej: realizm

Dlaczego „nie strzela się do garnituru za dwa tysiące dolarów“?

„Tylko płaszcze i kapelusze!” (Kartezjusz)

Dzień dłuższy o łokieć budził farendyny i jedwabie.

**W maju wracały batysty i kolorową chmarą zlatywały
wprost na ladę. Letni świt wstawał mglistym krepdeszynem,
a ciężkie falandysze i marengi, kosmate lodeny i multony
chowwały się przed promieniami słońca w najciemniejszych
zakamarkach Sklepu. Jesienią dni filcowały się, kurczyły,
ciemniały - opadały na sklepową ladę wełnami z
Manchesteru i Bielska.**

**W solidnym wszechświecie z dębowych półek pory roku
toczyły się kolistym wirem, wywyższając jednych, poniżając
innych, żeby za chwilę odwrócić wszystko. Śmierć nie
istniała, był tylko sen i przebudzenie.**

Aż utraciliśmy raj.

**Odtąd Nasz Pan z totalitarnym okrucieństwem ogłaszał
swoje wyroki w dziale mody „Mojej Przyjaciółki“. Już nie
liczyła się długość dnia czy połyskliwa tekstura powietrza.
Sklepowe półki zamieniły się obozowe prycze. Każdego dnia
na porannym apelu subiekt K-z stawał pośrodku Sklepu,
stukał drewnianym metrem o blat lady i wyczytywał z kartki
nasze imiona:**

szagryn

trypa

welur

perkal

Ktoś, kto był tutaj od zawsze, nagle zniknął, nie wiadomo, gdzie. Na jego miejscu pojawiali się pupile dyktatorów, sezonowi komisarze, jakaś kasha z kóz tybetańskich, szorstka bureta, czy ten obrzydliwie cuchnący, nagumowany burberry! Nikt nie wiedział na kogo dzisiaj wypadnie. Czasem wystarczył kolor, aby uczynić kogoś królem. Pamiętam, jak pewnego wiosennego dnia, właściciel Sklepu, Mojżesz H-nn, pochylony nad gazeta krzyczał

- To koniec! Wojna! Jestem zamordowany!

To prawda! Wojnę kolorom w naszym sklepie wypowiedziała niejaka Elsa Schiaparelli, wszechświatowa dyktatorka mody. Masakry w ciągu jednej nocy dokonali jej najbardziej osławieni generałowie: Wściekły Róż, Żółć Siarkowa i Szmaragdowa Zieleń. Trwał terror kolorów, padały szarości i brązy, beże i biele - bele wywożono na wózku jak zwłoki i pakowano do samochodów. Co się z nimi stało? Nikt z nas tego nie wiedział, lecz kiedy na polu walki pojawił się Metaliczny Żółty, H-nn ze łzami w oczach ogłosił kapitulację. Nigdy nie zapomnę tej sceny: oto Dobry Pasterz trzyma w

ramionach kupon białej jagnięcej wełny i razem z niechcianym stadem odchodzi na wygnanie.

- Czemu? - pytałem. - Czemu zwężają się klapy i opada talia?

Czemu czerwony, a nie pomarańczowy? Czemu flausz, a nie moleskin? Czemu dymna wstążka Abla, ta z ofiarnego tłuszczu, a nie wonne smugi ziół, które uprawiał Kain?

Taki Abraham dobrze poznał Boski fason, ten unikalny sznyt, więc o nic nie pytał, tylko posłusznie ułożył swojego syna na całopalnym stosie. Abraham nie zadawał pytań, za to Kain ciągle marudził

- czemu, czemu, Panie mój?

W końcu zapragnął Kain tej siwej wstążki, która strzela prosto w niebo - wstążki Abla. Chciał tego, co ma Abel, jego brat, którego imię znaczy „pustka, czczość”. I tak oto został Kain pierwszą ofiarą mody.

Trwali od wieków na najniższych półkach.

Nie obawiali się żadnych „wojen”, ani „rewolucji”, żadnych „królów sezonu”, „tres chic” czy „absolutnie-musisz-to-mieć”. Stworzeni tylko do pracy, potrzebni wszystkim i przez wszystkich pogardzani, niewidzialni, omijani wzrokiem: barchany, trypy, felpy, o imionach szorstkich i brzydkich, jak one same. Cajg, cwelich, drelich - od urodzenia gorsza

służebna materia, zawsze na wysokości butów, zszarzali i zakurzeni, bo subiekt K-z rzadko omiatał ich szczotką.

„Proleci”, „plebejusze”, „lumpy” trzymali się razem, czekając na swój czas: letnie żniwa, jesienne wykopki, wożenie węgla zimą. Z wierzchu pokryci grzecznym glancem z krochmalu i mydła, w środku wciąż byli twardzi i zadziorni. W łykowatej pamięci nosili ostre drzazgi z kory i dobrze pamiętali łodygi roślin, którymi kiedyś byli. Ta nieodległość od natury budziła lęk K-za. Marzyły mu się aksamitne rewolucje, ale wiedział, że te, które nadchodzą będą miały twardość konopnego sznura. Widziałem, jak pewnej nocy przyszedł do Sklepu, pochylił się - a zrobił to tak, jakby się kłaniał czapką do ziemi. Potem ukląkł i z czołem przy podłodze, delikatnie wysunął całą tę mroczną grupę z szeregu. Nie, nie ośmielił się tknąć ich szczotką, tylko nabrał powietrza w płuca i cicho westchnął: phuuuu!

Za drzwiami, w dostojnym półcieniu, skupiła się grupa żałobników: czarna bombazyna, mora, wdowi woal.

Kir konfekcyjny niczego się nie obawiał, przynajmniej do czasu, aż śmierć nie wyjdzie z mody. Jednak nie zanosił się na nieśmiertelność, więc spali spokojnie.

Ich koniec przyszedł nagle. Zabiła ich śmierć - źle

wykończona, o niechlujnym fasonie, łatwo dostępna i tania. Masowa śmierć krojona na tłumy, seryjna produkcja: karabinowy sznyt, gaz, bomby spadające z nieba. Zniknęła detaliczna żałoba, jednoosobowe pogrzeby z „przyczyn naturalnych“, zniknęły karawany ze srebrnymi koronkami, konie ubrane w czerń i pióropusze, konduktory – cała ta czarna klaunada, staroświecki cyrk sunący ulicami. Przeszliśmy pytać o krepy na rękaw, gęste woalki, tiule i gipiury - masowy żal obywateli się bez tekstylnych celebransów, więc odeszli. Subiekt K-z pochował ich gdzieś na zapleczu Sklepu, ale nikt nie wie – gdzie.

O niej też muszę wspomnieć, choć nie jest jedną z nas. Nie bywa królową sezonu, moda jej nie dotyczy - nie mam pojęcia, co robi w naszym Sklepie! Jej miejscem powinien być pasmanteryjny kramik za rogiem ulicy, pośród tasiemek i haftek, w chaosie drobiazgów, które nie są prawdziwą materią, a jedynie konstrukcyjnym detalem, zawsze dobrze ukrytym pod powierzchnią ubrania. Klient nigdy nie wymawia jej imienia, tylko zawstydzony wskazuje palcem różową mięsistość i mówi - proszę kawałek „tej“.

Niewymawialna leży samotnie obok atlasów, K-z tnie ją na

zapleczu nożem do skór.

„Ta” - gumelastyka, cielista matka rodu, obsługuje gumowe pasy do pończoch, gorsety, biusthaltery, czasem inne konstrukcje o nieznanym przeznaczeniu.

- Dobrze trzyma! - krótko mówi K-z.

Jest powściągliwa i twarda, okrutna dla wszystkiego, co nieforemne i bezbronne. Nadaje kształt, modeluje i dręczy, lecz z czasem mięknie, zwykle na starość. Szybko się starzeje i kruszy z powodu swojej podwójnej kauczukowo-nicianej natury. Nikt z nas nie podejrzewał, że już niedługo Matka Materia wyda na świat bardziej elastyczne pokolenie: ponowoczesny poliamid. Ten ustępliwy jest, nie stawia oporu, niczego nie wymusza, nie uwiera, tylko dobrze się naciąga, a potem bez wahania wraca do dawnego kształtu. Odbija rzeczywistość - ale jej nie męczy. Znikną wielkie narracje, zewnętrzne rusztowania, niezrozumiałe konstrukcje, które zamiast odbijać rzeczywistość, w istocie ją uciskają. Świat otrzyma „drugą skórę” bez szwów, giętką i lekką, wieczną młodość bez zmarszczek. To wszystko dopiero się wydarzy. Na razie gumelastyka śpi na półce, śmieszna, staroświecka, ciężarna czasem, o którym nikomu jeszcze się nie śniło.

Trzecia półka od góry na wprost drzwi.

To moje miejsce, najlepsze miejsce w całym sklepie. Na imię mam Gabardine, chociaż... subiekt zwykle mówi o mnie:

ONO.

Kiedy do Sklepu przychodzi klient, K-z wyłuskuje mnie z równego szeregu, rozwija, narzuca sobie na ramię i pozwala zwisać luźno.

- Proszę tylko spojrzeć, jako ONO pięknie się układa! - mówi.

ONO to chwyt - sposób, w jaki opieram się dotknięciu, wewnętrzna siła, niewidzialne sedno. Możesz mnie ścisnąć w wilgotnej pięści, policzyć do dziesięciu, a ja, nietknięty, niezmięty, rozkwitnę na twojej dłoni. ONO to głęboko ukryty charakter, coś o czym nie mamy pojęcia, dopóki nie nadejdzie czas próby.

O zakazanych walkach krążą legendy.

- To szaleństwo! - mówią wszyscy i stukają się w czoło.

- Kto mógłby robić takie rzeczy?

A jednak!

Kiedy wieje naprawdę mocno, K-z wynosi bele materii na dach Sklepu. To zabronione, właściciel H-nn nie może się o tym dowiedzieć, dlatego K-z robi to zawsze nocą. Zaprasza kilku wybranych subiektów, robią zakłady, K-z pisze kredą

na dachówce nasze imiona. Uderza metrem o blachę rynny - gong!

Najgrubsi z nas długo nabierają powietrza, wciąż się wahają. Mięsisty flausz ściele się po pierwszym ciosie i nie może się podnieść. Subiekci znoszą go z dachu, wiatr szaleje. Kiedy na ring wchodzą cienkie krepdeszyny, już po paru sekundach odlatują rozszarpane na strzępy. Nawet najbardziej twardzi są bez szans - nie potrafią się odgiąć, zapomnieć, zbyt długo zachowują blizny, - prostolinijne liny nigdy nie odzyskują gładkości. To nie ich wina, tak zostali zrobieni. W końcu przychodzi moja kolej. K-z odwija mnie z beli, trzy metry - tyle wystarczy. Gong! Zaczyna się walka. Najpierw badam siłę powietrznej pięści, szukam kierunku, z którego uderzy. Wiatr tańczy wokół mnie, a ja odchylam się na wszystkie strony. Robię uniki, on prześlizguje się po mnie - nie pozwalam się dotknąć! Kiedy spada na mnie cios z góry, spiralny ruch skręca mnie jak linę. Próbuję się odwinąć, ale następny cios zgina mnie w pół - leżę rozpostarty, wiatr tłucze mną o dachówki, jak epileptyk podnoszę się i opadam, zwisam z dachu. Na poddaszu panna W-n patrzy w okno i wzdycha

- Znowu ta gabardynowa noc!

K-z oparty o komin, pali papierosa, nic nie mówi, ale ja wiem, jak bardzo podziwia moją taktykę. Pasma dymu z komina, jak kosmyk szarej owczej wełny, ociera się o mnie – właśnie na to czekałem! Chwytam go mocno. Dym szamocze się, wierzga, chciałby zrzucić mnie z grzbietu. Rozluźniam włókna i roztargniony wiatr wkręca się w mój splot, gubi w skośnych tunelach. I wtedy robię to, na co czeka K-z: naprężam wiązania! Wiatr chciałby się ze mnie wydostać, ale to niemożliwe – jest we mnie, JEST MNA! Przegrał! Koniec walki! Gong!

Subiekci biją brawo.

- Gabardine to prawdziwy szampion! Jak on tańczy w powietrzu! Widzieliście? - zachwyca się subiekt ze sklepu narzędziami rolniczymi.

- Całkiem jak „Mucha” Szapsel! Prawdziwy Szapsel Rotholc! - dodaje inny.

K-z tylko kiwa głową.

- Gabardine jest wyjątkowy! Zobaczcie, jak ONO dobrze się układa!

CO ZNACZY DOBRZE SIĘ UKŁADAĆ?

Wszystko, co istnieje, ma swoje miejsce tak, gdzie wątek przecina się z osnową. Włókna zderzają się ze sobą pod

rozsądnie prostym kątem, bo taki jest porządek

Kartezjańskiej pajęczyny i nie nie można na to poradzić!

Prostopadła nuda wikła ruch, zaciera kształt, i wszystko, co żywe, zamienia się w martwy punkt.

Ja jestem inny! W tym prostopadłym świecie jestem – skośny! Bez najmniejszego trudu splatam przeciwieństwa w skośne prążki, a moją bronią jest skos - włócznia wbita w gardziel kąta prostego.

Dawno temu, nad jeziorem Silvaplana, filozof Nietzsche przypadkiem otarł się o mnie. Miałem akurat kształt gimnazjalnego mundurka. Fryderyk dotknął mnie i pojął od razu! Byłem tym, co poznaje się opuszkami palców - tak poznawał Tomasz, nazwany Niewiernym, jakże niesłusznie, skoro dotknięcie jest najwyższym sposobem poznania, a wierność, z jaką świat objawia się naszym palcom, nie da się z niczym porównać! Byłem czymś dawno zapomnianym, PRA-DESENIEM o którym Filozof śnił w krótkich chwilach wolnych od bólu głowy. Nietzsche nazwał mnie Zaratustrą, „najwyższym jestestwem”, które, jak powiedział, „dostępne jest wszelkim przeciwieństwom.”

Spójrzcie na mnie! Jestem pełnią gęstą od paradoksów. Nie mam lewej ani prawej strony, góry ani dołu, powierzchnia i

głębia są tym samym. Nie jestem szczególnie męski, lecz i nie damski – a to oznacza, że bez problemu spełniam marzenia wszystkich możliwych płci. Nawet pory roku nie zostawiły w moim ciele żadnych wskazówek:

„ponadczasowy” - tak o mnie mówią. A jakie jest moje przeznaczenie? Ja nie potrzebuję przeznaczenia! Mogę być wszystkim, czym tylko zechcę. Żaden pasiasty deseń nie skazuje mnie na los obicia - kanapy czy fotela; żaden kwiatowy tik, czy konstelacja kraciastych nawyków, żaden srebrzysty szych lub pasma złotej folii nie mówią mi, kim mam zostać! Lecz najważniejsze jest to, że Gabardyną nikt się nie rodzi! Nie ma znaczenia skąd jesteś i z czego cię zrobiono. Możesz być nikim - konopną zdzierą, kłakiem niesionym przez wiatr, zgrzebnym wyczesem - jeśli masz skośny splot, polot i dobrze się układasz, zaczynasz rządzić światem! Bo gabardyna to sposób bycia.

Najdoskonalszy z możliwych.

Kiedy zapada szara godzina i klientów nie ma już w sklepie, subiekt bierze książkę, siada pośrodku Sklepu i przez godzinę lub dwie napawa nas pięknem, żebyśmy przez noc, jak mówi, „nie zeszmacili się zbytnio!”

K-z mówi, że książki to są bele materii tkane każda swoim

splotem, że opowieści z dziania się biorą i tylko my jedni naprawdę dobrze je zrozumiemy.

Różni są tkacze, bo każdy inaczej zadzierzga początek, inaczej rozstawia wątki, inaczej dociska grzebieniem. Jedni tak gęsto dzieją, że nic nie widać, poza tym, co sami utkali. Za to inni, specjalnie rzadzizną plotą, żeby im życie prześwitywało. K-z rozsuptuje czarne, drobne kłaczkę, splątane na białym papierze, a one, płynąc przez powietrze, wpadają w nasze sieci. Rośniemy od tych słów, puchniemy, przez co lepiej widać sploty nasze rodzone, bo, jak mówi K-z, od tego leżenia na półkach robimy się płascy i nie chcą nas kupować.

Pamiętam, jak któregoś wieczora, przed zamknięciem, głosem grubym i szorstkim jak okrętowa lina, rozwinął przed nami zadziwiająca tkaninę. Z początku zmylił nas jej wzór, bo na powierzchni prości marynarze ścigali wielką rybę, lecz gdyśmy dobrze się zanurzyli, pod powierzchnią głębia się otworzyła, tak niepojęta, że widać było to, czego nikt dotąd nie zobaczył.

- „Oto są krosna czasu, a ja jestem członkiem mechanicznie tkającym Przeznaczenie!”

Tak powiedział Ismael, wielorybnik.

Proleci z najniższych półek miękną ze wzruszenia, marząc cicho o swoim własnym „Ismaelu”, który by ich głębią obdarzył, bo płasce są od urodzenia, wzory mają drukowane od sztancy a nie plecione ręką artysty, farba na drugą stronę im przemaka i rozmazani żyją bez wyraźnych konturów.

Dla ekscentryków K-z szykował jakiś modny rarytas.

Pamiętam jak raz stanął przed półką z dwubarwną pepitą i zadzierając głowę, jak Romeo pod balkonem Julii, przeczytał - ...pepita stała się dla niego symbolem cudu, tęsknił do niej zawsze, jak do utraconego raju. Żył tam wśród krzyżujących się czarnych i szarych pasków jakimś wspaniałym nieznanym życiem.”

I teraz wszyscy zazdrozczą pepicie! Patrzą na nią z szacunkiem, choć na tej swojej półce leży od wieków i tylko raz ją kupił jakiś Witkacy, przejazdem będąc w Miasteczku. Na spodnie. Metr dwadzieścia.

I ja mam swoją materię ze słów. Lubię słuchać o czarnym gabardynowym płaszczu. Kiedy słyszę: „Burza znowu nadchodzi! Najlepiej jeśli wpełznę pod jego gabardynę; nie ma tu innego schronienia.” - już wiem, kim będę w przyszłości, bo czy nie o to chodzi w tych tkanicach z

czarnych kłaczków, że nas przepowiadają?

Oto ja, czarny Kaliban z błotnej ziemnej materii, czekam, aż moja Miranda stanie przede mną, a ja ochronię ją przed burzą! Ona nauczy mnie miłości, a potem... Potem nas rozdzielią.

- Nice na wierzchu! Lewa strona - to co widać! - krzyczy K-z, kiedy klienci pytają, która strona jest prawa.

Kto chce zobaczyć prawdę musi zajrzeć do środka, bo prawda o nas ukryta jest w zagięciu, które biegnie wzdłuż beli. K-z ze znudzoną miną chwyta brzeg materii, odwija szybko, jak magik - między prawą i lewą stroną nie ma niczego poza ruchem ręki. Furkot kurtyny i rozmyta zielona plama zamienia się w biegnącego psa. Czarne staje białe. Fala jest punktem, pustka pełnią. Aplauz i zachwyt.

- Nie do wiary! - szepcze klient i sam próbuje tej sztuczki.

Wiele razy macha skrajem materii, najpierw powoli, a potem szybko - chciałby przyłapać skręt nici na oszustwie, zobaczyć trick zmieniający deseń w tło, zobaczyć ukryte pęknięcie, w którym przez ułamek sekundy nicość i wzór są tym samym.

Kiedy jesteś belą materiału w sklepie bławatnym Mojżesza H-nna, dobrze wiesz, że ruch to złudzenie!

Ruch jest kłamstwem powierzchni, bo im bardziej nieruchomo tkwisz na swojej półce, tym więcej w tobie bezkresu - tylko w najgłębszym sednie przekracza się granice. Ściśnięci na dębowych pryzkach uwielbiamy dalekie podróże.

- Dokąd dzisiaj? - pyta K-z. - Miękki tybet w kwiaty, panama czy jersey? A może skośne toledo, albo nankin, żółty od wód Jangcy?

Kiedy pojawia się ktoś nowy, przywieziony przez H-nna z podróży, K-z krzyczy

- Uwaga! Trzymać się! Przed nami prążkowany manchester! W planach na ten dzień mamy jeszcze bawełniany oxford na koszule i pościel, i tweed, szary jak szkocka rzeka - na jego powierzchni połyskują barwne punkty, jak grzbiety kolorowych ryb.

Do sklepu wchodzi stara pani W-i, żona rzeźnika. Siada w fotelu, bo męczy ją artretyzm. Mówi, że doktor zalecił jej na lato przewiewny milanówek na piaskowym spodzie.

Rewolucja Jacquarda odwróciła stary porządek.

Precz z królami! Od dziś królem jest Równość i

Powtarzalność! Gra pianola Jacquarda, syczy para wodna, mechaniczne czółno tłucze do taktu okutym szpicem i -

**voila! Spływają na ziemię gotowe melodie jednakowe i tanie.
Drze się kolorowy zgiełk. Hałaśliwy wzór stał się królem.
Powolne utwory nie rosną już miesiącami na domowych
krosnach, żakardowa rewolucja uwolniła chłopca, ukrytego
we wnętrzu krosien, który unosił i opuszczał nici osnowy -
teraz wszystkim rządzą dziury w tekturze, perforowana
karta, cud nad cudy! Kiedy dziura jest - nic wypływa na
powierzchnię, a gdy dziury brak - chowa się pod osnową.
Proszę, jakie to proste! Tylko puste i pełne, zero i jeden - a
potrafią stworzyć cały świat! Domowe czółenko, ciągnące
wątek między falami osnowy, stało się wielkim drewnianym
klocem o końcach obitych blachą. Kiedy wyleci z maszyny -
wbije się w ścianę hali fabrycznej lub w ciało robotnika.
Robotnika - nie tkacza, bo teraz maszyna jest tkaczem.
Maszyna się nie myli, tylko zrywa wątek, a wtedy trzeba
uciszyć maszynę i związać temat na nowo. Z zerwanego
wątku nic nie wynika, oprócz zmarnowanych nici i
mniejszego zarobku. Maszyna nie bawi się swoim błędem,
nie podąża za nim, nie tworzy nowych form, jak palce tkacza
skłonne do omyłek.
H-nn sprowadził do Sklepu krótkie utwory z Roubaix. Wiszą
teraz w Sklepie krzykliwe bitwy, bukiety w wazonach,**

Madonny z dzieciątkiem, Ukrzyżowania - z frędzlami lub bez. Wiszą, ale „nie idą”! Klienci zbliżają się, dotykają, syczą jak maszyna parowa

- csssso za misssssterna robota!

I szybko odchodzą. Sami nie wiedzą - dlaczego?

Ja wiem. Ten nieoczekiwany zapach maszynowego smaru.

Czemu nie zapach drewna, z którego zbudowano krosna?

Barwinka zbieranego na łące? Czemu nie lanolinowy zapach owczego runa? Fabryczna woń nad łóżkiem w sypialni?

Mechaniczne utwory, mimo zachwyty, słabo się sprzedają, więc K-z przypiął kartkę

NIE PODCHODZIĆ! OGLĄDAĆ Z DALEKA!

Zmaterializowany czas przybywa do naszego sklepu w wielkich drewnianych skrzyniach.

Właściciel Sklepu osobiście otwiera każdą skrzynię i węszy.

Pierwsza woń, tuż po otwarciu skrzyni, to esencja czasu.

H-nn, doświadczony kiper, od razu rozpoznaje intrakty strachu - macerowane w nienawiści przez długie lata

wybuchają ostrym zapachem. Zna je wszystkie, zna je

dobrze, nasiąkał nimi od dzieciństwa. Czasem jednak

pojawia się nieznana nuta, coś czego H-nn nie umie nazwać.

Wtedy długo stoi nad skrzynią z zamkniętymi oczami.

Potem z każdej beli wysuportuje pojedyncze włókna, bada skręt - w lewo czy w prawo? To prosty podział, ale H-nn boi się, że czas wymyśli bardziej pokrętne idee: prawolewy?

Narodowy socjalizm? Lewicowy kapitalizm?

Każde zawirowanie rozciera w dłoniach, przyczyny, cienkie jak włos, kleją mu się do palców, a on przygląda im się uważnie: kto zakręcił wirem, a kto został wkręcony, bo stał w pobliżu? Kto jest najbardziej uwikłany, a kto odpada, ledwie przetrze się dłonią burzliwą powierzchnię? H-nn nabiera powietrza, dmucha - w rękach zostają mu najtwardsi. Zawsze ci sami, H-nn już ich zna, więc teraz tylko wzdycha.

Ucina wąski pasek materii, podchodzi do okna - bada pod światło ukryte pakty, próbuje zerwać koalicje, szarpie, sprawdza ich moc. Niektóre, te najbardziej widzialne, rwą się przy pierwszym dotknięciu. Najgorsze są te ukryte, zawarte w tajemnicy - te bywają najmocniejsze. Ogląda barwy - to czas mocnych kolorów. Czerwień, jak czerw. Czerń, jak cierń. Pacyfistyczna biel wydaje się taka bezbronna.

Na koniec robi to, o czym nie wie żaden klient - nikt, nawet K-z! Zdejmuje ubranie, marynarkę, spodnie, kalesony z

białej bawełny, układa je starannie na krześle obok i kiedy jest już zupełnie goły - wchodzi do skrzyni. Owija się materia, leży tam z otwartymi oczami cały dzień i całą noc. Chce poczuć czas na własnej skórze, jego zapach, teksturę, chce doświadczyć czasu wszystkimi zmysłami.

Rano wstaje, ubiera się i wyrusza do kawiarni, gdzie przy stoliku czekają już na niego niecierpliwie Miasteczkowi notable. Najpierw kawa i rogalik z masłem, a potem H-nn strzepuje okruszki, wyciera ręce serwetą i opowiada.

Wszyscy słuchają, zadają mu pytania, a H-nn palcami drobi, nawija i odwija, wyszarpuje, żeby nawet ci, co źle słyszą, wszystko zrozumieli. W dzień targowy, przed kawiarnianą szybą, zbierają się chłopci, oni też chcą zaczerpnąć nowin z pierwszej ręki. Stoją i oglądają na szklanym ekranie ostatnie wiadomości ze świata.

Faszyści pojawili się w naszym Sklepie w skrzyni nadesłanej z Włoch. Wojna w Abisynii zsiadła się, jak mleko, i jedyne, co po niej zostało to wełna robiona z mleka, lanital. Mówią, że kiedy nasiąknie deszczem - cuchnie mozzarellą! H-nn obchodzi skrzynię dookoła, lecz nawet jej nie dotyka. K-z otwiera pokrywę i robi coś, o czym będzie opowiadał do swojej śmierci: odcina nożyczkami kawałek włoskiej materii,

podaje H-nnowi, a ten obraca ją w dwóch palcach i ...
wkłada sobie do ust! Zamyka oczy, żuje powoli i wypluwa.
Skrzynię każe natychmiast odesłać. Nie każdy ma ochotę
zjeść na kolację własny płaszcz! Kiedy przyszła oferta
niemieckiej wełny z rybiego mięsa – nie chce o niej słyszeć!
- Gdy budzi się wojenny rozum, świat wypełniają potwory!
Mówię wam, niedługo będą robić coś z ludzi! Z ich włosów,
zębów, kości... - szepcze potem w kawiarni.
- Eeee... - mecenas M-r wnosi sprzeciw.
- Ależ tak! Włókno da się ukręcić ze wszystkiego! Ze
wszystkiego! Ja się na tym znam!
- Eeee... - mecenas M-r podtrzymuje sprzeciw.
- Trzeba tylko stworzyć chaos, który wszystko zmiażdży,
rozerwie na strzępy, rozetrze na puch... - nagle twarz H-nna
staje się szarą flanelą, którą ktoś chwycił w garść i zgniótł.
ONO nie chce się odgiąć i trwa, bo zrobione jest z rozpaczny.
Po Nocy Kryształowej H-nn już nie wchodzi do skrzyni, mówi,
że czas go rani i potem zbyt długo dochodzi do siebie.

Twardy posłaniec wpadł z wiadomością do naszego Sklepu
przez wystawową szybę. H-nn podniósł kamień owinięty w
papier i przeczytał wiadomość. Brzmiała tajemniczo

SWÓJ DO SWOJEGO PO SWOJE.

Nie mieliśmy pojęcia, co się teraz wydarzy, więc na wszelki wypadek każdy nas zanurzył się w sobie głęboko – badaliśmy własną „swojskość”. W ciszy, dyskretnie, szlakiem rodzinnych sieci rozplątywaliśmy włóknistych przodków do czternastego pokolenia wstecz, wedle norymberskich zaleceń. I każdy coś znalazł, coś „nieswojego”: maszynowy melanż z przelotnym kłakiem bawełny, lub tajemniczy mezalians z jedwabną nicią! Bez wątpienia, wszyscy byliśmy *mischlingami!* Nawet wełny „setki”, te, podobno, stuprocentowo czyste!

W niedzielę H-nn wyłożył na wystawie belę pięknego kremowego kaszmiru. Panie z różańcami w dłoniach, wracające z kościoła przystawały i wzdychały z żalem, a już w poniedziałek przyszedł do Sklepu mecenas M-r. Mecenas w Sklepie nigdy nie bywał, a teraz nagle wyciągnął kartkę i wyczytywał nasze imiona, a przy każdym - numer.

- Ten kaszmir z wystawy – 3,50. Jedwab biały – 5,2. Perkal w grochy – 3 metry.

K-z wszystko pakuje w paczki, na każdej pisze cenę, a M-r obładowany materiają wraca do swojego biura, gdzie już czeka na niego kolejka czystokrwistych dewotek. Kobiety

odbierają zakupy, płacą, lecz nie dziękują - Mecenas wie, że nigdy nie wybaczą mu swojej winy!

- Jesteśmy jak pogrzebacz, którym inni wygarniają własne grzechy z piekielnego ognia! - mruczy M-r.

Nadeszło lato.

Na ladzie bojówkarze Schiaparelli pod wodzą Wściekłego Rózu toczą operetkową wojnę z kretonami, wiejskimi osiłkami, o niechlujnie nadrukowanych wzorach.

Proleci z najniższych półek dostąpili nagłego wywyższenia na ladę - zaczęły się prace w polu. Poszukiwani, niezbędni zaczęli „schodzić”. Patrzą na nich z zazdrością, bo ja wciąż czekam - czekanie wplata nicość we wzór terażniejszości i zanim się spostrzeżesz, to, czego nie ma, staje się wszystkim, co masz.

Pamiętam słowa, którymi subiekt napawał nas o szarej godzinie. Wersy, równo wiązane z sześciu nitek, jak heksamit, na osnowie rytmicznej od uderzeń wiosł płynęły bezmiarem epickiego morza. Końce miały z jednego boku zasupłane rymami, żeby się nie roztargały w mówieniu. Opowiadały o kobiecie, która czeka. W dzień dzieje czas, a nocą go niszczy, więc czas stoi w miejscu, a jej zalotnicy, sami o tym nie widząc, utknęli w pułapce czasu. Wiem

**dobrze, Penelopo, czym jest czekanie. Czekanie tak dotkliwe, że rani palce. Bo kiedy jesteś belą czarnej gabardyny w sklepie, w twoim życiu nie ma niczego, poza czekaniem////////////////////////////////////
////////////////////////////////////
///**

- Nasze widelce mają się lepiej od nas! I nasze zęby, nasze domy. Myślisz, że się uda?

- Dafnis się udało.

- Ale jak bardzo trzeba uciekać, żeby stać się drzewem?

- Och! Nie nazywaj tego ucieczką! Trzeba tylko przekroczyć granicę, odwrócić los jednym ruchem, tak jak odwraca się materiał w sklepie bławatnym H-nna, a wtedy rzeczy nas ocala! Przecież nasze widelce, nasze zęby i nasze domy mają się lepiej od nas!

- Ulga- materia?

- O, tak! Wiesz, kiedyś obudziłam się w nocy, tamci już weszli do naszego domu, czegoś szukali, krzyczeli, a ja wcale się nie bałam!

- Nie bałaś się?

- Nie. Byłam porcelanową tancerką za szybą kredensu, tą która stoi na jednej nodze i za chwilę robi piruet. Ulga- materia.
- Podobno Kierkegaard chciał być srebrnym widelczykiem. Chyba widziałem taki widelczyk u mojej ciotki, nie pasował do kompletu – to musiał być on!
- Myślę, że lepiej być guzikiem, jak Peer Gynt. Nie rzucać się w oczy, nic nie znaczyć, zgubić się w szparze podłogi, pod deskami, na strychu, w szafie, tak żeby mnie nikt nie znalazł.
- Albo kwartetem Haydna. Płynęłabyś w powietrzu, zupełnie niewidzialna i nikt nie mógłby cię złapać.
- „Burza nadchodzi! Nie ma tu innego schronienia”. Trinkulo wpełzł pod czarną gabardynę Kalibana. Ocalił go czarny gabardynowy płaszcz.
- Życie bez tego, kto żyje.
- Łza bez oka. -
- Opowieść bez opowiadającego.

Adina B-g, zwana również Adą, Aduszą lub po prostu Duszą, bez końca omawia z przyjaciółkami szczegóły mojego wyglądu.

Wszystkie odradzają jej związek ze mną

- za gruby

- za szorstki

- nie ułoży wam się! Będziesz się wstydziła wyjść z nim na ulicę! Podobno Sara związała się z kimś takim, wzięła go ze sobą do Ameryki, a tam wszyscy się z niej śmiali!

Dusza jednak kicha na to, bo dusza zawsze kicha, kiedy nie wie, co powiedzieć.

Nie potrafi tego wyjaśnić, ale wie na pewno, że jest za późno. Stało się! Pragnienie, które nie wie, czego pragnie, wymknęło się z Jej rąk, jak dziecięcy balonik, i płynie nad Miasteczkiem. Wiem, że któregoś dnia, zatrzyma się nad sklepem H-nna, rzuci na mnie swój cień i pragnienie, które nie wie, czego pragnie wypełni swój pusty kontur skośną gabardynową czernią. Wtedy Ada, zdrobniale Adusza, a dla przyjaciół po prostu Dusza, wejdzie do Sklepu, stanie przed kontuarem i zapyta o mnie. Subiekt wyłuska mnie z trzeciej półki od góry, naprzeciw drzwi, chwyci cygarowaty uchwyt rdzenia, który tkwi we mnie, jak drewniany surogat duszy,

**rzuci na ladę i pach-pach- pach! I rozwinę się, rozleję
czarnym strumieniem. Dusza wypowie słowa, które sprawią,
że zostanę zmierzony i policzony, a potem pochyli się nade
mną szukając w ciemnej tafli swojego odbicia. Zanurzy we
mnie dłonie i powie: oto jest ten, którego szukałam!**

**- Brązowo nakrapiana dublejka - ogromna wytrzymałość!
Dwustronny double-face, nie trzeba szyć podszewki, bo ta
żółta krata pod spodem w pełni ją zastępuje. Różowo-zielony
fil-a-fil, dwa najmodniejsze kolory w jednej cenie. Gruby
homespun ze Szkocji. Na lata!**

**Głosem, najtańszym jaki ma w asortymencie, K-z klepie
swoją litanię dla ubogich. Tym samym głosem, wypowiada
swoje słynne zdanie: „proszę mnie nie obrażać a siebie nie
ośmieszać!”, kiedy klient ośmieli się zadać jakieś pytanie.
Zamarłem!**

**Oto Dusza zstąpiła do sklepu bławatnego H-nna, żeby
oprząść materia swoją dziwaczne krzywizny - a subiekt Jej
nie rozpoznał! A na dodatek składa najbardziej obraźliwe
propozycje! No i ten głos! Gruzłowaty i szorstki jak konopny
sznurek. Czemu nie odezwał się altembasem - złotogłowiem
- cudownie łaskotliwym, królewskim aksamitem z paskami**

złotej folii drżącymi metalicznie pośród miękkiego runa. Chociaż, prawdę mówiąc, głos ten wydobył z siebie tylko jeden raz i to nie bez trudu, kiedy do sklepu zawitał hrabia Ba-cki z młodą kochanką.

Jeśli nie przemówił złotogłowiem, czemu nie zagał ot, choćby ermezynem! Ermezyn, głos wyjątkowy, mieni się jaskrawo DWOMA różnymi kolorami JEDNOCZEŚNIE!

Szczerze podziwiam ten głos, podziwiam go, jak cyrkową sztuczkę, bo kiedy do sklepu przychodzi mecenasowa M-r, Subiekt, jak oszalały biega między półkami i w zależności od miejsca, w którym właśnie stoi, w jego głosie słysząc melancholijną czerń lub pełną zazdrości żółć. No cóż, nie mogłem się spodziewać, że przemówi ermezynem - ten głos był zarezerwowany tylko dla jednej osoby. Na szczęście - myślałem - nie zabrzmiał dwulicową satyną! Nienawidziłem tego głosu, był obrzydliwie śliski z jednej, a matowy z drugiej strony. K-z kusi nim urzędniczki z magistratu opowieściami o wytwornej bieliźnie.

Dusza kichnęła, pociągnęła nosem i powiedziała

- Sama nie wiem...

- Proszę mnie nie obrażać, a siebie nie ośmieszać! Niech panienka powie, czego właściwie tutaj szuka?

**Uważaj! Nie bierz tego pytania do ręki, Duszo moja!
CZEGO -----WŁAŚCIWIE-----TUTAJ? Słowa prawie bez
znaczenia, nie do rozpoznania w tłumie, niewinni posłańcy
doręczający upokorzenie, sami nic o tym nie wiedząc! CZEGO
-----WŁAŚCIWIE-----TUTAJ? To nie jest pytanie! To ostrze
ukryte w miękkich fałdach, łom owinięty jedwabiem,
majstersztyk pogardy!**

**Ukłucie zabolowało. Dusza znowu kichnęła, otworzyła torebkę i
przycisnęła ją do twarzy - pomyślałem, że zaraz zniknie w
środku zatraskując za sobą parę srebrzystych kulek, ale
K-z, niepodziwianie, wyjął pięknie złożoną chusteczkę z
grenadyny (matka uszyła mu ją ze sklepowych resztek) i
podał Duszy. K-z na swój sposób - też był skośny!**

**Adina właśnie przypomniała sobie, że w każdym z rękawów
ma po dwie batystowe chusteczki, nie licząc trzech w
kieszeniach spódnicy i jednej, atłasowej, pachnącej, w
staniku - jak prestidigitator, wyjęła wszystkie naraz, a
potem odwróciła się i pobiegła do drzwi.**

- Stój! - chciałem krzyknąć.

**Chciałem, ale nie mogłem. Byłem tylko belą materiału,
czymś w rodzaju monstrualnego knebla.**

Znad podłogi już unosi się szmer.

- Cajgu, ty sie pacz! Lord Paradox! Splata przeciwieństwa w skośne prążki, ale jak przychodzi co do czego - nic nie może zrobić!

- Łokciowy król! Brzydzi go prostopadłe prostactwo! Bo on zawsze tak dobrze się układa! Prawdziwy szampion! My, prostotkańcy, jeszcze mu pokażemy, jak się walczy o swoje!

- Jak to? - włącza się zawiedziony falandysz. - Sam przecież mówiłeś, ZARATUSTRA! Nieuwikłany w kartezyjską pajęczynę! Kto, jak nie ty, mógłby teraz zatrzymać Adę B-g, dla przyjaciół Duszę?

- Wszehsssstronny! - bombazyna, żałobnica o przeznaczeniu wyjątkowym, choć nieuniknionym, syczy mściwie. - Żaden pasiasty deseń nie skazuje go na los obicia, żaden kwiatowy tik, konstelacja kraciastych nawyków czy pasma złotej folii nie mówią nic o jego przeznaczeniu, bo on nie potrzebuje przeznaczenia! A ja ci powiem: kto jest do wszystkiego - jest do niczego! Ludzie, słuchajcie mnie!

Gabardine to zero! Pustka! Nul!

To była prawda.

Tkwiałem na półce i nie mogłem się poruszyć. Moja powierzchnia odłoniła zawiłą tajemnicę: mój słynny skos,

**to tylko pogardliwy grymas, krzywy uśmiech, ironia
ukrywająca niepewność, niemoc i fałsz.**

**Kiedy nic nie możesz zrobić, kiedy twoje wiązania są
kłamstwem - zerwij więzy i leć na dno! W sedno! W ONO!
Poszukaj siły w zwierzęcym runie, z którego ukręcono nić,
bo nić jest zrobiona z ruchu! Wir-derwisz w każdym
sprężystym skręcie ukrył niewyobrażalną energię. Zwinięta
moc jest w tobie i teraz musisz ją uwolnić! Odwiń się! Odwiń,
Gabardyno!**

**Spadam na dno, odwracam skręt, rośnie mój gniew, za
chwilę rozsadzi powierzchnię, skośne pręgi wystrzelą w
niebo i zmiotą z powierzchni sklep H-nna! Co mnie obchodzi
świat, jeśli Ona wyjdzie ze sklepu i nigdy do niego nie wróci!
Wysuwam się z równego rzędu na trzeciej półce – no, dobra,
nie więcej niż pół milimetra, ale to wystarczyło. K-z spojrzał
na mnie z ukosa, skrzywił się i wściekły przyłożył mi otwartą
dłonią: równaj szereg! Uderzenie było za mocne. Obróciłem
się, jak na karuzeli, zachybotalem i... spadłem na podłogę.
Prosto pod Jej stopy!**

**Dusza klęka, pochyla się, zanurza we mnie dłonie – już
schwytałem Jej dotyk, ukryłem w skośnych pasażach,
uwięziłem w sobie wilgotny ślad, widmowy opar, który**

odtąd na zawsze będzie krążył w moim ciele. Dusza klęczy nade mną pośrodku sklepu bławatnego Mojżesza H-nna, a ja, rozpostarty, bezwstydnie uwodzę Jej palce, przelewam się w Jej dłoniach, zmieniam krajobrazy. Napinam się, wyginam, faluję, pękam od form.

- Popatrz! - krzyczę. - Popatrz! Wszystkie możliwości skupiły się we mnie! Mogę być czarnym piaskiem, wodą, nocnym niebem - mogę być wszystkim, czego zapragniesz!

Oszołomiony K-z bąka coś w rodzaju

- Yyyyyy... proszę tylko spojrzeć, jak ONO... tego...no... pięknie się układa!

Za późno!

Nieraz opowiadano mi o nich.

O tym, jak się unoszą, patrzą na nas z góry - i odchodzą. Jedne pospiesznie, inne zwlekają zbyt długo. Bywają gadatliwe lub tylko cicho wzdychają. Mogą być w oddechu albo we krwi, zwierzęce albo roślinne, mogą być światłem albo odpryskiem czegoś niezemskiego. Mogą latać po niebie, podobne do skrzydlatego zaprzęgu i woźnicy. I chociaż są tak różne, jedno je łączy - ZAWSZE unoszą się i patrzą na nas z góry, kiedy odchodzą. Odchodzenie, porzucanie, opuszczanie - tyle tylko wiadomo o duszach.

Ada B-g wstaje z kolan, ostatni raz patrzy na mnie, a potem... wychodzi ze Sklepu.

K-z zbiera mnie z podłogi - wszechświat, który nie wybuchł, tylko rozlał się czarną kałużą to ja. Wypadłem z wieczności i znowu do niej wracam. Niewydarzone życie, skarłały początek, szmaciany ochłap bez słowa porzucony na środku sklepu.

Znów tkwię na swojej półce. Odrętwiały owijam się sobą, najciaśniej jak potrafię, chciałbym poczuć siebie, ale... mnie już nie ma! Zniknąłem. Nie jestem belą gabardyny, która tak dobrze się układa i może być wszystkim, czym zechce. Stałem się opuszczonym miejscem. To, czego nigdy nie miałem, nagle zostało mi zabrane. Wykrzywiam się w skośnym półuśmiechu.

- Panie i panowie! Tylko tutaj! Najlepsza na świecie pustka tkana na skos. Komu, komu? Nicość w doskonałym gatunku! Taki właśnie jestem: materialna autoironia. Dandys-dystans! K-z patrzy na mnie z pogardą.

**Kiedy ból rozdyma twoje ciało i tracisz kształt, wtedy jedyne o czym marzysz, to forma. Jakakolwiek!
Pragniesz przywrócić życiu formę, bo tylko forma jest ocaleniem, więc plisujesz, zaginasz i zgniatasz, bo na tym**

polega sztuka życia: „Żeby coś znieść, trzeba to zgnieść”.

Japończycy są mistrzami zaginania egzystencji, w końcu, to oni wymyślili origami.

- Cierpisz? - pytają. - Więc zagnij ból w harmonijkę, a stanie się ogonem ryby. Zobacz, jak pięknie wygląda teraz twoje cierpienie! A z rozpaczy najłatwiej zrobić latawca i puszczać go z wiatrem nad brzegiem morza.

Daleko mi do Japończyków, więc zrobię tylko fałdę. Fałdę dygresji. Fałdy nadają opowieści trójwymiarową wypukłość. Nadają głębię temu, co bez niej byłoby tylko płaską relacją. Do środka wkładam

WZORNIK BOLEŚCI DLA TKACZY I PASAMONIKÓW

(przez dra Josepha Babinskiego na podstawie słów własnych ofiar wypadków w tkalniach francuskich sporządzony)

Ból szewilowany (*cheviller*): ból rozciąganych włókien.

Gwałtowny, szarpiący, rytmiczny i „kosmaty”(?). Cierpiący uważają, że ich ciało zajmuje więcej miejsca niż powinno.

Francoise T., na przykład, utknęła w nawie głównej kościoła Św. Sulpicjusza. Twierdziła, że ona i jej ból zajmują tyle miejsca, że nie da rady precyzyjnie się przez wejście główne, ani tym bardziej przez zakrystię. Za zgodą biskupa została w

nawie aż do swojej śmierci otoczona milczącym szacunkiem i resztkami jedzenia.

Krepa (*crepe*) - ból drapiący. Pomiedzy skurczem a nagłą ulgą wybrzusza się powierzchnia, jakby ból nabierał powietrza, a potem nagle opadał z westchnieniem. Louise M. z Lyonu, której maszyna tkacka zerwała kawał skóry z ramienia, mówi, że to sam ból tak cierpi, „aż człowiekowi żal na niego patrzeć!” Krepa to ból apreturowy, względnie lekki.

Szewiot (*cheviotte*) - ból ciągły, silnie skręcony, szorstki, zwierzęcy(?), choć niektórzy nazywają go „czarnym” (?)

Według Marie O., tkaczki z Lille, ból szewiotowy jest jak oszalały galop owiec rasy crossbred.

Szlichta (*Schlichte*) -ból „niemiecki”, rozlewny, gorący, gęsty i kleisty. Wsiąka w ciało powoli od nóg aż do głowy. Jak mówi Klaus S., szlichta pije ciało, a jak pije, to nie wolno jej przeszkadzać, a nawet należy ułożyć się tak, żeby ból mógł bez przeszkód napić się do końca. Kiedy ból nasyci się ciałem, sam odchodzi. Klaus S. twierdzi, że widuje czasem swój ból na ulicy i wtedy grzecznie, lecz z daleka, go pozdrawia.

Bouracan - ból ciała napiętego do granic wytrzymałości i zgniatanego. Tkacz Jean-Paul M., którego ten ból nie

opuszczał przez dwadzieścia lat, powiedział: „przez cały ten czas, czułem się jak kamlot z Grodna.”

Fryza (*fraise*) - podstawowy ból szmuklerski, charakterystyczny dla większości bólów pasmanteryjnych. Według opisu pasamonika Raymonda L. jest to ból ostry, przenikliwy, „druciany”. „Czuję, jak takie coś, twarde i ostre, jak drut kolczasty, owija się wokół mnie i mocno zaciska. A kiedy już się zdaje, że mnie udusi – drut nagle się ześlizguje. I to jest właśnie najgorsze.”

Filc - ból pozbawiony jasnej artykulacji, porządku i sensu. Tkaczka Jeanne M. opisuje go tak: „czuje jakby ktoś wrzucił mnie do płóciennego wora, a potem oblewał ukropem i walił mnie o kamienny stół, tak długo, aż się zamienie w buro mase.” Filc to ból splątany, odarty ze struktury, bez śladu splotu czy wzoru. Filc dociera do zwierzęcego sedna ludzkiej natury. Folusznicy nazywają filc „skowytem” i robią z niego kapelusze.

Jest jeszcze Gabardine, ból –król. Szampion wśród boleści. Roztrwożony do najcieńszego włosa diagonalny stupor. Doktorze Babinski, czy nikt panu nie powiedział, że ból zwany „*gabardine*” nie trwa wiecznie, że w końcu kłaczy się i odrywa sam od siebie?

Przez chwilę oddychasz z ulgą, myślisz

- Jak dobrze! Poszedł sobie. Zniknął.

I wtedy rozglądasz się wokół i widzisz, że wszystko, absolutnie wszystko, co nie jest tobą, zrobione jest z czarnej materii. Oczy K-za błyszczą skośnymi pręgami. Prążkowane słońce też jest całkiem czarne! Więc wyjesz, prosisz, błagasz, żeby ból do ciebie wrócił i był tylko w tobie! Że to przecież TWOJE cierpienie! Żeby tam, na zewnątrz, istniało coś, o czym mógłbyś marzyć, jakieś miejsce, za którym mógłbyś tęsknić. Próbujesz chwycić ból nazwany gabardine i zmusić go do powrotu, lecz ONO opiera się dotknięciu i nietknięte wciąż rozkwita na nowo. I wtedy już wiesz, że wydano wyrok: zostałeś skazany na niezmiernie długie trwanie czarnej gabardyny.

Męski głos twardo wymawia moje imię.

Do imienia dodaje numer: 4, 45. Tak wywołuje się skazańców na egzekucję. K-z podchodzi do trzeciej półki na wprost drzwi. Kurczę się ze strachu i nabieram popielatego odcienia. Próbuję się bronić, mamrocę, że nie jestem na sprzedaż, że zostałem dotknięty, że noszę w sobie ślad Jej wilgotnych palców - wodny znak przynależności. Że coś przecież się wydarzyło! Coś, co nie przytrafia się każdemu!

Co prawda, moja Dusza wpadła do Sklepu tylko na chwilę i zaraz z niego wybiegła, jednak z czegoś znacznie mniejszego da się wykroić efektowne istnienie! Ten jeden moment, kiedy Ona zanurzyła we mnie dłonie, mógłbym rozpleść na nieskończenie wiele włókien i sycić się każdym z nich do końca świata!

K-z nie słucha. Nieomylnie wyłuskuje mnie z trzeciej półki na przeciw drzwi i bez słowa rzuca na ladę.

Zmarszczyłem się groźnie, ale on łokciem docisnął mnie do lady i rozgniółł mój bunt. Skoro tak, postanawiam objawić wszystkie swoje wady: brak wyrazistości, podejrzaną omnipotencję, tylko, że... nikt na mnie nie patrzy! Stałem się niewidzialny. K-z nie mówi, jak pięknie się układam, nie każe mnie dotykać, nie zarzuca sobie na ramię. Jego ruchy są ostre, kanciaste, przez chwilę fechtuje drewnianym metrem i odmierza długość podaną przez mężczyznę.

Czekam na sztych, na grot przecinający moją nieskazitelną młodą skórę. Forsznyt, pierwsze odcięcie: wielkie nożyce zaraz zatopią ostrza w moim ciele, a ja, wykrojony i osaczony ze wszystkich stron prującym się brzegiem, dotknę własnych krawędzi - taki będzie początek umierania. Chciałbym zawrócić! Chciałbym wrócić tam, skąd

przyszedłem, ale odcięto mi drogę. Nożyce kroczą jak Mojżesz przez Morze Czerwone, rozstępują się brzegi, obnażają moją włóknistą naturę. Czy ten fragment o poszarpanych granicach - to ja? Postrzępiony i potępiony, ze wszystkich nieskończonych możliwości otrzymuję pierwszy kanciasty kształt: prostokątne życie. Nie jestem już JEDNĄ nicią przewleczoną przez nieskończone uniwersum.

Uwięziony między ostatecznymi krawędziami, spoglądam w ranę uczynioną mi w dniu narodzin - przez chaos i splątanie przeziera pustka. Ta pustka jest dowodem na istnienie.

K-z owija mnie szarym papierem. Zaraz odejdę z tym mężczyzną o twardym głosie, choć jednocześnie jakaś część mnie zostaje w Sklepie - tak! Jestem jeden, ale w dwóch kawałkach. W to, co ze mnie zostało, K-z wbija szpilkę z ceną zmniejszoną o połowę, waha się przez chwilę, a potem wrzuca do wielkiego kosza stojącego przy drzwiach. Jest mnie mało. Jestem resztką.

CZY WY W OGÓLE WIECIE, CO TO ZNACZY BYĆ RESZTKĄ?

Być resztką, to leżeć pośród takich samych jak ty, omijanych wzrokiem, prawie niewidzialnych i krzyczeć, że to pomyłka, że jeszcze przed sekundą mogłeś wszystko i miałeś nieskończone możliwości, a teraz twoje życie skurczyło się

do śmiesznych rozmiarów i twoja cena spadła o połowę, bo tak niewiele da się z ciebie wykroić.

Być resztką, to wiedzieć na pewno, kim się już nigdy nie będzie, a to znaczy, wiedzieć na pewno, kim się nigdy nie było. To widzieć swój brzeg, koniec tak bliski, że prawie można go dotknąć! I mieć nadzieję, że ktoś wpadnie na pomysł, co z tobą zrobić. Mieć nadzieję, że jeszcze się do czegoś nadasz, chociaż jedyne, na co możesz teraz liczyć, to uchwyt do rondla w kształcie ohydnej jednopalczastej rękawicy, ocieplacz na imbryk lub łata na łokcie. A najgorsze jest to, że wcale się nie buntujesz, bierzesz, co dają, nie roździerasz szat - onuca czy frak, jakie to ma znaczenie? Życie jest życiem, małe czy duże, wciąż ma tę samą skośną fakturę i prążkowaną aparycję. I tak cholernie dobrze się układa! To przecież gabardyna! Więc trzymasz fason i udajesz, że ten okrawek jest właśnie tym, na co czekałeś przez całe życie! I żyjesz do ostatniego włókna, do ostatniego... //////////////////////////////////////

////////////////////////////////////

Jeńcy siedzą nieruchomo w równych rzędach, plecami do drzwi. Wiąże ich los, jeden dla wszystkich - ten, który akurat jest w repertuarze. „Kłamstwo Krystyny”? „Robert i

Bertram"? A może „Święty Andrzej Bobola”?

Dusza przychodzi tu codziennie, siada w ciemnościach i związana fabułą, razem z innymi dzieli jeniecki los. Losu się nie wybiera, lecz Dusza chętnie godzi się z losem, bo ze wszystkich cudów, jakie ofiarowuje Jej życie na ziemi, najbardziej lubi właśnie ten, kiedy głębia przenika materię na wskroś: nic do ukrycia! Szare plamy na białym płótnie każdy może zobaczyć, jeśli tylko kupi bilet, więc dusza, o której powiadają, że zawsze jest „w środku” i zawsze jest niewidzialna, szczerze podziwia tę ostentację głębi.

Pewnego razu właściciel kinoteatru Imperial pozwolił Duszy przejść na drugą stronę i zajrzeć za ekran – w środku nie było niczego, tylko Eugeniusz Bodo zapalał papierosa lewą ręką.

Dzisiaj Dusza też tu jest. Terkocząca maszyna wyszywa wzory na białym płótnie zamówionym przed laty w sklepie H-nna. Nici ze światła i kurzu unoszą się i opadają nad głowami widzów, oplatają kokonem smutne myśli o czołgach, frontach, maskach gazowych. Wojna? Jaka wojna? Przecież wojna już była! Tam, na zewnątrz, myśli budzą grozę, tutaj Jeanette Macdonald zakochuje się w krawcu - nic łatwiejszego, jeśli krawcem jest Maurice Chevaliere.

„Love Me Tonight” - jak Dusza mogłaby się oprzeć takiemu tytułowi! Fabuła, źle związana, podskakuje na supłach; intryga szyta grubymi nićmi szczyrzy szwy przy każdym poruszeniu, ale to nic, najważniejsze, że ci dwoje się kochają. A to, że się kochają, widać to od razu: ich uczucie jest tak wielkie, że ledwie się w nich mieści. Trudno utrzymać taką miłość w środku, więc muszą bez przerwy wyrzucać nogę do przodu, a kiedy ją wyrzucają równocześnie i w tym samym kierunku, to już wiadomo, że są dla siebie stworzeni! Potem objęci drobią miłosne kroki, jakby stopami dziergali swój los, jakby zaplątywali się w tę dzianinę, żeby nikt nie mógł ich rozdzielić! Im dłużej drobią - tym bardziej niewątpliwa jest ich miłość. A potem nagle przystają, nieruchomieją, bo wyczerpały im się kroki, a miłości jeszcze tyle im zostało, że nie wiedzą, co z nią zrobić! Więc otwierają usta i zaczynają śpiewać

***Whoever you are,
whatever you are,
wherever you are,
I love you.***

Twarze widzów podążają za światłem, jak słoneczniki na polu. Dusza siedzi pośrodku tego pola, kiedy nagle ścieg

pulsujący równo w Jej skroniach zgęstniał niebezpiecznie, bo Dusza zobaczyła - MNIE! Zobaczyła, i w rozbłysku tej zakurzonej jasności – pojęła do ostatniej fałdy, do ostatniego zagięcia, do najdalszej obrębionej granicy. Nie byłem PŁASZCZEM! Byłem sensem świata krojonym na miarę, dopasowanym, przylegającym idealnie do Niej, Ady B-g. Byłem kompletny i doskonały, a na dodatek - poruszałem się! Na ekranie, Jeanette zdejmuje rękawiczki, kładzie na srebrnej tacy, którą trzyma kamerdyner, odwraca się gwałtownie i...

- O mój Boże! TO! TO...jest absolutnie cudowne!

Słoneczniki ze zdziwieniem obróciły głowy w stronę Duszy, która z szeroko otwartymi oczami przyciska do ust jedną ze swoich ośmiu chusteczek.

- Szszyyy! Szyyyyyyy! - szumią słoneczniki.

TO - półkolisty wolant doczepiony do gorsu tuż nad pośladkami, wychyla się zza bioder Jeanette, raz z jednej, raz z drugiej strony. Karłowata peleryna, chybotliwy szaleniec, wiruje przy każdym skręcie talii, jedyna część stroju bez ortopedycznej konstrukcji, bez szwów i sztywników, jego falująca kolistość przyprawia Duszę o zawrót głowy. Nieodrywalny, nieodpinalny a jednak wolny!

Potrafi ukryć się w rozcięciu i zniknąć, a potem nagle wyskoczyć zza sztywnej fasady. Pasuje do całości, choć nieustannie jej się wymyka.

- Oto jest Ciało, którego szukałam! - krzyczy Dusza.

- Szyyyy! Szyyyyy! - słoneczniki rozszumiały się na dobre.

Jeanette odpina guziki płaszcza, ja lekko zsuwam się z jej nagich ramion. Kamerdyner chwytam mnie za kołnierz, chce wynieść – w końcu to nie ja byłem tu gwiazdą - lecz zanim zniknę z kadru, wolant, czarny weredyk, bezczelny błazen wychyla się zza bioder Jeanette, kamerdyner wymierza mi klapsa i wolant znika, jakby go nigdy nie było.

Lecz nie dla Niej!

Adina, Adusza, dla przyjaciół po prostu Dusza, czuje, że nogi i ręce zaczynają Jej drżeć, że to, co Ją wypełnia, już się w niej nie mieści! Możliwe, że zaraz wyrzuci nogę do przodu. Dusza wie, że to się zdarza, kiedy człowiek przeżywa coś naprawdę wyjątkowego, jednak przejście między rzędami jest bardzo wąskie, więc Adina B-g, od razu przechodzi do etapu drugiego. Wstaje z miejsca, unosi ręce do góry i zaczyna śpiewać!

EN UNA NOCHE OSCURA

albo

ZAPNIJ MNIE!

(tango)

Słońce czarne jak włosienny wór pali ziemię

Więc mnie zapnij, ukryj w sobie!

Będiesz moim cieniem, który nie zniknie,

Gdy zapadnie mrok.

Obejmij moją talię, piersi i biodra

A ja wypełnię kształt obity w twoim wnętrzu

Na obraz i miarę

Zabije w tobie moje serce

Mój oddech

Stanie się twoim oddechem.

Mój zapach

Przeniknie cię do ostatniego włókna.

Będiesz moim cieniem,

Który nie zniknie

Gdy zapadnie mrok

**Dusza śpiewa, a na pole słoneczników wpada wichur -
głowy chwieją się, obracają, rzucają przekleństwa,**

domagają się przerwania projekcji i wezwania lekarza. Jednak Dusza wyjątkowo nie kicha, bo po raz pierwszy w życiu nie ma wątpliwości i już nikt nie może Jej powstrzymać. Przeciska się między rzędami krzesel i wybiega z sali, unosząc mój kruchy obraz wprost do sklepu bławatnego Mojżesza H-nna.

- Ta... czarna... gabardyna... proszę... 5.80..... na płaszcz z wolantem! - krzyczy od wejścia.

- Za późno! - K-z uśmiecha się wyraźnie zadowolony. - Nie mamy już takiej ilości. Ten pan - wskazuje na Ty-na - właśnie nabył większość na ślubny garnitur. Została jedynie resztką. Ty-n spojrzał na Duszę i drgnął. Nie, nigdy nie wierzył w opowieści o gromie z jasnego nieba, trzęsieniu ziemi, czy jakiejś idiotycznej strzale Amora przeszywającej serce - o tym paplała bez przerwy jego narzeczona, która co tydzień kupowała powieści w zeszytach po pięć groszy, jakieś „Marietty”, „Białe niewolnice”, „Córki gałganiarza”, a potem szlochając opowiadała mu o „prawdziwej” miłości.

Nienawidził, kiedy szlochała, więc drwił z Marietty i Białej Niewolnicy i Córki Gałganiarza. Tak, z Córki Gałganiarza drwił szczególnie. T-yn nagle poczuł, że wewnętrzne dekoracje, które od zawsze nosił w sobie, fragmenty

połączone niewidocznym szwem i tak dobrze pasujące do siebie: praca w fabryce----twardy brezent ---noce z narzeczoną ---ciepły flausz---biała flanela dla dzieci, które pojawią się niedługo po ślubie-----czarna gabardyna na ślub ---na pogrzeb --- i może jeszcze coś pośrodku, leżą teraz na podłodze i szczerzą się do niego postrzępionymi krawędziami! Ty-n stoi pośród szczątków swojego życia i nie może zrozumieć, dlaczego? Czemu tak łatwo? I czym jest to, co wyszarpnęło nić i rozerwało szew?

K-z również patrzy na Duszę. Patrzy zdumiony, jakby nigdy wcześniej Jej nie widział. Myśli o fotografiach, które ukrył na zapleczu pod belą pakłaku, bo o pakłak i tak nikt nie pyta. W wolnej chwili K-z ogląda te zdjęcia: kobiety o powiekach na w pół przymkniętych, o rozchylonych ustach, unoszą ramiona i leniwie się przeciągają, a ich nagie, wygięte ciała biorą w nawias coś, czego na tych zdjęciach nie ma. Przed tą nieobecnością przestrzegała go matka i ksiądz na spowiedzi, ale dlaczego? Tego K-z nie wiedział. Aż do tej chwili.

Dusza otwiera usta, chce coś powiedzieć, ale nie może, bo z trudem łapie powietrze, a poza tym, nie bardzo wie, co właściwie miałyby powiedzieć? - więc tylko wyciąga ręce do tego młodego mężczyzny, który stoi przed Nią i...

odśłania nadgarstki!

Ty-n pochyla się nad nimi, mruży oczy, widzi rzeki, które ukryły się pod skórą, lecz ich prześwitujący błękit budzi w nim pragnienie, jakiego nigdy dotąd nie czuł. Dusza powoli rozchyła dłonie: w różowym zagłębieniu opalizują kropelki potu i Ty-n już wie, że pragnie cały zanurzyć się w tej wilgoci i sycić się nią bez końca. Zaiste, powiadam wam, nie widziano dotąd takiej materialnej pożądliwości w sklepie bławatnym Mojżesza H-nna. K-z pomyślał z rozpaczą, że te kobiety spod pakłaku są przecież szczelnie okryte, że ich nagość to bujda i fałsz! Zaszlochał, zatoczył się, chwycił stojak z popeliną, lecz zaraz go puścił, bo twardość stojaka wydała mu się nieprzyzwoita, i osunął się na ziemię. Nigdy nie ośmielił się powiedzieć o tym wszystkim matce, a i ksiądz, kiedy już dokładnie wypytał go o wszystkie szczegóły, nie chciał mu dać rozgrzeszenia - na szczęście, skończyło się na trzynastu metrach francuskiego jedwabiu na letnią sutannę.

W przeciwieństwie do subiekta, Ty-n nie mdleje, tylko szybko chwyta dłonie Duszy i stoją tak, trzymając się za rękę, jak wyszyci kordonkiem na kuchennej makatce, tuż pod napisem

MIŁOŚĆ I ZGODA - W DOMU POGODA

a ja, jeden, chociaż w dwóch kawałkach, rozpaczliwie próbuję zgadnąć, co się za chwilę wydarzy.

Ada wybucha śmiechem, a Ty-n również zaczyna się śmiać, bo w końcu zrozumiał, że Ona pragnie tego, co on, Ty-n, trzyma właśnie pod pachą! Bez słowa wręcza Jej pakunek, Dusza chwytą mnie z całej siły i przytula do siebie.

- Jesteś! Nareszcie! - zdążyłem pomyśleć.

I zemdlałem w Jej ramionach.

Ocknąłem się na czymś zimnym i śliskim.

Krawiec Z-jn stał nade mną, jak doktor Tulp na zwłokami. Byłem pustkowiec, ciemnością i bezmiarem, a Krawiec unosił się nade mną i obmyślał krój bitewny.

Z-jn brał kiedyś udział w wojnie krojonej przez wojskowych sztabowców na długich stołach. Odtąd co noc śniła mu się rozcięta okopami błotnista materia, ścięgi z kolczastego drutu, fastrygi białych kości wyzierające z ziemi. Pamiętał dobrze lekcję wojennego krawiectwa i odtąd rysował bitwy na powierzonej sobie materii.

Byłem bezludnym czarnym polem, na którym strateg rysował wojenny plan: tymczasowe zgrupowania zaszewek, podwójne szwy umocnień, zębate łuki frontów, które

ostatecznie miały rozstrzygnąć mój kształt. Słyszał, że w modzie są teraz wydrążone tunele ukryte pod powierzchnią ziemi, wszystkie te Zygfrydy, Maginoty, Gustawy, ostatni krzyk wojennej mody, lecz Z-jnowi nie podobał się ten podziemny fason, bo czy nie lepiej umierać patrząc w niebo? Rozpostartymi rękami wygładzał, naciągał, poprawiał – wciąż się namyślał. Jak wiadomo, zasadzka w Lesie Teutoburskim stała się idealnym wzorem męskiej marynarki, a szarża lekkiej brygady pod wodzą FitzRoya Jamesa Somerseta, pierwszego barona Raglan, na wieki zmieniła koncepcję rękawa. Dla spodni stoczono niegdyś bitwę pod Marengo, podczas gdy rzeź pod Austerlitz dała naszej cywilizacji wykrój palta – a jednak dla mnie, krawiec Z-jn nie mógł znaleźć żadnej, nawet najmniejszej potyczki. Tak! Byłem czymś, co nie istniało dotąd w dziejach świata. Rozważył jeszcze w myślach Las Navas de Tolosa – nie znosił Alfonsa VIII, ale kolisty atak konnicy na skrzydło Berberów mógł i teraz zakończyć się sukcesem. Nie, to na nic! Manewr okrążający von Schlieffena odrzucił, zanim zdążył o nim pomyśleć.

- Potrzebna będzie jakaś nowa wojna! - wysyczał przez zęby a jeśli zabrzmiało to cynicznie, to dlatego, że trzymał w

ustach szpilki.

Nagle gwałtownie odsunął się od stołu i postanowił skupić w sobie. Zbliżył kubek z kawą do ust i *cimcum* - usłyszałem siorbnięcie. Zadudniło serce mojego stwórcy, czarny aromat wzbil się wilgotnym obłokiem z jego ust, a ja łączyłem się z tym tchnieniem, poddawałem jego mocy, chłonałem każdym włóknem gabardynową czerń kawy. Już nie byłem rozwlekłą płaską równiną - budziłem się do życia! Krawiec westchnął i zdał się na los. Rysował kręgi, skosy, zakładki, linie przerywane i ciągłe, a I-ś, jego pomocnik, próbował zgadnąć, czy to nieszczęsna Salamina, a może Waterloo lub jakaś mniejsza potyczka, o której słyszeli tylko nieliczni krawcy.

I-ś wzdycha zachwycony: nie ma wątpliwości, że krawiec Z-jn jest prawdziwym geniuszem wojennym, większym niż Napoleon, czy jakiś tam Klauziewicz. I-ś sam również próbował kroju bitewnego, ale poległ nad spodniami mecenasa M-ra i od tamtej pory trzymał się wiernie podręcznika.

Z-jn zrobił trzy kroki do tyłu, spojrzał na mnie - i widział już, że byłem dobry.

Pod koniec swojego życia, kiedy upadły dyktatury, I-ś

wyjawił najgłębiej zaszytą ze swoich tajemnic - tak dobrze ukrytą, że nawet nie ośmielała mu się przyśnić! Twierdził, mianowicie, że krawiec Z-jn z Miasteczka, w nagłym przyptywie jasnowidzenia naszkicował na czarnej gabardynie kompletną bitwę pod Stalingradem.

Stalin, podobno, kazał mnie spruć, a potem rozłożył na stole sztabowym, żeby odczytać zawarte we mnie przesłanie. To, oczywiście, kompletna bzdura, nigdy nie byłem w Moskwie. A jednak... w pewnym sensie I-ś miał rację, bo kiedy jakaś idea pojawi się w umyśle, choćby i krawca, a potem wcieli się w materię - musi w końcu wpłynąć na losy świata!

Krawieckie *mane, tekel, fares*, jaśniało narysowane kredą na moim ciele. Teraz należało mnie rozdzielić!

Moja prostokątna egzystencja, pierwszy prymitywny zarys życia, jaki każdy z nas otrzymuje na początku, za chwilę miała zamienić się w coś, co już na zawsze i nieodwracalnie będzie mną.

- Skacz! No, skacz! - słyszę głos Z-jna i ogarnia mnie strach.

Stoję na krawędzi swojego losu, kołyszę się, chybotnę, coś pcha mnie w otchłań i - odmawiam!

- Będiesz... - słyszę głos mojego stwórcy.

- Nie chcę być!

- ...paltotem! Jako paltot osiągniesz szczyt okrojonej egzystencji.
- Ale mój kształt będzie gwałtem na nieskończoności!
- Po co od razu mówić o gwałcie? Powiedzmy raczej – dar!
- A nie mógłbym wybrać innego... daru? Chciałbym być... mostem Brooklińskim! Albo mosiężną trąbką!
- Jaki gwałt, taki kształt! Skacz, mówię!
- Nie chcę! Zostanę tutaj.
- Boisz się?
- Boję.
- Słuchaj, Gabardyno, nie ma się czego bać! Życie nie jest doskonałe, przyznaję, ma parę wad, ale Wszechświat wynagrodził cię wyobraźnią, żebyś sobie radził z drobnymi usterkami. Kto, jak nie ty, potrafi upleść najbardziej absurdalny melanz? Splatasz przeciwieństwa w skośne prążki. Pamiętasz? Zaraz, zaraz, jak to szło? „...Moc truchleje, blask ciemnieje, ma granice nieskończony.” A poza tym, sam mówiłeś, że „gabardyna to sposób bycia, najdoskonalszy z możliwych!” Więc skacz! A jak już skoczysz, to będziesz sobie wymyślał paradoksy. I udawał, że w nie wierzysz. No, dalej, krok do przodu i...
- Nie! To pułapka! Odmawiam.

- A... Ona? Zobacz, czeka tam na ciebie, zupełnie naga, bezbronna, i tak bardzo cię pragnie! Jak mógłbyś oprzeć się takiemu pragnieniu? Musisz zrobić to dla Niej! No, przestań się kiwać i spadaj!

Spadam. Z-jn po raz ostatni docisnął nożyce, chrupnęło ostatnie włókno. Sekunda, taki drobiazg, zdźbło czasu - i już niczego nie da się zatrzymać! Lecę, a za moimi plecami szczyrzy się wielka wyrwa. Łata wydarta z Nieskończoności - moje życie.

Patrzę, jak odejmują mnie sobie i oddają światu.

Kiedy odchodzą, ich pożegnalny gest nieruchomieje - odtąd już zawsze będą obejmować pustkę po mnie. Jestem tym, czego w nich nie ma. Utracony rękaw zostawia po sobie łuk gotyckiego okna - z tego, co mu odjęto można zbudować ażurową katedrę. Czarny negatyw leży na podłodze, strzępi się brzeg nieobecności. Te najmniejsze ześlizgują się ze stołu, spadają, nikt ich nie zatrzymuje. Nie warto. Pomocnik I-ś starą miotłą zmiata resztki pod piec, ładuje na szufelkę i wrzuca do ognia ostatni dowód na to, że zostałem wycięty z czegoś większego od siebie. Muszę zadać sobie pytanie: kim jestem? Tym tutaj, co leży na stole, czy tym, co nigdy nie zaistniało? Utwierdzony fastrygą, myślę o skrawkach mnie

samego, odciętych i zaginionych. Tęsknię za sobą. Za kształtem, którego nigdy nie poznam. Za wolnością, która była we mnie. Myślę o niegodziwości wyborów, które jakąś część mnie samego uczyniły nieistotnym, nieważnym. Utracona reszta wciąż jest przy mnie, otacza mnie, dotyka, zamyka w sobie. Ścinki, *szmu* - tak mówi o nich Z-jn. Czy moje ścinki też za mną tęsknią? Nie mogę się od nich uwolnić. Każdej nocy męczą mnie wklęsłe sny.

Duszy nie widziałem od kilku dni, ale czuję, że wkrótce się pojawi. Szykują mnie jak oblubieńca na spotkanie narzeczonej: fastrygi, białe nici, jak girlandy weselnych kwiatów, ozdabiają moje ciało. Chciałbym, żeby już przyszła, chciałbym poczuć Ją w sobie, Jej zapach i kształt zmieniający się z każdym oddechem, Jej ciepło, bo na razie wiszę na czymś, co przypomina karykaturę duszy - wypchany wata korpus z małą drewnianą kulką zamiast głowy.

Jest! Przyszła!

I-ś zdmął mnie z manekina a Ona wsunęła się we mnie. Obejmuję Ją niezdarnie, zewsząd wiszą mi fastrygi, w dodatku nie mam rękawów i z dostojnej czerni tułowia wyrastają żółte motyle skrzydła Jej krepdeszynowej sukienki. Dusza parska śmiechem - zostałem ośmieszony!

**Na szczęście Z-jn przynosi moje rękawy, przypina szpilkami,
a one natychmiast przywracają mi godność.**

Dusza przygląda się mojemu odbiciu w lustrze

- Lepiej, ale...

- Csssso? - Z-jn syczy przez zaciśnięte usta.

- On jest... taki sentymentalny!

- Że jak?

- No... się leje!

Na Boga Wszchemogącego! Czy to możliwe, abym się lał?

**- Niech panienka nie mówi, bo się marszczy na plecach! -
warknął Z-jn.**

**Niestety, Dusza miała rację! Nie byłem „swobodny, śmiały,
prosty“ (Vogue, sierpień 1939). Ani tym bardziej „zuchwały,
pewny siebie, kusicielski“ (Elegancka Pani, lipiec 1939). Nie
dawałem „natchnienia i miażdżącej pewności siebie“ (Moja
Przyjaciółka, sierpień 1939). Byłem odrażająco miękki! Kiedy
cały świat czcił siłę, moc i pięść, moje płynne linie zdradzały
słabość. To koniec! Z-jn, błagam cię, zrób coś! Nie zostawiaj
mnie tak! Ona zaraz odkocha się we mnie! Zapomni i nigdy
nie odbierze.**

Wtedy krawiec zawołał

- I-ś! Dawaj kotlety!

Kotlety cielece Z-jnowej nie miały sobie równych. .

- Nie! - chciałem krzyżeć. - Nie, nie teraz!

Ale pomocnik Krawca już niesie ogromne, zszyte ręcznie kawałki włosia, waty i sztywnego płótna, o konstrukcji tak dziwnej, że nie mogłem dociec, jakie jest ich przeznaczenie.

Z-jn wziął jeden z kawałków, posadził sobie na dłoni, jak bochen chleba, i wsunął pod płaszcz, dokładnie między szyją a wycięciem rękawa. Z drugim zrobił to samo. Dusza aż jęknęła z zachwytu

- Tak, to on! Teraz go poznaję!

I pogłaskała mnie. Nagle stałem się zuchwały, a moja pewność siebie bez wątpienia była miażdżąca. Zniknęły wiotkość i wahanie, płynne linie znieruchomiały, już się nie „lałem“, teraz byłem samą siłą i nieugiętą potęgą! Zaiste, stał się cud. Pomyśleć tylko: dwa kawałki ugniecione z burej waty i szarego płótna, krawiecki trick ukryty przed ludzkim okiem - i oto nagle uniesione wielkimi poduszkami goryle ramiona dawały mi uznanie, zachwyt i miłość! Czego jeszcze nie wiedziałem o tym świecie? Jednak Dusza była szczęśliwa i to było najważniejsze. Z radości zaczęliśmy wirować, a Krawiec ukląkł i przyłożył jedno ucho do podłogi - sprawdzał, czy jestem równy na dole.

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach, zasłonka na półkolistym kabłąku odchyliła się i do pracowni wszedł Ty-n.

Włożył marynarkę - czy mówiłem, że Z-jn wykroił ją z tego co ze mnie zostało w sklepie bławatnym Mojżesza H-nna? A potem stanęli obok siebie: czarny płaszcz i czarna marynarka, dwa kawałki czarnej gabardyny wycięte z jednej beli, z jednego wątku, z tej samej osnowy, dopasowani do ostatniej fibry - Pan i Pani Gabardyna.

Jak każde dobrze skrojone ubranie umiem wyrażać uczucia na wiele sposobów.

Jestem mistrzem drobnych załamania, nagłych uniesień czy flaut, a kiedy zwisam z oparcia krzesła, mogę robić to jak Charlie Chaplin, Robert de Niro albo Marlene Dietrich.

Uwielbiam ją! Marlene cała zrobiona była z czarnej gabardyny, a kiedy powiedziano jej: skacz! Odeszła ze ścinkami. Od tamtej pory Marlene jest tęsknotą każdego gabardynowego płaszcza i munduru.

Ale do rzeczy: refleksyjną zmarszczką, fałdą czy pełną zwątpienia wklęsłością mogę wyrzeźbić każdą myśl i każde uczucie! Wyobraź sobie płaszcz, który zsunął ci się z krzesła w byle jakiej knajpie, a kiedy o świcie nachylasz się (nie bez trudu), żeby go zebrać podłogi - ogarnia cię przerażenie!

Krzyczysz ze zgrozy, bo u twoich stóp Laokoon i jego synowie umierają w węzowych splotach czegoś, co dotąd było rękawami. A kiedy indziej leżysz sobie na ławce w parku w ramionach swojego płaszcza i nagle słyszysz czyjś głos pełen zachwytu

- Patrzcie! Toż to pieta! Pieta Michała Anioła!

Chociaż ubrania mogą wyrazić wszystko, zawsze brakowało im tego najważniejszego: UST. Nie do mówienia, rzecz jasna! Nie potrzebujemy ust, żeby mówić.

Z tego właśnie powodu krawcy z Savile Row wymyślili fizjonomikę ubrań: dwie klapy ułożone symetrycznie na piersiach, a w każdej z nich wycięcie, otwarte szeroko lub zaciśnięte; opuszczone ponuro w dół albo przeciwnie - krzyczące w niebo na całe gardło.

„PO KLAPACH ICH POZNACIE” – tak mówi święte pismo wszystkich krawców.

Widziałem w kinie afrykańskie miasto pełne europejskich ubrań. I widziałem w tym mieście białą jak anioł marynarkę - usta jej klap oznajmiały światu zwycięstwo! Na tych klapach Victor Laszlo odleci, aby walczyć ze złem. I nie przeszkodzi mu w tym mundur majora Strassera, bo jego klapy oślepione dystynkcjami, tępo przycięte, opadają w dół

**i po tym poznać, że Strasser nigdy nie pokona Victora Laszlo!
Tak zaczyna się walka, pojedynek cięć i ostrych kątów:
zadarty w górę Laszlo, czy tępo rozdziawiony Strasser?
I wtedy, jak srebrzysty księżyc, wschodzi tuxedo Ricka.
Jaśniej nad wszystkimi, tak cudownie odległy i obojętny.
Księżyc nie obchodzi obozy koncentracyjne, amerykańskie
tuxedo nie miesza się do europejskich utarczek, nie zabiera
głosu, nie opowiada się po żadnej ze stron - przynajmniej do
czasu, aż Japończycy nie zaatakują Pearl Harbour. Czemu?
Bo klapy tuxedo nie mają ust! Jak szal miękko opływają
szyję Ricka i bez słowa spływają na jego tors. Tuxedo nie
zabija, jest elegancki i uprzejmy, i dlatego... zostaje w szafie!
Bo kiedy z afrykańskiej mgły wyłania się gabardynowy
trench Ricka, już wiadomo, że najtragiczniejsza z decyzji
została podjęta. Pistolet Ricka celuje jest prosto w tępy
uśmiech munduru. Strasser dłonią zatyka kłapie usta, kiedy
bucha krew.**

**Sami widzicie, że nikt nie opowiada historii tak dobrze, jak
usta ubrań, więc kiedy siedzisz w kinie, przyglądaj im się
uważnie i pamiętaj: KLAPY NIGDY NIE KŁAMIA!**

**Co do mnie, Krawiec odradza Duszy paramilitarne
rozwiązania, zbytnią krzykliwość i tryumfalizm! A poza**

tym...

- Prawdziwa władza nosi się pod szyję! - Krawiec pokazuje Duszy zdjęcia Stalina i Mao.

Nieobecność klap oznacza wyjście poza ludzki porządek i ludzką miarę - z uniformem bez klap nikt nie dyskutuje tylko posłusznie wykonuje rozkazy. Jego milczenie wymusza posłuszeństwo, bo nawet, kiedy nic nie mówi, wszyscy i tak wiedzą, co mają robić!

Dusza jednak upiera się, żebym miał usta

- Może jak trencz?

- Tragiczny.

- Nie podoba się panu?

- Podoba, nie podoba - czy to ważne! Ja tylko mówię, że trencz to najbardziej tragiczny ze wszystkich płaszczy.

- Czemu?

- Bo działa pod przykryciem, w tajnych policjach, więc wszyscy nim gardzą. Pierwszy lepszy mundur rozdziawia pysk w górę i krzyczy: ho-ho! Jestem silny i zaraz wszystkich was zabiję! Musi taki być, nie ma rady, tak go skrojono.

A trencz? Co on może? Panienska zobaczy jego klapy:

szczelina ust opada mu w dół i jest tak wąska, że ledwie można tam włożyć niedopałek papierosa. Przez te zaciśnięte

usta on może szepnąć tylko jedno słowo: *szmok!* Bardzo cichutko, żeby nikt nie słyszał. I zaraz chowa się do bramy. Nikt nie traktuje trenczy poważnie i one bardzo cierpią z tego powodu. Mundury, kiedy widzą trencze, a zwłaszcza ten ich miękki kapelusz zamiast hełmu, pokładają ze śmiechu - dosłownie ścielą się na podłodze!

Dusza nie wie, co powiedzieć, więc oczywiście kicha, potem robi numer z chusteczkami i wybiega z pracowni. Wraca po minucie, bo w końcu trzeba jakoś rozstrzygnąć problem moich ust. Z-jn proponuje „wyoblanie“, tak aby klapy stały się miękko zaokrąglone, obłe, bez kłujących w oczy szpiców - lecz Dusza protestuje.

No i stanęło na tym, że niczego nie obwieszczam na dwie strony świata, nie jestem smutny ani wesoły, moje klapy nie lśnią atłasem, jak klapy tuxedo.

W ogóle nie mam ust. Zostałem skazany na milczenie.

Nie ja jeden.

Przyglądasz się czasem swoim płaszczom, marynarkom lub butom? Drobnym idiosynkrazjom, które pojawiają się w czasie trwania waszego związku i z wiekiem stają się nie do zniesienia? Buty przedrzeźniają wady stóp tak długo, aż staną się ich obraźliwą karykaturą. Albo ten nerwowy tik

**odchylający połę płaszcza! Jak to możliwe, że ośmiesza cię
twoje własne ubranie! Marynarka na starość traci fason,
wypycha się, rozchodzi w szwach - oddalacie się od siebie i
rozwód wydaje się nieuchronny. Guzik, który kiedyś tak
uroczo podkreślał twoją talię, nagle staje się surowym
sędzią i ogłasza wyrok: dziesięć kilo nadwagi, rok surowej
diety!**

Horror, horror!

**Żyjecie razem, zgodnie czy nie, krótko lub długo, wy i wasze
marynarki, spódnice, umiłowane koszule, nierozstawalne
swetry. Czy przyszło wam do głowy, że one właśnie będą
tymi, które kiedyś o was opowiedzą? Jak powiedział Jakub
Boehme: „Każda rzecz ma usta do objawienia się!”**

**Ja jestem opowieścią o Duszy, namiętą perorą o naszym
burzliwym związku. Z klapami czy bez, stałem się Jej
obrazem, prawdziwszym niż Ona sama.**

**Z początku, rzecz jasna, miałem ją za nic - ot, zwykły
dodatek krawiecki niezdolny do samodzielnego życia,
moje lustrzane odbicie zszyte ze śliskich kawałków, iluzja
podszywająca się pod mój kształt. Ubranie na wspak jest
dobrze ukryte, prawie niewidzialne. Mało kto się nim
zachwyca i tylko czasem, przez sekundę, można dostrzec jak**

**lśni. Dziwne, ile wiotkich teorii mnoży się na jej temat! Dla
Freuda jest membraną do osadzania snów i fantazji, dla
innych Kartezjuszową „szyszynką” – sekretnym miejscem w
mózgu, gdzie myśl umawia się na schadzki z ciałem. Dla
jeszcze innych, podszewką Malebranche’a - jedyną
Prawdziwą Substancją, nieziemskim blaskiem, który mną
porusza. Po latach odkryłem, czemu jest we mnie:
introwertyczna przyjaciółka chroni moje wnętrze przed...
Duszą! Paradoks? Nie! Materialna konieczność. Połyskująca
Szara Eminencja zbiera wszystko, z czym ja nie umiałbym
sobie poradzić. Czasem ogarnia mnie zwątpienie: a co, jeśli
Dusza jest moim wrogiem? A Jej miłość to podstęp? Na
szczęście jest podszewka - zona bezpieczeństwa cedzi
rzeczywistość. W rzece zapomnienia z szarego jedwabiu
tonie strach, rozpacz, gniew Duszy. I proszę – po tylu latach
jestem prawie bez skazy, można mnie przenicować w każdej
chwili! Moje szwy dobrze trzymają, fason trwa
niezmieniony, oparłem się wojnie i molom, wciąż w
doskonałym gatunku czarny gabardynowy płaszcz.
Krawiec wsłuchuje się w moje myśli opuszkami palców,
uśmiecha się smętnie. Mości moje szorstkie wnętrze,
szykuje mnie na Jej przyjście. Satynowa swatka dokładnie**

wyściela moje plecy, ramiona i talię, żeby Ona, Dusza, mogła być ze mną.

Ostatnia przymiarka i bez tchu, jak martwy, zsunąłem się z Jej rozgrzanego ciała - musiała iść!

Ty-n również przypomniał sobie coś ogromnie ważnego, szybko zdjął marynarkę, aż zajęczały fastrygi, a jedna ze szpilek wbiła mu się w ramię. Marynarka zawisała na wypchanym trocinami manekinie, a mnie krawiec rzucił na pożarcie Primadonnie.

Była Angielką. Miała malutką główkę, płaskie czoło i cienką, czarno-złotą talię z napisem Primadonna, pewnie Singerowi na złość! Krawiec ją uwielbiał.

W strudze okiennego światła, najlepszego światła, jakie było w pracowni, połyskiwał jej srebrny kieł, ostrzem skierowany prosto w dół. Wiedziałem, że ta wytworna rzecz, którą kuzyn Z-jna przysłał statkiem w drewnianej skrzyni aż z Glasgow, uczyni ze mnie prawdziwy płaszcz. Do tej pory byłem tylko możliwością, sfastrygowaną ideą, luźno spiętą koalicją – przypadkowy strumień powietrza mógłby mnie porwać, rozwiać i poskładać do nowa w zupełnie innej konstelacji! Teraz kończył się czas prób i przymiarek. Zbliżało się coś, co miało utwierdzić moją tożsamość na długie lata.

Kiedy jesteś młodym płaszczem, nie przychodzi ci do głowy, że możesz być kimś innym - jesteś przecież doskonały! Zostałeś doskonale wykończony, twoje granice już się nie strzegają, są ostateczne i nieodwołalne, bo Krawiec zamknął je osobiście ścięciem przypominającym zasieki z kolczastego drutu. Nie-ty, resztki ciebie samego, drobne ścinki, dawno spłonęły w piecu i zabrały ze sobą największą tajemnicę: że mogłeś być kimś zupełnie innym! To, co w czasach twojej młodości wydało ci się pewne i nieodwołalne - twoja tożsamość - nagle budzi wątpliwości i nie wiadomo skąd, pojawiają się nowe formy egzystencji: dziecięca pelerynka? Pokrowiec na parasol? Z zakłopotaniem witasz nowy kształt, trochę się wzbranasz, ale już wiesz - trzeba się zmieniać! Lepiej nie upierać się przy starych szwach, bo już i tak jesteś niemodny i zajmujesz miejsce w szafie, a tak, lekko przycięty w kwadrat, dobrze się komponujesz z innymi - i proszę! Odtąd wchodzisz w skład większej całości: NARZUTA NA TAPCZAN.

- Popatrz! To ja, drugi od lewej w trzecim rzędzie, nad tym kawałkiem wyciętym ze spodni N-a, tuż obok szmizjerki W-y, są nawet nogawki pierwszych jeansów Ro-a, cała rodzina, wszystkie pokolenia razem na jednej kanapie. Kogoś

brakuje? Spódnicy w zieloną pepitkę? Od lat nikt jej nie widział. Podobno wciąż żyje w Karpatach jako kamizelka ciotki P-u.

Krawiec zdejmuje buty, opiera stopy na żeliwnej ażurowej tafli. Piętę prawej nogi kładzie na górnej krawędzi, palce lewej na dolnej, dłonią kręci złoconym kółkiem, który tkwi tam, gdzie kończy się tułów Primadonny, i łapiąc chybotliwy rytm, z terkotem wzbija się w górę.

Oddalają się czarne bruzdy pól, zakola cięć, rozpadliny zaszewek, a on leci wciąż wyżej i wyżej! Kiedy czuje, że traci moc, wtedy szybciej depcze nogami żeliwny pedał, żeby nie spaść. W końcu poczuł szum w uszach, a potem krótkie – “pach”. W porę pochylił głowę i przemknął na nice.

Płynie teraz spokojnie, bez żadnego wysiłku, niesiony terkotliwą mantrą Primadonny. Patrzy z góry na materię świata pociętą na kawałki, z której wąsaci krawcy zszywają pośpiesznie wojenny uniform. Totalitarne samodziały, sparciałe demokracje, połatane sojuszami, jak strój klauna – cała Europa trzeszczy w szwach! Zakręcił kółkiem, najmocniej jak potrafił, i razem z Primadonną runął w otchłań! Pędzili razem na dno upadku, gdzie nic nie było na swoim miejscu, ani takie, jakie powinno być. Wędrował

przez upadłe światy, aż na dnie swojej duszy dostrzegł równy prosty ścieg. Podążył za nim. Zbierał rozrzucone fragmenty, przywracał im właściwe miejsca i ocalał szwem. Kosmiczny szabat nie trwał długo, ocalone światy szybko się rozpadały i pracownia znów usłana była ścinkami - Krawiec miał pełne ręce roboty. Zaczęła się mobilizacja.

W środku lata, żakiety i kolorowe sukienki rozpierzchny się, jak cywile uciekający przed bombami - do pracowni wkroczyły mundury. Zaczął się czas szablonu! Odtąd bezwzględne rozkazy regulowały szerokość klap i nogawek. Sądy wojskowe w trybie nadzwyczajnym orzekały o długości spodni i nawet od drobnych rozporządzeń na temat patek przy kieszeniach nie było odwołania. Wszędzie leżały formy wycięte z pożółkłych gazet, ogromne linijki, kątomierze, krzywki. Krawiec dodawał, mnożył, dzielił, najeżone szpilkami usta Z-jna przypominały fortecę. Wyrzucał z siebie słowa jak kule armatnie - kanonada trwała nieprzerwanie. Na manekinach generałowie bez głów, wypinali pękate brzuchy. Niższe szarże wisiały na oparciach krzesel - nie ukrywały lęku i zwątpienia. Z-jn musztrował je sztywną włosianką z końskiego ogona, wypychał watą, dodawał odwagi szarym płótnem, a niektórych, wbrew

**rozkazom, awansował oficerskim sznytem. Wszystko na nic!
Armia wciąż rozłaziła mu się w rękach.**

- No co ja mogę! -wzdychał. - Za późno na krawieckie sztuczki!

Pod koniec sierpnia wkroczyło do pracowni małe wojsko o nieforemnych duszach. Krawiec przyoblekał je w materialne ciała w granatowym kolorze, z niebieską wypustką na rękawach. Kroił dla nich szynele i mundurki, szybko, na czas, bo ich wojna nieodwołalnie zaczynała się pierwszego września! Żołnierze gnozy już czyścili skórzane trzewiki, a czapnik naszywał haftowany kaganek na otoku czapki. Z-jn zna ich wszystkich po imieniu i materię ciała kroi tak, by nie uwierała duszy: odstające łopatki dostają tajną przestrzeń ukrytą przed okiem Dyrektora Szkoły; wypięty brzuch znika pod wykrochmalonym sztywnikiem, a czarodziejski pagon unosi do góry niższe ramię. Co najważniejsze: Krawiec niczego nie wyklucza, niczego nie przecina, nie odcina, tylko zbiera i marszczy. Nadmiar nieużytego jeszcze życia zagina w fałdy - plisowany wachlarz możliwości rozwinie się w dogodnej chwili. Zakładka staje się zakładnikiem niepodjętych decyzji, albo schowkiem na marzenia. Hojnie ofiarowany zapas ukrywa wahanie.

- Nie wiesz, kim będziesz, kiedy dorośniesz? - mruczy cicho Z-jn. - Nie martw się! Pamiętaj, zawsze można odpuścić! Musisz tylko znaleźć to miejsce w ciele, gdzie zaszyłem ci szmat wolności. Tam ukryte jest wszystko, co teraz wydaje ci się niemożliwe.

Pochodzę z czasów, kiedy ciała były starannym rękodziełem. Każdy krawiec, dobry czy zły, zanim zabrał się do pracy, musiał sobie zadać parę pytań: czym jest dusza? Czym jest ciało? Czym jest to, co je łączy? Potem krawiec szył odpowiedź, wieszał ją na wieszaku, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Najwięksi Sartorzy obnoszą na wybiegach swoje manifesty, wystawiają je za szkłem w sklepowych witrynach, albo drukują na błyszczącym papierze. Wtedy już wiadomo, komu powierzasz materię swojego losu, bo każda zakładka, to założenie, a każde cięcie to aksjomat! A najdziwniejsze jest to, że w sezonowej zmienności kształtów i kolorów, ich odpowiedź pozostaje niezmienna.

Issey Miyake: po raz pierwszy zobaczyłem duszę, kiedy miałem siedem lat. Spadła z nieba pewnego letniego dnia, jedna dla wszystkich - przynajmniej w promieniu kilku kilometrów - i ożywiła materię. To było w Hiroszynie, tam,

gdzie się urodziłem. Od tamtej pory wiem, że kontury rzeczy są złudzeniem. W każdej rzeczy ukryte są niewidzialne zakładki i fałdy, i jeśli tylko pojawi się jakaś dusza, wtedy domy, ludzie, drzewa, psy i koty rozwiną się jak wachlarz. Tak powstały moje słynne plisy.

Kiedy dusza spadła na Hiroszimę, ubrała domy, ludzi, zwierzęta w gęsty obłok i uniosła do góry. Stąd wiem, że dusza nie jest czymś, co nosimy w środku. Dusza jest ubraniem ciała: okrywa ciało, a nawet je ukrywa - tak dokładnie, że ciało znika i nic po nim nie zostaje. Najgorsze, że nigdy nie wiadomo, kiedy i komu taka dusza się przytrafi. Dusza przytrafiła się Hiroszynie bez ostrzeżenia i zabrała ją ze sobą. Tamtej Hiroszimy już nie ma. Nie wiem, gdzie jest. Kiedy coś wędruje w chmurze do nieba, chrześcijanie z Zachodu mówią o „wniebowstąpieniu”. Możliwe, że moja Hiroszima „wniebowstała” ubrana w plisowany obłok duszy. Nie mogę uwolnić się od myśli, że spotkanie ciała i duszy zawsze oznacza śmierć.

Alexander McQueen: Nienawidzę jej! Jest nieobliczalna i jeśli nad nią nie zapanujesz - zaczyna cię deformować.

Rozsadza ciało od środka, jak wariat zamknięty w pokoju o miękkich ścianach. Co można zrobić? Starzy mistrzowie z

Savile Row pokazali mi, jak poskromić duszę - liczby, liczby, i jeszcze raz liczby! Ciało to matematyka. Twarda obręcz. Wiązanie i nacinanie. Tworzę idealne ciała, żeby ukryć pod nimi to, co nieudane, miękkie i słabe. Dusza jest słaba. Tworzę katedry XXI wieku, żeby bogaci grzesznicy mieli się gdzie ukryć.

Vivienne Westwood: dusza? Nie istnieje! Istnieje tylko Historia, wszędzie jej pełno. Lubię nadmiar dziejów. Upinam Historię w fałdy, kokardy i falbany a potem ją sprzedaję. Historia to ciągle zmiany, nieustająca walka: wąskiego z szerokim, kapitału z pracą. Można się zastanawiać, co było pierwsze: strój czy rewolucja? Strój, oczywiście! Pamiętacie sankiulotów? Czym byłaby francuska rewolucja bez tych spodni! Wszystko zaczyna się od ubrania - własnymi rękami obszyłam dwie rewolucje. Najpierw, w „Let it Rock” sprzedawaliśmy z Malcolmem drapowane garnitury dla gówniarzy udających Edwardiańskich dandysów. A potem przyszło „obcisłe” i dało w dupę fałdom i draperiom! Walki trwały przez kilka dni, dosłownie bili się na ulicy! Ja i Malcolm szybko otworzyliśmy nowy sklep - „Sex” - żeby obsłużyć nową rewolucję. Nancy kupowała u mnie podarte pończochy, Sid wąskie spodnie i kurtki nabijane ćwiekami.

Tylko, że w środku, jak zawsze, nie było nic! Dusza nie istnieje! Jest tylko Ubranie - kolejne wyrzucenie Historii. Rei Kawakubo: boję się duszy! Dusza to pęknięcie materii, przez które widać otchłań! Dlatego duszę trzeba owijać ciałem i mocno wiązać. Alexander się pomylił - duszy nie można uleczyć, nie da się nad nią zapanować, ani liczbą, ani logiką. Jeśli się jej nie zwiąże - rozsadzi ciało! A kiedy dusza uwolni się z ciała, staje się niebezpieczna! Staje się *ikiryo*. Babka opowiadała mi o tym, ile zła może wyrządzić taka dusza! Służąca Pani Rokujo niezbyt starannie zniewoliła ją kimonem, a potem *ikiryo* Pani Rokujo zadało tyle cierpień żonie Pana Genji! Chociaż tutaj, w Japonii, ciała mocno opinają dusze, uważam, że to nie wystarczy - dusza zawsze znajdzie sposób, żeby się wymknąć. Dlatego moje ciała osiadają na duszach jak narośl, zapuszczają w niej korzenie i - powoli zżerają dusze.

Z-jn wiedział o duszach wszystko!

Znał ich depresje i wypukłości, miejsca niedotykalne i niewrażliwe zgrubienia. W ciągu tygodnia, (no, góra dwóch!), potrafił obszyć każdą z nich w to, czego akurat potrzebowała. Banitom szył domy, słabym fortece, poranionym blizny. Ci, co pierzchali we wszystkie strony,

prosili Krawca o miękkie imadło, które ich przytrzyma, a wtedy płaszcz od Z-jna stawał się upragnioną obręczą, stylistycznym zarysem, dzięki któremu mogli się zobaczyć. Zdarzało się, że Z-jn Miłosierny ukrywał dusze w miękkich labiryntach, żeby nikt ich nie znalazł. Jeśli chcesz wiedzieć, co myślał o tobie ten, który cię obszył - wyjmij z szafy ulubione ubranie, stań przed lustrem i popatrz!

Byłem jeszcze w pracowni, wisiałem na wieszaku czekając na Duszę, kiedy nocą przyszedł do Z-jna sam Urke Nachalnik. Błaga Urke, żeby go Krawiec płaszczem ocalił, bo Cwajnos i policja cała biegną tu za nim! Urke sam już nie wiedział, czy bardziej boi się policji, czy swojego szefa bandziorskiego, który przypominał buldoga. Z-jn Nachalnika obejrzał, obmierzył, a potem przez godzinę ciął i fastrygował. Gdzie był szmat drogi – tam zaszył. Gdzie las – wypruł przecinkę. Skrótów narobił, jakich tam wcześniej nie było, a wszystko, rzecz jasna, z najlepszej nocnej gabardyny. O świcie wpadł do pracowni Cwajnos ze swoją bandą, patrzą, a tu Nachalnik stoi sobie w nowiutkim płaszczu, jak gdyby nigdy nic - i jeszcze się uśmiecha! Rzucili się do płaszczu, wszyscy naraz – i w płaszczu przepadli!

Zagubili się między połami, w fałdach, plisach, ślepych tunelach. Gonią tam jedni drugich do tej pory.

Opowiadał mi jeszcze Z-jn o ślubie panny W-skiej, bardzo pięknym i, jeśli wolno tak powiedzieć o ślubie, nadzwyczaj udanym. A udał się ten ślub dzięki Z-jnowi jedynie, bo narzeczony panny W-skiej słabe miał płuca i umarł akurat w dzień ceremonii, ze zdenerwowania. Ach, co to był za szok! Tu goście zjechani, tam panna młoda cała w szlochach leży - prawdziwa katastrofa! I wtedy właśnie nadszedł Z-jn z garniturem dla pana młodego, pięknie wykończonym - pomyślał chwilę i mówi, żeby jednak niczego nie odwoływać. I zagrały organy *Veni Creator!* Nawet nikt się nie zdziwił, kiedy piękna para młoda weszła do kościoła i ślub się odbył. Zresztą nie tylko ślub, ale i chrzciny, bo potem rok w rok dzieci się rodziły piękne - jak spod igły.

Innym znowu razem przyjechał nocą do Z-jna biskup z miasta, mówi, że utracił wiarę i czy nie dałoby się jakoś tego ukryć, bo wszystko widać - zwłaszcza w czasie procesji na Boże Ciało. Całą noc szeptali, szurali, ale rano biskup odjechał cały sztywny i gładki - żadnych załamania ani wątpliwości. Mówią, że stelażem z Ezechiela, którego imię znaczy: „Bóg siłę daje”, Z-jn od spodu w wierze go umocnił,

a drzazgi zwątpienia wypruł i spalił. Z wdzięczności biskup obiecał przez dwie niedziele modlić się o przebaczenie dla Z-jna, który podobno zamordował Pana Jezusa...

Ciała gotowe do włożenia szyto fabryce na podstawie Ogólnej Teorii Duszy wymyślonej przez inżynierów. Każde miało numer wszyty na stałe tuż przy szyi, i chociaż liczb jest nieskończenie wiele, te urywały się nagle, bo kto się wymknął Teorii, temu inżynierowie ciał nie mogli pomóc. Przewrót Kopernikański już się dokonał: teraz ciało wybiera sobie duszę. Stoi nieruchome za szklaną szybą z doczepioną ceną, żeby każdy od razu wiedział, czy go na nie stać. Masz kasę i umiesz się dopasować – będzie twoje. Zakocha się w tobie od pierwszego wejrzenia w lustro lub ostentacyjnie nie pozwoli się zapiąć.

O Domach Towarowych opowiadano w Miasteczku przerażając historie. I-ś, będąc kiedyś w Mieście, przypadkiem zabłądził do TAKIEGO miejsca.

- Wiszą tam, jeden za drugim, od najmniejszego do największego a rajfur na prowizji, albo burdelmama o wyglądzie księżnej, mierzą cię wzrokiem, zdejmują ubranie z wieszaka i zapraszają do małego pokoiku za pluszowymi kotarami. Tam, w fałszywym świetle, w otoczeniu luster

skłonnych do przesadnych komplementów, szybki niezgrabny *coitus* staje się wstępem do dłuższego związku.

- Nie pije, dopina się!

To słowa na nową drogę życia.

Za tymi kotarami dochodziło do dziwacznych zauroczeń, związków nieostrożnych i niedopasowanych! Brzuchaci urzędnicy tracili głowy dla włochatego lodenu w kolorze *caca d' oie* - „gęsiego gówna”. Kobiety o pękatych łydkach omdlewały w objęciach krótkich płaszczków.

Rajfur uśmiechał się obleśnie błogosławiąc związki cmoknięciami, a potem wręczał rachunek.

W domu rodzinne lustra waliły prosto w oczy oślepiającą prawdę! Pojawiały się wstyd i skrucha

- Nie rozumiem, co się ze mną stało, przecież ja nigdy...

Następuje wyznanie win, szukanie paragonu w kubie na śmieci i upokarzający powrót do sklepu. Rajfur, ze wzrokiem utkwionym nad głową nieszczęsnej duszy, już się nie uśmiecha, tylko z pogardą wykrzywia usta w podkówkę - ten grymas, niegdyś główny aktor dziecięcych tragedii (zraniony? oszukany?), teraz obsługuje inną rolę:

Sprzedawca-Uboższy-O-Prowizję!

Mnie, oczywiście, to wszystko zupełnie nie dotyczyło!

Odprasowany czekałem na coś, co w pracowni Z-jna nazywano „duszowstąpieniem“.

Pod ścianą I-ś zastygł z miotłą w ręce. Z-jnowa z Najmłodszym na ręku i sześcioro Z-jnowego drobiazgu w różnym wieku nie wydają z siebie żadnego dźwięku. Dusza wchodzi we mnie skupiona, bez uśmiechu, bo nagle nie ma pewności - czy to na pewno ja? Czy jestem jej pisany, krojony i szyty?

Waha się. Nie jest pewna, czy chce być rzeczą o sterczących ramionach i półkolistym ogonie. Bryłą o kanciastej powierzchni, pełnej zakładek, szwów, ściągów, czarnym dziwadłem. Zmaterializowane marzenie może być pułapką, jeszcze jest czas, żeby się z niej wyśliznąć i – uciec!

Chwytam Duszę ze wszystkich stron, niezgrabnie obejmuję jej talię, piersi i biodra - nagle czuję, że przestałem dobrze się układać! W panice próbuję przypomnieć sobie wszystkie Jej wgłębienia i wypukłości, lecz, jak na złość, wybrzuszam się i kurczę nie tam, gdzie trzeba. Nie przylegam, nie pasuję. Odstaję.

Z-jn mocno trzyma Duszę za rękę, prowadzi do wielkiego lustra opartego o ścianę pracowni, centymetr na jego szyi

przypomina księżowską stulę.

- Onpodobasie?

No! Spójrz na mnie! Zobacz mnie! Byłem cieniem na płótnie a teraz jestem tu, bo mnie pragniesz! Twoja miłość jest zbawieniem od fragmentów, ocala mnie całością, mocniej niż szew. Wypełniasz pustkę, którą noszę w sobie, więc niech ta przymiarka będzie nowym przymierzem. Miłość to krawiectwo na miarę.

- Onpodobasie?

Nie wiem, co zrobię, jeśli zaraz nie zakochasz się we mnie. „Przecież jestem tylko po to, żeby kochać mnie!” - śpiewa ciemnym gabardynowym głosem Marlene.

Dusza patrzy na odbicie w lustrze. Czuję, że moje ramiona się unoszą, a Jej oddech staje się moim oddechem. Słyszę jak bije we mnie Jej serce. Ciepło wypełnia moje ciało. Żyję! Coś kapie na mój tors, zagięcie rękawa wędruje do oczu Duszy, jakby nie mogła znieść mojego widoku. Dusza płacze!

- Całe życie o nim marzyłam! - szepcze.

Z-jnowa się śmieje, dzieci klaszczą, a my, Dusza i jej płaszcz, unosimy ręce i wirujemy przed lustrem.

Myślałem, że od razu zabierze mnie do domu - byłem przecież gotowy! A jednak ciągle wiszę w kącie pracowni na

drewnianym wieszaku – unoszę się nad podłogą jak duch zatrzymany w pół drogi między życiem i śmiercią. Już nie martwy, lecz i nie całkiem żywy.

W piątek, o siódmej rano, Z-jn zdjął mnie z wieszaka, obejrzał raz jeszcze - sprawdził, czy ONO dobrze się układa. Potem delikatnie owinął szarym papierem, poklepał na pożegnanie i wręczył I-siowi. Opuszczałem pracownię tego, który mnie stworzył, a przede mną rozciągało się coś, co Z-jn nazywał „całym życiem”. Nie rozumiałem, co to znaczy, ale wiedziałem jedno: teraz będę miał Duszę, moją własną!

W letni poranek, słoneczny, lecz już powleczony mroźną glazurą, pomocnik Krawca idzie przez Miasteczko, wymachuje mną we wszystkie strony, podrzuca i łapie, mówi komuś „dzień dobry”, zaczepia chłopców w gimnazjalnych mundurkach idących do szkoły po raz pierwszy po wakacjach – niewiele od nich starszy I-ś czuje się dorosły, bo zamiast mundurka ma elegancką marynarkę uszytą z resztek garnituru mecenasa M-r. Tej marynarce nie mogą oprzeć się dziewczyny, które I-ś zaprasza do kina. Nagle przystanął a ja usłyszałem metaliczny terkot. Znałem ten dźwięk.

- Primadonna! Primadonna leci nad naszymi głowami! -

ucieszyłem się.

Jej ostry kieł błyszczący w słońcu, szyje bryt jasnego wrześniowego nieba. Jednak ten świat nie różni się tak bardzo od pracowni Z-jna!

I-ś nie podziela mojej radości. Skulony osłania mnie kurtką, jego serce bije szybko. Maszyna leci nisko, czerwoną nicią przyszywa do ziemi ludzkie ciała. Jedni leżą na ulicy nieruchomo, inni próbują zerwać szew, ciągną za sobą krwiste włókna.

- Lepiej wracajmy, I-ś! Do pracowni, do Z-jna, nie podoba mi się tutaj!

I-ś biegnie. Goni nas dźwięk, ale tym razem nie jest to ażurowy terkot Primadonny. Ten nowy dźwięk jest inny - ciężki, ciemny, lity - i zasłania całe niebo. Biegniemy, a nad naszymi głowami drży czarna membrana. Nagle od tej czerni odrywa się jedna piskliwa nuta, leci prosto w dół, jak nić obciążona ołowiem - nigdy nie słyszałem tak prostopadłego dźwięku! Dotyka ziemi i... nic! Cisza! Jak wtedy, gdy w kinie zepsuł się głośnik a ludzie na ekranie wciąż otwierali usta, chociaż nikt ich nie słyszał. Ktoś pokazuje palcem niebieski ekran nad naszymi głowami. Zawity wzór w kształcie kościelnych hełmów, dachów,

kominów, wysyty przed setkami lat – znikną! Niebo jest puste. Ludzie patrzą zdumieni. Tak, jak odpruta kieszeń zostawia na materii jaśniejszy ślad - ta pustka na niebie wciąż ma znajomy kształt.

Biegniemy dalej. Mijamy sklep bławatny Mojżesza H-nna. Mimo wczesnej pory, sklep jest „otwarty” – wybuch, dosłownie, rozłupał go na pół!

W środku Sklepu trwa karnawał! Runęła drewniana hierarchia z dębowych półek, pory roku wymieszały się ze sobą: włochaty loden pokrył szronem kretonowe łąki, zimowe wełny ocknęły się pośród jasnych tropików. Len w ornacie z brokateli gzi się z rypsem; jedwabna duchesse śpi w konopnych objęciach watoły, a cajn, cwelich i drelich, jak Trzej Królowie przykryci złotogłowie, podążają na Wschód. Nad tym wszystkim kłaczy się pluszowa pożoga! Rej wodzi klepsztak, najpodlejsza z podłych materii, nietkany zacier z sierści zwierząt, do ubijania, do naciągania, miazga z odpadów, która przybierze każdy kształt, jaki nada mu siła - w jego spletanym wnętrzu szczyrzy się wilczy włos. Nigdy nie widziałem go w Sklepie, pewnie trzymano go w ukryciu. On jeden przetrwa wszystko. Idzie czas klepsztaka. Na ladzie wywyższona niezrozumiałym podmuchem leży

zapomniana wełna o skośnym splocie. Nie szlachetna gabardyna, lecz zdradziecka vichy, która z każdym dobrze się układa. Jeszcze będzie o niej głośno.

K-z przybiegł pierwszy, zebrał wszystkich nikogo nie wyróżniając. Żył z nich przez wiele lat, odkąd powrót H-nna stał się

- No, cóż... - K-za ostrożnie cedzi słowa ... z pewnością niepewny.

Czy mówiłem, że K-z był skośny?

Mówiłem.

Wojna umilkła. Od miesiąca mieszkam u Ady B-g, ale na razie siedzę w szafie. Z lewej strony ciemności napiera na mnie wojskowy Szynel ojca Duszy, z prawej brązowa Szuba Jej matki. Zawieszane życie solidnie utrwalone naftaliną - w tym dziwnym stanie czekamy na coś, co Szynel i Szuba nazywają „selekcją”.

- Zwykle na wiosnę albo przed Bożym Narodzeniem, słyszysz krzyki, drzwi otwierają się na oścież, a ty, oślepiony światłem kulisz się, zwijasz, chowasz. Ktoś szarpie cię za rękaw, wyciąga siłą i rzuca na środek pokoju i leżysz z innymi na podłodze, skłębiony, poniżony, pozbawiony kształtu. Oglądają cię, szukają skazy, oznak choroby i

podeszłego wieku. Biją otwartą dłonią, wywracają na lewą stronę a potem... zapada wyrok: na biednych, na nice, przerobić, spalić - mówi Szuba.

Szynel nie podzielał obaw Szuby.

- Nie pali się wojskowych mundurów, to kwestia honoru i konwencji haskiej. Co innego cywile! - w tym punkcie zgodził się z Szubą.

Nie obawiałem się selekcji - byłem absolutnie doskonały!

Piękny, nowy, modny, niczego mi nie brakowało, a jeśli Dusza chwilowo ukryła mnie w szafie, to znaczyło, że troszczy się o mnie - na wojnie, jak wiadomo, okropnie się kurzy, bez przerwy coś się pali, a maszyny latające po niebie robią dziury w ludziach i odzieży. Poza tym było jasne, że wojna za chwilę się skończy, jak tylko Anglia i Francja...

W połowie listopada Dusza jednym szarpnięciem otworzyła drzwi szafy, zdjęła mnie delikatnie z wieszaka, założyła i stanęła przed lustrem. Zobaczyłem, że schudła, przygarbiła się - wisiałem na niej bez wdzięku. Próbowałem być swobodny, zuchwały i pewny siebie, ale Ona szybko mnie zdjęła i położyła sobie na kolanach. Nie znałem tej pieśczoły. Coś błysnęło w Jej rękach. Nożyczki? Dusza wycięła jaskrawożółty kawałek, a potem igłą, boleśnie

dziurawiąc moje ciało, przyszyła mi sześćioramienną łątę na przodzie i na plecach.

Leżę oszołomiony. Nie rozumiem! Kiedy opuszczałem pracownię Z-jna, niczego mi nie brakowało, niczego już nie można było dodać. Byłem gabardynowym płaszczem z jedwabną podszewką i ręcznie haftowanymi dziurkami, a teraz... moja doskonale wykończona tożsamość, potwierdzona podwójnym szwem przez Primadonnę, osobiście zaprasowana przez wilgotną szmatę przez Z-jna - okazała się niekompletna? Było we mnie coś, o czym do tej pory nie miałem pojęcia, a co koniecznie należało zaznaczyć jaskrawym kolorem w widocznym miejscu.

- Dopinana pasmanteryjna tożsamość! - powiedziała Dusza ponuro.

Powiedziała, że nie jestem już zwykłym gabardynowym płaszczem. Od dziś oboje jesteśmy tym skrawkiem materiału w kolorze „żydowskożółtym“, jak obębniiono na mieście w specjalnym rozporządzeniu. Jednak ja przysięgłbym, że to była „siarkowa żółć“ Schiaparelli.

Reasumując: jestem Żydem, bo skroił mnie Żyd i mam żydowską Duszę. Moje szwy są „wybitnie“ (tak się mówi) semickie, a sznyt niearyjski. Moim przodkiem był

gabardynowy płaszcz Shylocka. Przez wieki takich, jak ja, próbowano odwracać na właściwą stronę, kroić i kroić od nowa, ale dziś już wiadomo – to wszystko na nic! Nie fatygujcie się! Mnie nie da się przenieć, przesyć, ani spruć! Nawet, gdyby wykrojono ze mnie papieski ornat - i tak niczego to nie zmieni. Wszystkiemu winna jest materia, z której zostałem zrobiony - gabardyna! Moje zalety, nagle stały się wadami. Skos okazał się „podstępny”, bo „omija proste drogi”, a miękkość i łatwość z jaką przylegam do wszystkiego – „oszukańcza”! „Spit upon my Jewish gabardine!”- powiedział nieśmiertelny Szekspir, a jego słowa również stały się nieśmiertelne.

A gdyby tak... rozszarpać mnie, zmiażdżyć, rozkłaczyć do najcieńszego włosa, a potem zakręcić wirem historii jak kołowrotkiem i uprząć ze mnie całkiem nową, bezgrzeszną nić?

Nie dajcie się zwieść!

Z lennych Słowian o grubych łykach, można, od biedy, utkać niewolniczą materię ostatniej kategorii, przeznaczoną wyłącznie do ciężkiej pracy, ale mnie, panie i panowie, można tylko - SPALIĆ !

Oto życzenia jakie otrzymałem od świata w dniu urodzin.

Nie rozpaczam, trzymam fason, bo najważniejsze, że mieszkam w domu Duszy i jesteśmy razem. Mam swoją Duszę – czego mi więcej trzeba?

Jej dymna natura, z błękitnymi wstęgami unoszącymi się wokół głowy, objawiła mi się już tego dnia, kiedy po raz pierwszy staliśmy przed lustrem w pracowni Z-jna. Oglądała mnie w skupieniu, jak surowy egzaminator.

Chciałem wydać się piękny i silny – dlatego potrzebowałem kawy.

- KAWY!!! - błagałem. - Chcę kawy! Niech czarna moc rozleje się we mnie i napełni jasnością.

Ale Dusza wyjęła metalowe pudełko z napisem „Morwitan“, otworzyła - i wtedy po raz pierwszy ich zobaczyłem. Widma, o skórze bladej, prawie przezroczystej leżące jeden na drugim, warstwami. Głowy tekturowego ustnika zwrócone miały w jedną stronę. Puste ciała - Dusza wybrała jedno z nich, wypełniła wnętrznościami z pachnących strużyn, ostrożnie ugniatała palcami, jak kawałek gliny, a kiedy poczuła, że jest gotowe - ożywiła bladą postać płomieniem.

- Palenie, boski przywilej, jeden z niewielu, którymi się z nami podzielił - powiedziała. - Po to nas sobie stworzył, żeby się nami dobrze sztachnąć i poczuć w sobie! On lubi patrzeć,

jak ognista krawędź przesuwa się wzdłuż naszych ciał, jak się spalamy, jak pochłania nas żar. Jednym pozwala tlić się długo i powoli, a potem gasnąć niezauważenie. Innych, tych wybranych, jednym haustem wypala się do końca. Strzepuje popiół, wydmuchuje duszę.

Nie wiem, co czuje ten, o którym mówi Dusza, ale kiedy Ona pali, dym wpływa w moje skośne żyły i odurza. Następnego dnia odurzenie zamienia się w odór! Dusza każe mi wisieć z tyłu za domem, żebym odśmierdł, ale, prawdę mówiąc, nawet wiatr nie potrafi uwolnić mnie od tego straszego zapachu. Dusza okadza mnie perfumami Shalimar, trzymanymi na czarną godzinę - lecz czy istnieje czarniejsza od tej? Z flakonem w rękach krąży wokół i naciskając gumową pompkę spryskuje mnie całego. Potem znowu muszę wisieć na podwórzu, bo tym razem, to zapach perfum staje się nie do zniesienia.

- Mogłabyś przestać palić! - zrzędzę. Robię się sztywny i zasadniczy, ale Ona i tak nigdy mnie nie słucha. Bo Dusza zawsze robi, co chce!

Jak każdy normalny płaszcz, ja również mam swoje nałogi. Uwielbiam taniec z Duszą w objęciach, bo wtedy Ona wypełnia mnie całkowicie i poruszona muzyką, unosi ze

sobą. Tylko w tańcu jesteśmy naprawdę razem - w tańcu żadne z nas nie może istnieć bez drugiego.

Dusza bierze do rąk czarny prążkowany zwój, igłą zahacza szumiący początek. Stajemy na środku pokoju, jesteśmy gotowi. Czekamy. Nigdy nie wiem, co mnie dzisiaj omota? Mozart? A może Chór Dana? Muzyka spod igły zawsze jest niespodzianką. Nagle, bez ostrzeżenia, wyboisty bęben wali mnie po splotach! Tom-tom jak młot rozbija moje wiązania, zaczynam podskakiwać, nie umiem tego opanować! Kiedy jesteś młodym płaszczem rezonujesz wszystkimi włóknami, całą swoją powierzchnią, nie stawiasz oporu! Niczego się nie boisz, niczego nie unikasz, chcesz poczuć każdy ból i każde szczęście, jesteś niecierpliwy i nieśmiertelny. Kołyszę się we wszystkie strony.

„La dee da, ho, ho, ho

Now you're singing with a swing”

Moja tekstura chwieje się i pęka - już nie jestem skośny, już nie układam się ze światem! Teraz jestem buntownikiem, odstaję od wszystkiego, zawsze niedopasowany i - zawsze czarny! Wykluczony z prążkowanego szeregu staję się zbiegiem, bo trąbki już drą noc policyjnymi syrenami,

**podkute buciory sypią się tremolem na bruk, crash brzęczy kajdankami przypiętymi do munduru, pałeczka stuka o metalowy rim werbla – tak! To trzask odbezpieczanej broni!
Nie mam już siły biec, wielki bęben huczy we mnie, ale Dusza - moja Dusza - kompletnie oszalała! Miota się we mnie, rytmicznie wyrzuca moje rękawy w górę - wolant jest w siódmym niebie!**

**Przeszywa mnie ostatni dźwięk, igła gramofonu z westchnieniem dobija się do krawędzi, ostatnie tchnienie zgrzyta pod igłą - szuup, szuupp, szuuuuup! Osuwam się na podłogę, Dusza rozpina guziki, gładko wymyka się ze mnie. Spocona i szczęśliwa, podnosi palec i mówi
- Poczekaj, zaraz wrócę!**

**No jasne! Jak mógłbym ruszyć się bez Niej!
Wraca. W rękach trzyma zapalony papieros. Znowu wciela się we mnie i stojąc w miejscu, zaczynamy kołysać się łagodnie. Ramionami obejmuje mnie w talii, mówi, że to „nasza piosenka“, chociaż ja nigdy wcześniej jej nie słyszałem.**

„Gdy odejdiesz, mnie zostawisz

Ja nie powiem, że mi serce krwawisz

Gdy odejdiesz, nic nie powiem

Nie odczujesz żalu ani w jednym słowie!"

Głos. Ktoś go zostawił na płycie.

Głos unosi się w powietrzu, obecny, ale bezcielesny. Ten

**Głos, wiem na pewno, pragnie materialnego kształtu,
wyraźnych konturów, chce być widzialny i dotykalny.**

**Domaga się duszy, w którą mógłby się ubrać i - ożyć. Wciąż
poruszam się płynnie, ale jestem pusty. Utraciłem Ją. Głos
mi Ją odebrał. Teraz jest z nim, w słowach, uczuciach, które
Jej ofiarowałem, a których ja nie mogłem Jej dać, bo nie
wiedziałem, że istnieją. Rozumiem, że Dusza potrzebuje
jeszcze innego kształtu niż dobrze skrojony płaszcz, ale...
dlaczego musi mnie zdradzać z tandetną piosenką?**

Rzecz w tym, że ja też... nie zawsze byłem Jej wierny.

**W czas pełni wielki pająk srebrnymi nitkami na nowo wplata
mnie w materię świata. Tęsknota wyrywa mnie z
prążkowanego szyku, rozdziera szwy - wymykam się sobie.
Znów jestem w sklepie H-nna, leżę na trzeciej półce od góry,
naprzeciw drzwi - bela czarnej materii, nierozpostarte
jeszcze istnienie.**

Dusza patrzy na moje odbicie w lustrze.

**- Co ci jest? - pyta ze smutkiem. Dłonią próbuje obciągnąć
zmarszczone poły - nie układam się.**

- Poczekaj! - mówi. Szybko narzuca mnie na gołe ciało i wybiega z mieszkania. Mijamy ostatni dom w Miasteczku, potem bruk zamienia się w wysypaną żwirem ścieżkę. Na końcu ścieżki znajomy kształt - jest! Czeka na mnie! Gabardynowa marynarka chwyta mnie w objęcia. Końce naszych włókien odnajdują się nieomylnie i splatają ze sobą, szwy zblizniają, zrastają cięcia - znika kontur obrębiony w pracowni Krawca i dwa fragmenty wieczności rozcięte niegdyś w sklepie H-nna, znów są jedną nieskończoną materią, jednym wątkiem pulsującym w rytmicznej osnowie. Mogę wędrować wzdłuż włóknistych zdarzeń bez krawędzi, bo nic nie zaczyna się i nie kończy, nic nie przemija, żadnego szczytu ani sedna - tylko rozpostarte trwanie.

Usłyszałem krzyk Duszy. Przerażony, chcę odsunąć się od marynarki, ale nasze guziki pomyliły dziurki - tak komicznie zaplątani, nie możemy oderwać się od siebie. Uparta marynarka nie chce mnie puścić, ja wcale jej w tym nie pomagam, bo niby czemu miałbym to robić! Dusza szarpie i urywa guzik. Po tamtej nocy został mi na ciele widzialny ślad. Puste miejsce. Nigdy nie znalazła podobnego guzika.

Nawet nie próbowała. Oboje sycimy się tą pustką, kiedy jest nam źle.

Codzienne rytuały. Rytmiczny deseń pozwala nam udawać, że nasze życie zupełnie się nie zmieniło. Rytuały supłają dni, bez tych supłów dzień rozpruły się i zamienił w bezkształtną masę. W skowyt. Filc.

A więc rano: „Pożegnanie ojczyzny”. Tak się składa, że Dusza nie zna innego poloneza, więc musi być ten. Zapinanie płaszcza to rodzaj tańca, gdzie po jednej stronie stoją w szeregu dziurki, a po drugiej guziki. Dziurki i guziki powoli, dostojnie łączą się ze sobą w pary w określonym porządku, tak, żeby na końcu, nikt nie został sam. Dusza mruczy poloneza, kiedy rano zapina moje poły, a jeśli dzień zaczyna się „Pożegnaniem...”, to wieczór rozbrzmiewa Marszem Żałobnym. Nienawidzę tej strasznej chwili, kiedy guziki tracą moc spinania nas ze sobą. Nienawidzę rozstawać się z Duszą. Wiem - istotą duszy jest odchodzenie, Ada potrafi porzucać mnie na milion sposobów, na przykład, kiedy w kinie wyslizguje się ze mnie i kładzie sobie na kolanach, albo wymienia na numerowany żeton w szatni a ja umieram ze strachu, że o mnie zapomni. Jednak wieczorem, kiedy jesteśmy sami w domu, zwykle odchyła ręce do tyłu, pociąga

**mnie za mankiety - chciałbym odwlec moment, w którym
mój kołnierz zatrzyma się na Jej nadgarstkach. Powoli,
niezgrabnie zsuwam się z Jej ramion - zawsze się boję, że
upuści mnie na podłogę, ale Ona chwyta mnie w ostatniej
chwili, milimetr nad ziemią, potem kolisty półobrót -
spadam na boleśnie drewniany wieszak, podporę twardych
snów, która przez noc zastąpi mi prawdziwą duszę. To nasze
cowieczorne ćwiczenie, przymiarka śmierci.**

**Zdarza się jednak, że zanim wyląduję na wieszaku, Ona
długo mi się przygląda, potem rękawy oplata sobie wokół
szyi i wiąże je w węzeł na karku. Wtedy mówię Jej
- Nie bój się! Przecież obiecałem. Będę Twoim cieniem.
Ciałem jak cień. Nie zniknę pewnej nocy ciemnej.
I czarnymi połami obejmuję Jej głowę a Ona, moja Dusza,
płacze we mnie.**

**Kiedy nie lubisz rozstawać się ze swoją duszą marzysz o
miejscu, w którym nie będziesz musiał tego robić, a kiedy
jesteś płaszczem, pierwsza myśl jaka przychodzi ci do głowy
to - szafa. Marzysz o wielkiej szafie, w której zamykają ludzi.
- Sssselekcja!!! - syczy Szuba. Nawet nie drgnąłem. Co mnie
może obchodzić jakaś selekcja! Jestem młody, piękny,
zdrowy - selekcja jest dla starych i nikomu niepotrzebnych.**

Trudno, tak urządzony jest świat – co miałbym na to poradzić? Szuba na pewno już omdlała ze strachu, kurczy się i chowa w najciemniejszym kącie szafy, żeby tylko przedłużyć swoje życie o jeszcze jeden sezon. A jednak, ku mojemu zdziwieniu Szuba, zamiast siedzieć cicho, robi coś, co wtedy uznałem za teatralne i głupie, choć dzisiaj wiem, że powtórzę ten gest, kiedy przyjdzie moja pora: Szuba spada pod nogi Duszy odsłaniając kołnierz wyjedzony przez mole do żywej skóry! To jednak nie koniec, bo nagle Szuba zaczyna wrzeszczeć

- Nienawidzę jej! Nienawidzę! Wypełzła z Puszki Pandory na samym końcu! Przyćmiła swoim chorym blaskiem wszystkie potworności świata i teraz musimy tańczyć, jak nam zagra! Słyszycie? To jej piosenka!

**Tirli- tirli, trzymaj- fason
Jeszcze rok, jeszcze dwa!
Dalej-dalej! Trzymaj-fason!
Jeszcze chwilę, jeszcze pół!**

Jej uczta nie może skończyć się za szybko! Ona żywi się naszym strachem! Dlatego obiecuje nam czas, jakby czas był wybawieniem od śmierci! Rzuca drobniaki, a my czołgamy

się przed nią i wydlubujemy z ziemi każdą sekundę...

Mówią, że umiera ostatnia? Powiem wam, czemu! Ona chce oglądać naszą śmierć! Chce zobaczyć wszystko do samego końca! A ja mówię – dość! Ani chwili dłużej nie dam sobą pomiatać! Poznałam jej tajemnicę i wiem, czego najbardziej się boi! Trzy słowa, a ona już umiera ze strachu: *cul-de-sac*, miejsce, gdzie nie ma żadnej nadziei! Bo tylko tam, na samym dnie, nadzieja nie ma nad nami władzy! Więc powtarzajcie za mną: *cul-de-sac! Cul-de-sac!* To nasze hasło! Niech żyje walka bez nadziei! Jeszcze nigdy nie byłam tak silna, jak teraz! Panie i panowie! Patrzcie tylko - odginam się, puszczam kształt... iii -raz! Salto mortale do przodu!

- O, Szuba! Na pewno się przyda!- mówi Dusza i wrzuca Szubę do walizki.

Ogarnia mnie strach: coś niezrozumiałego stało się ze światem, skoro młoda kobieta zabiera w podróż stare futro swojej matki! A co, jeśli w tym odwróconym na opak świecie nie będzie miejsca dla mnie?! Dusza pakuje stare fotografie, listy, jakąś ohydłą porcelanową figurkę, świadectwo chrztu. Na końcu wsuwa się we mnie i ruszamy w drogę.

Wyjeżdżamy. Wyjeżdżamy do wielkiego Miasta.

**Firmament spadł na ziemię, świecą jasnożółte gwiazdy.
Za każdą gwiazdą, jak ogon komety, wlecze się wózek z
rondlami, futrami, pierzynami. Idą rozmnożeni Trzej
Królowie, ich los zapisany jest w gwieździe, którą taszcą na
plecach. Dusza z ciężką walizką w ręce ślizga się na bruku.
Po co brała tę cholerną Szubę?**

**Nagle coś mną zakołysało. Co to było? Jaka myśl? Jakie
wahanie? Dusza stoi na krawężniku a myśl Nią kołysze: iść
dalej czy uciec na oślep w bramę, w pole, w las. Może do
sklepu bławatnego H-nna?**

**Myśl pęka, ułamany kawałek dryfuje na drugą stronę ulicy,
bo subiekt K-z stoi w otwartych drzwiach, je bułkę i patrzy
na Nią. K-z zna ich wszystkich, każdą marynarkę, każde
spodnie, palto i sukienkę, to znajoma materia, dotykana,
wygladzana, K-z pamięta, kiedy przybyła do Sklepu i kiedy
odeszła zawinięta w szary papier.**

**Sklep po bombardowaniu znów dobrze prosperuje, choć jest
„opuszczony”. Tak w każdym razie będzie się mówiło za kilka
lat. „Opuszczony to zajęty przez kogoś innego niż właściciel,
który nigdy wszelako nie przestał być piastunem prawa
własności mienia.” (Namitkiewicz i Rakower, „Ustawa o
majątkach porzuconych i opuszczonych”, Kraków 1945)**

K-z stoi w drzwiach Sklepu, o którym nikt na razie nie mówi, że jest „opuszczony”, a powrót H-nna nie jest jeszcze „z pewnością niepewny”.

K-z mocno trzyma się futryny, żeby go nie porwał nurt drogi. Jest tak blisko, a jednak dziwnie oddzielony od tamtych.

- Jakby rzeczywistość podszyta była jedwabną podszewką - myśli K-z. - Jestem blisko, a nic mnie nie dotyka! Stoję tutaj i patrzę.

- No, patrzysz, i co z tego? - szepcze śliskomówna satyna. -

Nie ma nic złego w patrzeniu! I nie bój się! - rozkazuje podszewka-pocieszycielka. - Nie przepuszczę niczego na drugą stronę. No, może czasem, jakiś dziwny i straszny sen, ale to dopiero na starość. Chociaż jestem taka delikatna i wiotka, tak cię utwardzę, że już nigdy nie będziesz miał wątpliwości, że dobrze zrobiłeś, że nie mogłeś inaczej, bo takie były czasy.

- Nic nie przemaka na drugą stronę - dziwi się K-z. - Proszę: można mnie przenicować, a mój skos jest nietknięty! I ciągle tak dobrze się układam.

Dusza patrzy K-zowi w oczy, próbuje wśliznąć się w jego rozszerzone strachem źrenice, ukryć w ciemności za tęczęwkami, ale jego spojrzenie jest chłodne i śliskie, więc

Dusza ześlizguje się ze szklistej powierzchni.

- Nawet nie próbuj, Duszo moja! - mówię. - Ci, którzy tylko patrzą, nie wpuszczą Cię do środka, bo ich strach nie jest prawdziwym strachem. Jak w kinoteatrze Imperial, w ich patrzeniu jest rozkosz odwracalnego doświadczenia, rozkosz własnego zmartwychwstania, kiedy zapalają się światła na widowni. A na dodatek, za wiele lat, przydarzy im się całkiem niespodziewana rozkosz opowiadania o tym, jak patrzyli! Niezrozumiałe wywyższenie! Ach, gdyby mogli to wtedy wiedzieć! Gdyby wtedy wiedzieli - pewnie lepiej by spojrzeli. Będą żałować, że nie patrzyli dokładniej, dłużej, bo wtedy dłużej staliby przed tym szklanym okiem kamery. I może wdarliby się do lepszego życia, do sławy tych, co na ekranie mówią o tym, co widzieli - lecz oko kamery, chłodne i śliskie, nie wpuszcza ich do środka, więc tylko ześlizgują ze szklanej powierzchni.

Dzisiaj, po tylu latach, starcy w Miasteczku dźgają palcem horyzont, mówią przyjezdnym: tu było! Tam było! A teraz nie ma już nic!

Nieprawda! Coś zostało. Została droga. Drogi mają twarde żywot. Nikt ich nie rozbiera, nie burzy, nie tak łatwo wyrwać szare kamienie wciśnięte w ziemię. Ich wrogiem może być

płynny asfalt, ale i on łuszczy się, kruszy i odpada. Dziś znowu idę drogą, którą kiedyś szła Adina B-g, dla przyjaciół Dusza, i wywołuję tamten wzrok wbity w ziemię - spojrzenia przywarły do wypukłych kamieni i powlekają bruk srebrzystą emulsją - utrwalam je w sobie. Znow patrzę w oczy tym, którzy kiedyś tędy szli. Chociaż dookoła nie ma już niczego, droga jest pełna Ciebie. Twoja myśl jest rysą, wgłębieniem na granitowym krawężniku, w Twoim wahaniu zbiera się deszcz i szlam. Nie zniknęłaś, tylko rozpadłaś na fragmenty. Jakiś nieznajomy mijany na ulicy bezczelnie niesie na twarzy zarys Twoich ust. W tłumie usłyszę znajomą nutę, zaplataną w głos obcej osoby. Kiedyś zbiorę wszystko, a potem od nowa utkam Cię w sobie między warstwami materii. Może i jestem „opuszczony”, ale przecież „nie przestałem być piastunem” - piastunem Twojego kształtu, odbitego w moim wnętrzu. Tak w każdym razie twierdzą Namitkiewicz i Rakower.

Miałbym ochotę rozejrzeć się nieco, ale nie ma czasu, bo już stoimy przed drzwiami Zakładów Kąpielowych - to czyściec, przez który musi przejść każdy, kto przyjechał do Miasta. Zanim zdążyłem zauważyć, Dusza wysliznęła się ze mnie i zniknęła.

Leżałem razem z innymi ciałami w pomieszczeniu o śliskich ścianach z białych kafli. Nie miałem pojęcia, co się zaraz wydarzy, kiedy usłyszałem syk i przez otwór w suficie wypłynął zapach jak dźwięk – nuty, jakich dotąd nie znałem! Dźwięk opłynął mnie jak muzyka, rozluźniłem się, zwiotczałem, a on, bez oporu, wnikał w moje włókna.

Poddałem industrialnemu brzmieniu, każdą fibrą chłonałem ulotną falę Syczącej Symfonii, niepodobną do niczego, co do tej pory wymyślono. Śmierć stała się muzyką, zabójcza fraza przenikała mnie na wylot. Tryumf sztuki nad naturą! No, bo jak nie uśmiechnąć się z politowaniem nad gromadnym iskaniem, nacieraniem nalewką z kichawca lekarskiego, rozwieszaniem na płocie w trzaskający mróz, naiwną wiarą w przekładanie świeżym tytoniem, kwiatem lawendy czy bagiennym liściem? Nawet gorąca para, nawet farba drukarska świeżych gazet, najbliższa nowoczesnemu zabijaniu, nie mogła równać się z potęgą symfonii „Cyjanowodorowej”!

Drzwi otworzyły się i Dusza wzięła mnie do rąk. Skrzywiła się, a ja poczułem, że jej włosy też wydzielają dziwny zapach. Najważniejsze, że znowu byliśmy razem, oboje cuchnący po równo nowoczesną śmiercią.

Jedwabna bekiesza z Leżajska. Kapotteh z Wilna. Paltot ze Skierniewic. Berliński garnitur z Hausvogteiplatz. Joppe z Bawarii. Rekelekh z Wąwolnicy. Kaszmirowy bespoke z Savile Row - cała Europa w jednym miejscu! Obywatele ubrań niosą na plecach swoje miasta, małe ojczyzny, na watolinie lub bez, owijają się tym kawałkiem przestrzeni, z której jeszcze ich nie wygnano. Wydarci z domowej materii, kołnierze stawiają, jak obronne mury. Brzegi spinają stalowymi haftkami, żeby nie zgubić tego, co utracone. W szwach szyny tramwajowe wciąż błyszczą światłami wystaw i kawiarni. O tu, za kołnierzem, skręć w zaułek pachnący świeżym chlebem, a pod mankietem, tak niedaleko, sztachnij się mokrym drewnem piątkowych schodów. Ostrożnie wkładaj ręce do kieszeni, kieszeń to kopalnia wspomnień! Popatrz, stary bilet kolejowy do upalnej niedzieli w S., tak całkowicie bezpowrotny. Otul się mocniej - zatraskujemy poły! Tego kawałka ojczyzny nikt nam nie odbierze. Tłumy miast suną ulicami. Nad każdym unosi się filcowy homburg, sztrajmel obszyty sobolim futrem, kipa lub fedora.

W małym pokoju, w kącie za zasłonką z kwiecistej kapy, stoi nasze łóżko - Duszy i moje. Tutaj mieszkamy.

„Mieszkamy”, to nie jest najwłaściwsze słowo, raczej gnieciemy się, bo pełno tu ludzi i ubrań, a jakby tego było mało - mamy wojnę w pokoju! Walczą ze sobą przez cały czas. Panie i panowie! Oto na ring wychodzi kraciaste sakko - „Justus Meyer, Luebeck”, jak zeznaje haftowana jedwabna naszywka na wewnętrznej kieszeni.

„Justus” to matematyczna teoria ciała, uwiera duszę przy każdym poruszeniu, bezdyskusyjny pruski sznyt nie zostawia miejsca na wahanie. Jego sztywny pudełkowy krój jest tak dopasowany, że w dobrych czasach jego właściciel musiał pytać środkowy guzik o zgodę na zjedzenie kolacji. A oto jego przeciwnik: „Huntsman&Synowie”.

Przybył wprost z londyńskiego Savile Row. Jest po angielsku miękki, nie cięty, lecz upięty jak kotara. Krawiec lepił „Huntsmana” (i jego „Synów”) z uległej szarej wełny, jak pośmiertną maskę, dokładnie przeczuwał duszę opuszkami palców i zaznaczał ją szpilkami. Jeśli „Meyer z Lubeki” całym sobą wyraża kanciaste poglądy, to „Huntsman”, no cóż - pełen jest załamania i, by tak rzec, obustronny.

Toczą spór, od wieków ten sam: układać się ze złem, czy odpuścić? Opór czy unik? Ciąć czy drapować? Ugniatać, naciągać, upinać, żeby zmienić zło w dobro w trakcie

niekończących się prób i przymiarek?

A może od razu odciąć to, co wyłazi spod formy, trzymać się szablonu i nie zadawać pytań.

Krawieckie „unde malum”?

- Ugiąć się! Luźno puścić ONO i w zagięciu materii ocalić, co nasze! Za każdą cenę! O cenę się certolić! My już zapłaciliśmy swoje w Verdun, w Ypres! - krzyczy „Huntsman”, a jego „Synowie”, jak zwykle, w pełni się z nim zgadzają.

- Nie! Należy od razu uciąć, ostro i zdecydowanie! Na każdą fałdę odpowiedzieć kontrafałdą! - odparowuje „Justus”.

- Nonsens! - to znowu „Huntsman”. - Zło nie zaczyna się grubiańską fałdą! Zło to ledwie widzialne falowanie powierzchni! Jak odnaleźć tę pierwszą zmarszczkę, jak rozpoznać miejsce i czas, w którym zaczyna się zbrodnia?

- Doprawdy? - „Justus Meyer” usztywnia się jeszcze bardziej.

- Przecież wystarczy jedno spojrzenie, żeby zobaczyć: zło to skaza! Błąd tkacki, wyraźne zakłócenie porządku. Dlatego trzeba od razu! Natychmiast! Zatrzymać maszynę, błąd zniszczyć! Spruć! Ostatecznie rozwiązać kwestię zła! I zacząć wszystko od nowa!

- Od nowa? A więc - potop? A jeśli zło wcale nie jest skazą?

- Nie skazą? A czym?

**- Wzorem, mister Meyer! Wzorem! Rytmicznym deseniem,
powtarzanym od tysięcy lat!**

„Huntsman” milknie, a jego „Synowie” też nagle przycichli.

Milczą przez chwilę, ale potem wojna wybucha na nowo.

Rozplątują przyczyny, brną, cofają się, dalej i dalej w

przeszłość, żeby o świcie ocknąć się w trzcinach Sumeru.

Nie wtrącam się. Jestem młodym, prowincjonalnym

płaszczem - co ja mogę o tym wszystkim wiedzieć? A poza

tym, muszę się do czegoś przyznać. Wiem, wiem, to co

powiem brzmi strasznie, ale... z mojego punktu widzenia, z

punktu widzenia płaszcza damskiego, świat nareszcie

urządzony był jak należy, bo od kiedy przyjechaliśmy do

Miasta, Dusza nie rozstaje się ze mną ani na chwilę! Jestem

wszystkim, co ma - wspomnieniem Miasteczka, jego

zapachem, dotykiem, w czarnej membranie drżą znajome

głosy. Jestem Jej jedyną ojczyzną, domem i schronieniem. Na

wąskim łóżku oplata mnie ramionami i ściska, jakby zaraz

coś miało nas rozdzielić. Obejmuję Jej głowę ramionami,

waciane buły wypychające moje barki przylegają do Jej

uszu, tłumią hałas. Śpij, ukochana. Teraz tylko Ty i ja. Dusza i

Jej Płaszcz, na zawsze razem.

Ada po raz ostatni chwyta obraz kwiecistej zasłonki, szmer rozmów, i bezpowrotnie – przynajmniej tej nocy – zapada w gabardynową czerń snu. Teraz ja jestem mistrzem ceremonii i właśnie pojawiłem się na oświetlonej arenie.

- Param-pam-cyyy! Tylko u mnie, panowie i panie! Tylko u mnie, zbawienie od zdrowego rozsądku! Pokonam rzeczywistość siłą absurdu zanim dzień oślepi was rozpaczą! Nie lękajcie się, bracia i siostry! Bez wahania włóżcie stopę między „tak-tak” i „nie-nie”, a drzwi do królestwa zdarzeń niemożliwych staną przed wami otworem. Tylko tutaj, w cyrku ostatecznego spełnienia, dostąpicie miłosierdzia snu. Tylko tutaj wszystko jest możliwe! Nawet marzenia, których nie macie odwagi mieć! Pa-ram-pam-cyyy!

W przeniecowanym świecie, wszystko jest sennym włóknem, pamięć to tylko sterta kłaków, czas zwinięty w pękatych szpulach czeka na mój znak. Dwoję się i troję, niemożliwe melanże ukręcąm z tego, co mam pod ręką. O, zobacz! Znów jesteś w sklepie H-nna i na dodatek, zupełnie goła! Nikt się temu nie dziwi - a już na pewno nie Ty - bo kto przychodzi ubrany do sklepu z materia? K-z proponuje Ci dyskretne fil-a-fil pod belą pakłaku, a kiedy odmawiasz, zamienia się w księdza w jedwabnej sutannie i stojąc na ladzie, jak na

ambonie, recytuje Odyseję sześciostopowym heksametrem. Potem wręcza Ci bilet na statek prosto do Ameryki! Jest tylko jeden warunek - musisz być guzikiem.

- To żaden problem! - mówisz, a ja czuję, że uśmiechasz się przez sen.

- Uwaga! Trzymać się!

To krzyczy Ismael, wielorybnik. Chwyta falujący brzeg materii i nucąc „Pożegnanie ojczyzny“, jednym ruchem odwija brzeg - plusz w kolorze *verdemare* chlupie o betonową przystań Ellis Island. Sara czekała na nas, kiedy przybijał okręt. I nikt się ze mnie nie śmiał, tylko patrzyli z podziwem. Teraz mieszkamy na Manhattanie, wyspie o płóciennym splocie, gdzie żadne centrum nie przywołuje ulic, nie każe im do siebie biec, nie trzyma na uwięzi. W mieście bez grawitacji, każde skrzyżowanie jest najważniejsze na świecie, a przyczyny wloką się za skutkami i nie mogą ich dogonić. Bezpiecznie wszyscy w miejską tkaninę, przetykamy się między alejami, albo siedzimy w kinie, bo Victor Laszlo właśnie odlatuje na klapach swojej nieskazitelnej marynarki, żeby wygrać wojnę, a Miss Ilsa zostaje z gabardynowym trenczem. „Justus Meyer“ i „Huntsman“ też tu są i wcale się nie kłócą.

- *Liebes Gott*, nie ma się czym przejmować! - śmieje się „Justus”. - Nikt nie strzela do garnituru za dwa tysiące dolarów!

- Nic nie mów, dear Justus - „*before you speak, your suit bespoke*”! Ha, ha!

A potem obaj, rękaw w rękaw, znikają we mgle Casablanki. Senne włókna grubieją, twardnieje osnowa snu, prowadzę Cię skośnymi tunelami w szczodrość zapomnienia, w sytość pustki, głębiej i głębiej, aż zgubisz drogę. Mam nadzieję, że kiedyś zostaniesz tutaj na zawsze. I już nie wrócisz na drugą stronę. //////////////////////////////////////
////////////////////////////////////
////////////////////////////////////

Istnieje tylko ciemność! Wszystko na świecie zrobione jest z ciemności! Ciemność cieniem wcina się w słoneczny dzień i jest jedynym dowodem na istnienie, albowiem wszystko, co istnieje - rzuca cień!

Hugo uważał, że cień wypływa z czerni, którą każdy w sobie nosi. On, Hugo, miał w sobie tej czerni tak dużo, że pragnął ją wyrazić – ale inaczej, niż tylko rzucając cień. Szukał zatem koloru bez wahań i odcieni, prawdziwej esencji swojego czasu, bo czas, w którym żył Hugo, miał w sobie mnóstwo

czerni. W ciemnościach jego czasu znikwały wahania i znikali ludzie, lecz Hugo niespecjalnie się tym przejmował, tylko dalej szukał swojej barwy niezłomnej. Szukał i łuskał, rozcinał, gniótł i tarł, miazdżył korzenie, korę ścierał na pył, larwom wyciskał jadowity pigment – osobiście! Potem wszystko to gotował, destylował i prażył. Czasami zdawało mu się, że znalazł kolor swoich marzeń, lecz kiedy chciał uwięzić go w materii - barwy drwiły z niego, płowiały, rozpływały się w rzewnych narracjach o ziemi, która je żywiła, o słońcu i wietrze! Egocentryczne gadulstwo natury okropnie go gniewało, bo potem Hugo nigdy nie mógł dopasować odcieni.

Indywidualizm to słabość! - Hugo był tego pewien, bo jego czas, jako się rzekło, nie znosił wahań. W końcu Hugo zupełnie stracił wiarę w naturę, bo wszystko, co żywe zawsze wymykało się jego kontroli i nie chciało pasować do tego, co sobie wymyślił. Rozczarowany wrócił do domu, a ledwo wrócił – proszę! Od razu znalazł! IG Farben. Barwa przemysłowa, uległa i przewidywalna, bez biografii i mokrych wydzielin. Bez historii, bez gładzenia, zamknięta w puszcze z numerem wybitym na wieczku. Mocna i powtarzalna.

Odtąd Hugo Boss poił materię witriolem, żeby nie stawiała oporu przed czernią, którą dla niej stworzył. Nie ufał wełnianej materii (nie ufał niczemu, co nie miało swojego numeru), więc na wielogodzinnych torturach próbował wydusić z niej prawdziwy odcień. Miął, wykręcał, nacinał, żeby wydobyć choćby kroplę pokrewieństwa ze śniadym brązem. Obsesyjnie szukał zakonspirowanej czerwieni, całe bele oblewał wrzątkiem i wkładał między wały prasy, żeby wycisnąć choćby mdły refleks... różowego?

I tak na świecie pojawił się kolor, który pochłonął wszystkie inne i uwięził w sobie: czerń absolutna!

Czerń absolutna rządziła Miastem, a jednak, już po tygodniu życia tutaj, zrozumiałem: żadna władza nie jest absolutnie czarna! Trwanie wydziela z siebie wasalne odcienie i, żeby trwać, władza blaknie. Widziałem, jak każdego dnia z niewidzialnego centrum wyciekają strugi zdegradowanej czerni, jak rozplývają się po ulicach mętni namiestnicy, którzy mają „dojścia” i wiedzą „jak”. Zmieszana w jeden brudny nurt, nieugięta czerń stawała się negocjowalną szarością i to pozwalało nam żyć. Dusza i ja pilnie uczymy się odcieni władzy.

Czarna gabardyna objawiła cechy, o których nawet mi się nie śniło!

Kiedy idzie ulicą, gabardynowy skos rozsadza przestrzeń i wytwarza próżnię. Ubrania w jednej chwili rozstępują się, uciekają, do rynsztoków, do bram, na oślep. Nie uciekłem, jak inni, kiedy zza rogu wyszedł mundur z czarnej gabardyny. Nie ruszyłem się z miejsca na jego widok.

Mógłbym, ale... nie chciałem.

Mundur zobaczył mnie, zdumiony aż przystanął, bo wedle prawa, wszyscy muszą schodzić mu z drogi, kiedy on idzie chodnikiem, a ja stałem na środku trotuaru, jak gdyby nigdy nic! Dusza, na szczęście, była nieobecna - utknęła za szybą wystawy sklepowej. Głód uwięził ją w pumperniklu, pomarańczach, bezowym cieście - nie miałem pojęcia, kiedy do mnie wróci. Mógłbym, oczywiście, wszcząć alarm, nie czekając aż Dusza, nieprzytomna i powolna, rozpozna sytuację i podejmie jakąś decyzję - moje skośne włókna działają nieskończenie szybciej od tej śmiesznej elektrycznej galarety, którą nazywają mózgiem. Mógłbym - tylko, po co? Długo czekałem na tę chwilę, więc stoję i patrzę. Mundur też gapi się na mnie, oczarowany czernią, powinowactwem nici, tak samo ukośnie tkany, jak ja: płaszcz o niearyjskim

sznycie. Jednak po chwili, wyraźnie zbity z tropu tym niestosownym pokrewieństwem, pochylił się i - natychmiast stracił fason! To pochylenie, gest niewolnika, strasznie go rozzłościło. Mundury się nie garbią, zgarbiony mundur to oksymoron, bo choćby miał w środku najślabszą z dusz, mundur zawsze wymusi na niej wyprostowaną postawę, wciągnięty brzuch, uniesione ramiona, to kwestia kroju i ciasnych zaszewek. Jak na rozkaz, napiął szwy, odgiął się, rękawy splótł na plecach i szeroko rozstawił nogi! Ten rozkrok, z niewyjaśnionego powodu, przydał mu władzy, lecz zarazem ujął nieco wysokości. Chcąc nadrobić to, czego mu ubyło, wspiął się na palce, zatrzymał na chwilę i - opadł na pięty. Wszystko wokół zamarło. Na tej ulicy, dotąd pełnej krzyków, martwa cisza huczy jak dzwon, ale to było silniejsze ode mnie! Moja materialna natura wzięła górę! Musiałem się dowiedzieć!

Do dzisiaj krążą o nim legendy.

„Grecy Północy” nie zbudowali Partenonu, lecz ich najwybitniejsza budowla stoi właśnie przede mną - niemiecki mundur. Nawet śmierć uległa jego woli i jest tylko emblematem na czapce. „Klejnot geometrii” przygląda mi się, niewykluczone, że i on o mnie słyszał. Wolant, skulony

za moimi plecami mamrocze podniecony

- Szybko! Nie ma czasu! Trop krój! Węsz szwy! Szukaj, szukaj!

Musi tam być! Krawiecki Święty Graal! Dobrze go ukryli!

- Graal? Jaki Graal? Nie rozumiem.

- Proporcje, głupcze! Proporcje absolutnego zła, doskonałej pogardy, więc szukaj liczby, która jest tu prawem. No, stary, ruszaj się!

- Zaraz, muszę się skupić. I przestań się tak miotać!

Jestem wściekły, że nazywa mnie „starym”, chociaż jesteśmy w tym samym wieku. Może przez tę ruchliwość ciągle mu się

wydaje, że jest młody. Zabieram się do pracy: mnożę, dzielę,

obracam kąty - chciałbym przeniknąć geometrię grozy

odkrytą przez krawieckich magów z Ultima Thule. Gdzie

Czarny Sartor ukrył swój krawiecki trick? „Złoty podział”?

Nie, raczej - diabelskie cięcie! Zaraz! Jak powiedział Goethe?

„*Ich glaube gar, der ganze Tempel singt!*” Jeśli świątynia

śpiewa oczom patrzącego, to może i ten „partenon” z

czarnej gabardyny dałoby się zanucić!

- No, to jazda, próbuj! - szepcze wolant.

Rozbrajam interwały: między najwyższym guzikiem a górną

kieszenią - kwinta czysta; między ramieniem a końcem poły

- septyma wielka; trytony, zwane *diabolus in musica* (nagle

zrozumiałem, dlaczego!) rozdzielają przestrzeń między guzikami.

- On nie stroi! - mówię rozczarowany. - Ta „świątynia“ nie śpiewa! Raczej zgrzyta fałszywie.

- Niemożliwe! - wolant nie odpuszcza. - Podobno jest tryumfem woli!

Woli-sroli! Tyle ma w sobie życia, co trumna z zatrzaśniętym wiekiem. Górna część przypomina karawan ozdobiony trupimi czaszkami, żadnych klap, tylko kołnierz, zapięty wysoko pod szyją musztruje podbródek. Zmaterializowany regulamin - nic więcej! Korpus wypchany pychą i w połowie ściśnięty skórzanym pasem. Ale, zaraz, czekaj! Na dole...

- Co na dole? - wolant zamarł w oczekiwaniu.

- Jakaś dziwna tęsknota rozdyma spodnie! Już wiem! -

krzyczę. - To tęsknota za koniem! On jedzie! Jedzie stępa!

Nagły dreszcz wstrząsa mną od środka, bo Dusza w końcu zrozumiała, co się dzieje, nie patrzy już na sklepową wystawę z jedzeniem, tylko szybko obraca się na pięcie.

Wolant wyskoczył z za Jej pleców, uniósł się groźnie, rozwinął jak kołnierz jaszczurki gotowej do ataku i z półobrotu strzelił w bryczesy. Jeśli tamten był tryumfem woli, wolant bez wątpienia był jej wybrykiem! Dusza próbuje chwycić go

ręką, zatrzymać – ale jest za późno! Hultaj przemknął na drugą stronę Jej bioder, zafurkotał, zawarczał – i ponownie wziął zamach. Katastrofa!

W ostatniej chwili czyjaś ręka chwyciła wolant i całej siły wciągnęła nas do bramy.

Tak ocaleliśmy tego dnia.

Przyjeżdżali w wagonach, upchani ciasno tysiącami, a my cieszyliśmy się widząc stosy leżących mundurów. Ich śmiertelne dusze rozpływały się w rosyjskim błocie, ale gabardynowe ciała wciąż były w dobrym stanie i miały swoją cenę. „Dusza twa zemrze prędzej jeszcze niż twoje ciało, nie lękaj się zatem niczego”. Tak rzekł Zaratustra. I tak było w istocie. Lecz zanim mundury powstaną z martwych, należało uwolnić je od resztek pamięci.

Pamięć tkwi w miejscach tak oczywistych, jak kieszenie.

Dusza starą łyżką wygarnia ich zawartość na stół – to pamięć oficjalna, pamięć bezpieczna i jawna, pamięć do okazania na każdym posterunku: legitymacje, zdjęcia kobiet z dziećmi, listy. Potem ja zabieram się do roboty - kieruję Jej palcami i przez dziwaczne pęknięcia w mankietach prowadzę do tajemnych schowków pod podszewką.

Wciskamy się w wąskie tunele stębnówek, na końcu których

czekają ampułki z morfiną. Bezbłędnie rozpoznaję świeże ślady nici, zgrubienia w kołnierzach wypełnione zwiłkami banknotów, twarde guzki pod pachą, z których Dusza wyłuskiwała brylanty z amsterdamskim szlifem. Nie dawałem się oszukać, kiedy ściegi myliły tropy, prowadziły donikąd, do fałszywych kieszeni czy ślepych dziurek od guzików - albowiem ja i tylko ja, (no, może, poza moim stwórcą, Z-jnem) znałem wewnętrzne życie mundurów. Chociaż pracowaliśmy od świtu do zmierzchu, ciała wydrążone z dusz wciąż pełne były pamięci. Z fałd sypały się wspomnienia, koszmary kryły się w mrocznych zagięciach, a my, Dusza i ja, dokonywaliśmy, by tak rzec, cielesnej amnezji, by nowe dusze, jeszcze nie całkiem dorosłe, prawie dziecięce, dusze zaprzędane diabłu z czarnej gabardyny, mogły wcielić się mundur bez wątpliwości i lęku, nadać się, wybuchnąć potokiem słów, wycelować w nas lufę karabinu i - zabić.

Każdego dnia palce Adiny, jak mrówki oczyszczały ciała ze wspomnień. Czasem jednak zatrzymywałem Jej rękę.

- Nie idź dalej! - prosiłem. - Nie dotykaj! Nie patrz! Nie słuchaj! Krzyki złapane w gabardynową membranę ciągle w niej drżą, więc się nie zbliżaj! Ja sobie z tym poradzę, ja i on

jesteśmy z tego samego kawałka, ale wojna nie jest dla ciebie, wojna zabija dusze.

Wiotkość mundurów była podstępem, szmaciana uległość chwilową słabością. Pozbawieni dystynkcji, bezbronni i wklęśli, czasem udawali żywych, kiedy nagle pojawiał się zarys ramienia, barku, czy kolana, lecz ten kształt był tylko odlewem ostatniego gestu, skorupą zakrzepłej krwi i gnijących tkanek, pustym pomnikiem. Na koniec trzeba było jeszcze wzmocnić rękaw dodatkowym szwem, zanim rękaw zamaszyście wystrzeli w górę. Dusza i ja poznaliśmy największy sekret tej wojny: po szwach ich poznacie!

Historycy, rzecz jasna, nie wspominają o takich drobiazgach, a szkoda, bo gdyby krawcy pisali historię świata wiele spraw wyglądałoby zupełnie inaczej.

Właśnie guzdrałem się przy guzikach, gdy zza sztywnika klapy wypadł kawałek pamięci. Byłem pewny, że to ulotka namawiająca do zmiany ciała, dlatego tak sprytnie go ukryto. Wojenny transwestytyzm to na wojnie zwykła sprawa, weźmy ot choćby

CIAŁOWĘDROWANIE PLUTONOWEGO B-JCEWA.

Jego pierwsze wojenne ciało tak było niewątpliwe, że mu się zdawało zrosnięte z duszą. Czy to latem w polowej gimnastiorce, czy zimą, kiedy spał skulony i wtulał się, jak w kołdrę, w wacianą teliogrijkę – zawsze czuł, jakby kawałek domu matczynego miał na grzbiecie. Aż raz się stało! No stało się - i tyle! Zstąpił Lońka z woli własnej do niewoli, duszą i ciałem. Zobaczył na zdjęciu generała własnego, wysokiego, jak nad wszystkimi się wznosił. Własny generał, choć już nie własny, tylko tamtych, zaprosił w Lońkę do walki o sprawiedliwość dla własnych. Kto by się oparł? No, kto? Więc najpierw ciało swoje Lonia oczyścił ze znaków i odznaczeń, z gwiazd rubinowych i złota jakby w czyścucu, a ono, znaczy się ciało, tak od tego oślepiło i oniemiało, że musiał plutonowy B-jcew założyć mu, znaczy ciału, białą opaskę na rękaw, jak ślepcowi. Po tych czyścucowych mękach, dostał B-jcew ciało nowe, spod igły, a na opasce powyżej łokcia dwie błękitne nici na skos się przecinały, (bo sytuacja, co tu dużo mówić, była skośna całkowicie), a do tego trzy litery: POA - Ruskaja Oswoboditielnaja Armja. Tak ucieleśniony pojechał Lońka walczyć z własnymi, bo stał się tubylcem w ciele wroga. Okrucieństwo swoje zasłaniał ciałem. Uznał, że kto ubiera ciało, ubiera i duszę, a człowiek

to laminat, dwie warstwy sklezione ze sobą, które łączy przypadek i nieszczęśliwy traf, i które nigdy do siebie nie pasują, i trzeba się z tym pogodzić!

- Mógłbym być tym chłopakiem w czarnej gabardynowej marynarce - pomyślał B-jcew i poczuł lęk, i aż się spocił ze strachu. - Bo jeśli dusza jest zdarzeniem, jeśli przydarza się ciału, to - o mały włos, o małe włókno losu! - ja sam, Leonid B-jcew, stałbym teraz w tej w marynarce z czarnej gabardyny. I osunąłbym się na ziemię, kiedy ten drugi, ten z błękitnym krzyżem powyżej łokcia, wycelował tak zgrabnie w środek mojego czoła, a potem zdjął ze mnie marynarkę i przeszukał kieszenie. I żałował, że znalazł tylko... guzik od damskiego płaszcza.

Od tego myślenia tak się iluminował Lonia-laminat, że postanowił odkupić ciało wraz z duszą. Ciało swoje pociął i zakopał w ziemi, ubrał fufaję i do partyzantów się przyłączył. Francuskich.

To nie była ulotka. Jedno z ciał ukryło w sobie słowa, których jego dusza nigdy nie odważyła się wypowiedzieć. „Mam trochę niebieskiego szklatego koloru od kiedy spojrzałaś na mnie w sklepie mówiąc: „Pan jest kuzynem Wolfa, nieprawdaż?”. Wtedy również wziąłem sobie twój

głos, matowy i miękki. Mam też twój dotyk na krawędzi prawej dłoni, kiedy podawałem ci list od Wolfa. Pewnie się zdziwisz, ale wiem jak pachniesz - powąchałem futrzany kołnierz twojego płaszcza. Podałem ci go na wieczorku u Lisl, właściwie podałem go Wolfowi, a on pomógł ci się ubrać, ale to wystarczyło. Widzisz, ile mam materiału? Wszystko, co potrzeba! Więcej niż stwórca w raju. On miał tylko kość albo garść ziemi, ja - aż tyle! Każdej nocy zamykam się w swojej głowie i stwarzam cię od nowa. Tylko z jednym nie umiem sobie poradzić - nawet w najbardziej upalne dni masz na sobie płaszcz z futrzanym kołnierzem.”

Coś stało się mojej Duszy, kiedy czytała ten list. Wiem, bo wtedy serce bije mi szybciej i drżą plecy. Schowała list do kieszeni, chociaż nie wolno niczego zabierać, grozi nam za to dziurawienie kulami. Ale ona i tak robi, co chce. Dusza zawsze robi, co chce...

Chociaż cały jestem na wierzchu i nie mam głębi, czuję, że Dusza coś przede mną ukrywa.

Wieczorem, jak zawsze, dokładnie mnie oczyściła i powiesiła nad łóżkiem. Czuwałem nad Jej snem - anioł stróż o czarnych gabardynowych skrzydłach. Jednak rano... Rano już mnie nie włożyła.

Klik-klik-klik!

Gardziłem nim! Mimo zewnętrznej szorstkości, był uległy i miękki – zawsze przybierał kształt, jakiego oczekiwano!

Rozciągał się usłużnie tam, gdzie należało się usztywnić i nie odpuszczać.

Klik-klik-klik!

Śmieszny rytmiczny ruch, mozolna powolność, zwierzęcy zapach - rosną baśniowe narracje, pełne owieczek, choinek, grzybków, ośmieszające każdego, kto mu zaufa. Pomyślcie tylko: Juliusz Cezar w swetrze, Dżingis-hann w swetrze,

Napoleon w swetrze. I jeszcze ten, którego imienia nie chcę tu wymieniać, jedyny wódz w swetrze w bawarskie wzory.

Na polu bitwy wszyscy zaczynają się śmiać, żołnierze podrygują od konwulsyjnego śmiechu, nawet konie rżą na wszystkich frontach świata, kule nie mogą trafić do celu, wojna zostaje odwołana, bo klaun z płatkami śniegu na piersiach ratuje świat przed potopem czarnej gabardyny.

Wiem, że wszystko nas różni. Za mną stoi księga

krawieckiego początku, księga rozcięć i oddzielen: ziemi od nieba, światła od ciemności, kawałków mniejszych i

większych - jednorazowe Genesis, pełne nienaprawialnych błędów, z którego zawsze zostają jakieś resztki, gdzie każdy

ruch ostrza musi być pewny, bo odwracalność nie istnieje.
Wiem, o Panie, że jak Ci się ręka omsknie, to zawsze możesz wyciąć coś mniejszego - myślę, że tak zrobiłeś mrówki, kiedy dinozaury nie wyszły Ci za pierwszym razem! Tylko...

Po co Ci był ten pośpiech! Wszystko w sześć dni? Czemu? A gdybyś... nie ciął, nie rozrywał, nie oddzielał, ale powoli nabierał dni? Jeden za drugim. Ile by to trwało? Pewnie, że nie sześć dni, jasne, że nie! Gdybyś nie trzymał w ręce Słowa ostrego jak nóż i ciach- ciach, wszechświat-wycinanka? Gdybyś nie dzielił wszystkiego, nie odcinał, nie rozrywał, tylko - działał? W skupieniu przekłuwiał nicość, przewlekał, dodawał, opuszczał. Sekunda po sekundzie, cierpliwie, monotennie. Widzę, jak marszczysz brwi, liczysz, wszystkiego dotykasz palcami - nie byłoby niczego, co by nie przeszło przez Twoje ręce! Rząd po rządkiem, przybywałoby świata. A jak coś źle wyjdzie, jak się nie uda, jak nie jest dobre - to co z tego? Przecież zawsze można spruć! Od-dziać wszystko, zacząć od początku, a nie od razu... potop!

Materia zwinięta w kłębek nie wybuchą, bo świat dzieje się powoli. Każdą pomyłkę można odkupić, wrócić do początku, z tej samej nici ciągle od nowa działać i pruć, i znowu działać, aż wyjdzie jak należy. I niczego nie wyrzucać, nie odrzucać, nie

wykluczać, tylko przygarniać każdy zabłąkany kłaczek i wkręcać go od nowa w swoją nić. Nic nie zostaje, nic się nie marnuje, więc czemu Ty krawcem byłeś sześciodniowym, a nie wiecznym dziewiarzem? Czemu? (znów ta Kainowa scheda!) Tyle pomyłek, tyle zmarnowanej materii! Czemu sznytem krawieckim żyjemy, czemu zszywamy życie z nienaprawialnych gestów, z rozcięć, rozdzieleni, rozstań! Zawsze tylko „to” lub „tamto”, „tak” lub „nie”, a każda decyzja rani ostrą krawędzią. A gdyby tak, każde „za późno” i „już nigdy”, każdą wojnę, zły los spruć do ostatniej sekundy? A potem zwinąć w kłębek, podrzucić w rękę raz i drugi, pomyśleć... I zacząć od nowa. Od nowa każdego dnia. Nieostateczne, odwracalne, dziergane *Genesis*.

Muszę to powiedzieć wyraźnie: zawsze jest mnie tylko tyle, ile było na początku, kiedy Z-jn wykroił pierwszą połę, rękawy i resztę, a potem wszystkie kawałki złączył podwójnym szwem. Można mnie skrócić, przenicować, rozpruć na fragmenty, a potem zszyć od nowa. Można, po najdłuższym i ofiarnym życiu, rozszarpać mnie do ostatniego kłaczka, żebym, osiągnąwszy stan pośmiertnego rozkłaczenia, dał się ukręcić w nową nić, z której utkają nowy los. Jednak nigdy, przenigdy, nie przybędzie mnie od

tego, ani nie ubędzie! Jestem nieśmiertelny, zmieniam formy, ale przecież nie obudzę się pewnego dnia i nie znajdę w swojej kieszeni, ani za podszewką, ani w rękawie, lub za kołnierzem, czy gdzie tam można jeszcze TO znaleźć – no, więc, jak powiadam, nie obudzę się pewnego ranka i nie znajdę małego płaszczyka z czarnej gabardyny, starannie wykończonego, obrębianego drobnym, lecz doskonałym ścięciem, o cudownie gładkiej i miękkiej podszewce, z malutkimi guziczkami i malutkim wolantem.

- To ma związek z mówieniem! - zawyrokował Szymon.

Szymon jest „martwym chasydem”, wyznawcą rebego Nachmana z Bracławia, chociaż muszę przyznać, że jak na martwego, okropnie dużo gada, śpiewa i tańczy. Wprowadził się niedawno do naszego pokoju, mieszka obok mnie i Duszy. Ja jeden w naszym pokoju lubię Szymona, jest między nami nić (ha!) sympatii, lecz „Huntsman i synowie” nie ukrywają odrazy jaką napętnia ich wiara Szymona – uznali, że jest niemodna, tak jak jego chałat.

„Justus Meyer” z Lubeki nie może znieść tego „idiotycznego niemieckiego”, którym mówi Szymon. Szymon jest zawsze radosny i niczym się nie martwi - mógłbym powiedzieć: „martwy chasyd niczym się nie martwi!” Szymon jest

szczęśliwy, bo jego mesjasz już przyszedł, chociaż chwilowo jest nieobecny. Szymon wie, że mesjasz wróci, więc czeka na jego powtórne przyjście, podobnie jak czeka na mesjasza jego ulubione krzesło. Mogę powiedzieć, że Szymon i krzesło czekają z taką samą niewzruszoną wiarą.

Wróćmy do rzeczy, czyli w tym akurat wypadku do - słów.

Dowiedziałem się od Szymona, że moja stwórcza niemoc wzięła się z tego, że nie mówię! Gdybym mówił, mógłbym odkryć magiczną moc liter i stwarzać wszystko, co zechcę,

jak rabbi Chanina i rabbi Oszaja, którzy w każdą wigilię szabatu samymi tylko słowami robili sobie cielę i je zjadali.

Gdybym mówił i poznał alfabet, mógłbym stwarzać gabardynowe płaszcze, a nawet - co nie jest całkiem wykluczone - mógłbym sam wypełniać je duszami!

- Niestety - mówi Szymon - jesteś golemem! Jesteś niemy. Co prawda zostałeś stworzony przez pobożnego krawca, ale nie możesz mówić. Niemoc bierze się z niemoty.

Na pocieszenie Szymon powiedział mi, że golem nie umiera, tylko rozpada się i wraca do swojego runnego zwoju - z tego powodu właśnie jestem wieczny. Marne pocieszenie!

„Justus Meyer” warknął, żeby nie opowiadać takich głupot, no chyba, że Szymon zaraz nam tutaj stworzy tego cielaka, a

my go zjemy.

I wtedy stało się coś naprawdę niezwykłego! Pani „Justus Meyer”, która prawie nigdy nic nie mówiła, tylko ciągle płakała, nagle zaczęła krzyczeć! Krzyczała na Szymona tym jego własnym „idiotycznym niemieckim”, że jego cadyk i cała reszta, to głupcy, bo gdyby tylko raz spojrział na swoją żonę, która co rok stwarza nowego człowieka pod spódnicą - to w końcu by zrozumiał, na czym polega prawdziwe stwarzanie!

Szymon jej na to, że ciało człowieka, to wynik działania dwudziestu dwóch liter. Litery alfabetu to narzędzie, którym Nasz Pan stworzył wszystko w ciągu sześciu dni.

- Ja stworzyłam człowieka w ciągu dziewięciu miesięcy i zapewniam cię, że narzędzie, którego użył mój pan, „Justus Meyer”, to... to nie były litery!

- Owszem - upierał się Szymon - każdy człowiek może stworzyć golema, ale nie może obdarzyć go mową!

- Ten golem, którego wasze żony stwarzają rok w rok, też nie mówi, tylko drze się, kiedy jest głodny!

Wolant chce się włączyć do rozmowy, więc na wszelki wypadek chowam go głęboko.

- Morda w kubeł, Fryderyku!

Wolant ostatnio każe się nazywać tym imieniem. Okres fascynacji Nietzschem najwyraźniej jeszcze mu nie przeszedł.

Od jakiegoś czasu Dusza chodzi w swetrze, dostała go od pani „Huntsman i synowie”. Którejś nocy Dusza z trudem wstała z łóżka i długo gładziła moje ramiona, plecy, talię, przesuwała opuszkami palców po szwach, a ja czułem, że nigdy nie przestała mnie kochać, że wciąż jesteśmy razem, a sweter nic dla niej nie znaczy. Niespodziewanie, naga i biała weszła we mnie, lecz inaczej niż zwykle: wsunęła się w moje rękawy przodem do pleców. Wolant podskoczył zdumiony na Jej brzuchu, rozpostarł się, jak wachlarz i uniósł do góry. Znowu byliśmy razem, genesis w swetrze dobiegło końca, teraz wolant ukrywał tajemnicę, jak mężczyzna w masce okryty czarną peleryną, Dusza widziała ten film w kinoteatrze Imperial. Film był niemy, a na widowni wszyscy krzyczeli ze strachu. „Upiór w operze”, o czym to było? O pragnieniu. O pragnieniu, żeby ujrzeć - TWARZ. Dusza to wie, więc cierpliwie podąża śladem filmowej fabuły, żeby za chwilę spojrzeć w upragnioną twarz - twarz, która dotąd była ukrytą tajemnicą, a Dusza zaraz ujrzy ją po miesiącach oczekiwania. Akcja rozwija się pośród krzyków i westchnień,

suspens goni suspens, maleje interwał między napięciem i ulgą. Dusza nic nie może zrobić, jest więźniem opowieści, która pod Jej skórą zaciska się obręczą i odbiera oddech. Już za chwilę się dowie! Ada krzyczy i nagle Jej krzykowi odpowiada skrzeczące echo! Groza kurczy się, maleje, wszystkim wydaje się to bardzo zabawne, tak zabawne, że zaczynają się śmiać. Dusza też się śmieje. Śmieje się i płacze. Skrzeczące echo tym razem wcale nie odpowiada śmiechem, żadną karykaturą śmiechu, tylko nabrało powietrza w płuca i krzyczy własnym głosem! Ten głos, pozbawiony granic, klei się do sufitu, ścian, wciska między szpary podłogi, a nawet - ku przerażeniu wszystkich obecnych w naszym pokoju - ślizgiem zjeżdża po olejnej lamperii w korytarzu i wprawia w drżenie kryształowe szyby w drzwiach bramy.

- No, proszę! Jakie to-to silne! - dziwi się pani „Justus Meyer”. Ale „to-to”, oprócz siły, ma w swoim głosie przerażenie i rozpacz.

- Błagam, zatrzymajcie mnie! - krzyczy „to-to”. - Jeżeli zaraz nic mnie nie zatrzyma, nie obejmie, nie nada mi kształtu, rozpląnę się w czerni wszechświata i zniknę!

- Głosie - mówię. - Wejdz we mnie, a ja uwolnię cię od nieskończoności. Otorbię gabardynową czernią, ofiaruję ci

pierwszy kształt, żebyś mógł siebie poczuć. Jestem odpowiedzią na twoje wołanie, dotykálną i czarną. Ulga-materia.

- Twarz! - szepcze Dusza. - Chcę zobaczyć twarz!

- Lepiej nie patrz! - mówi pani „Justus Meyer”.

- Muszę ją zobaczyć! Należy mi się zakończenie! - szepcze Dusza.

Pani „Justus Meyer” wyciera Jej czoło.

- Jak sobie życzysz, ale potem... będzie ci trudniej.

- Nigdy nie widziałam czegoś równie doskonałego! - Dusza śmieje się i płacze jednocześnie. Wszyscy przytakują, a Ona wskazuje na mnie

- On ją ochroni.

Tak! Wpełnij pod moją gabardynę, maleńkie Trinkulo!

Nadciąga burza, nie ma wokół innego schronienia.

Pani „Justus Meyer” układa we mnie wciąż nieutulone łkanie i związuje rękawy, a moja podszewka natychmiast zamienia się w pulchną mamkę - i łkanie cichnie. No i proszę! Mam dodatkową duszę - zapasową duszę na specjalne okazje! *Neszama jetera* - tak nazywa ją Martwy Chasyd. „Zapasowa” jest bardzo mała, zupełnie nowa, nie ma na sobie żadnych znaków, żadnych stempli ani

numerów, jeszcze niczego do niej nie doszyto. Mam nadzieję, że tak cudownie rozmnożeni, będziemy odtąd żyli razem - ja, moja Dusza i Jej miniaturowa kopia. W porządku, damy radę, jeżeli tylko to małe bezimienne coś będzie siedzieć cicho! Bo trzeba przyznać, i wszyscy zebrani w pokoju są co do tego zgodni: „*neszama jetera*” ma głos jak trąba jerychońska. Kiedy Zapasowa zasypia, ktoś pakuje nas oboje do torby i

wychodzi ////////////////

Jak wtedy, w Sklepie, kiedy K-z jednym ruchem ręki odwracał materię na właściwą stronę, niespodziewanie znalazłem się po drugiej stronie muru. Ponury wzór zamienił się w wesołą karuzelę, w glansowane na połysk oficerki cywilów, w futra w rykszach. Futra? Rzecz jasna, widywałem je nieraz! Te karakułowe z nienarodzonych, gdzie całe pokolenia jagniąt wyjętych z brzuchów ciężarnych matek, dobrane połyskiem, skrętem i odcieniem przez sławnych kuśnierzy, wdzięcznie naśladowały jednolitą materię. Widywałem miliony odciętych łapek, tysiące grzbietów i brzuchów zszytych misternie - prawdziwe pola śmierci. Widywałem te tresowane, które owijały się zgrabnie wokół szyi, chwytaly w zęby własny ogon i uśmiechały

szklanymi oczami. Owłosione skóry zawsze traktowałem z odrazą. Oczyszczone z mięsa i kości, suszone, rozciągane, garbowane, uważałem za pozostałość po prymitywnych czasach sprzed pojawienia się prawdziwej cywilizacji - cywilizacji finezyjnie plecionej materii. Chociaż nigdy nie lubiłem ubrań z martwych zwierząt, tutaj z życzliwą nostalgią patrzyłem na wszystkie te lisy, żrebaki, szynszyle i króliki - w tej chwili kojarzyły mi się, co za paradoks, z życiem! U nas, po lewej stronie rzeczywistości, futer dawno już nie ma. Oddano je żołnierzom marznącym pod Stalingradem, więc kiedy w Mieście wydano rozkaz, aby oddać wszystkie futra - z ulgą pomachałem na pożegnanie Szubie jadącej na front.

Wszyscy tutaj gdzieś pędzą, wirują jak karuzela, ogarnięci gorączką interesów, ferworem załatwiania, umawiania, dogadywania! Od wirowania zależy trwanie i przetrwanie. Co nie wiruje, natychmiast staje się widoczne. Mecenas M-r, dla przykładu, nie wirował, kiedy udało mu się opuścić Miasto Nieprawe. Ze wzrokiem wbitym w ziemię, zgarbiony, skradał się pod ścianami domów. To go zgubiło, jak nam później opowiadał, bo choć nikt go nie znał, to przecież każdy od razu go rozpoznał, wskazywał palcem, krzyczał - i

ledwie udało mu się uciec i wrócić za mur, gdzie, o ironio, mecenas M-r czuł się całkiem bezpiecznie.

Mecenas M-r wątpił żarliwie w nieprawość miejsca i czasów, w których przyszło nam żyć.

- Temida zległa i urodziła świat, w którym jesteśmy bękartami - dowodził. - A jednak, to ciągle jest Temida, matka nasza!

Bo prawu mecenas ufał bezgranicznie.

Ja nie ufałem Temidzie ani trochę. Bo jeśli kobieta ma związane oczy, a ręce zajęte trzymaniem ciężkich przedmiotów - zgwałcić ją może pierwszy lepszy cwaniak!

Drzwi otworzył nam kwiecisty szlafrok. Chwycił mnie z taką miłością i podnieceniem, jakiego nie pamiętałem od czasu wydarzeń w sklepie H-nna. Zanim zdążyłem pomyśleć, co będzie dalej, Szlafrok wysupłał z mojego wnętrza śpiącą zawartość - *neszama jetera* spała mocno. Na mnie Szlafrok spojrział ze wstrętem

- Odnieś go z powrotem. Na pewno ma wszy!

Proszę bardzo! Wcale nie zamierzałem tu zostać! Mam swoją własną duszę i muszę do niej wrócić. Ciało zawsze wraca do swojej duszy. Jesteśmy wierni, nie latamy po niebie! Dusza pewnie czeka na mnie. Szkoda tylko, że Zapasowa nie może

z nami zostać.

- Pamiętaj, mała duszo, że byłem twoim pierwszym kształtem, pierwszym schronieniem w tym dziwnym świecie. Zobacz, zostało mi po tobie zagłębienie, tu, w środku, gdzie kiedyś biło twoje małe serce. Po tym zagłębieniu, mnie rozpoznasz, będzie czekało na ciebie. Zawsze. A kiedy już dorośniesz, oglądaj się na ulicy za każdym gabardynowym czarnym płaszczem.

I jak mecenas M-r, wróciłem za mur.

Jednak za murem nikt na mnie nie czekał. Rozpięty osuwam się na podłogę, leżę owinięty wokół Jej stóp, ale Ona tego nie widzi i depcze po mnie. Ktoś mówi

- Twój płaszcz. Leży na podłodze.

A Ona patrzy na mnie z góry i nawet nie przyjdzie Jej do głowy, żeby się schylić. Ktoś zbiera mnie z podłogi, Dusza chwyta za jedną poję i wiszę do góry nogami. Moje ramiona opadły i dotykają ziemi, stoję na rękach a Ona zastyga w bezruchu, jak by nie wiedziała, co ze mną zrobić? Chyba mnie nie poznaje. Jeszcze przez chwilę wiruję góra-dół, góra-dół, aż ktoś litościwie wyjmuję mnie z rąk Duszy i narzuca Jej na ramiona. Poruszam się jak zepsuta maszyna, bez powodu, bez planu, jest we mnie, ale Jej nie ma. Moja

Dusza nie potrzebuje ciała, kończy się na sobie, nie dotyka materii, nie poci się, nie ma snów ani marzeń, które mógłbym spełnić. Niczego nie mogę Jej dać, bo Ona niczego ode mnie nie chce. Nie szuka ocalenia, nie chce cienia, który nie znika, gdy zapadnie mrok. Nie patrzy na mnie z ukosa, kiedy odbijam się w szybie wystawowej, nie staje przed lustrem, niczego nie poprawia. Kiedyś przy zapinaniu specjalnie pomieszałem dziurki do guzików - potem przez cały dzień wlokłem za sobą jedną połę, jak kruk złamane skrzydło a Ona... w ogóle tego nie zauważyła! W nocy, kiedy leżymy nieruchomo, odwraca głowę do ściany i skulona kołysze się we mnie. Próbuję Jej przypomnieć jasną ideę odbitą na ekranie w ciemnościach kinoteatru Imperial. Pożądanie, tak silne, że w jednej chwili kazało Jej zerwać fabułę i biec do sklepu H-nna.

- Pamiętasz, jak kichałaś na upokorzenia, wulgarne propozycje sprzedawcy, bo jedyne, czego pragnęłaś to - ja? Chciałaś być rzeczą pomiędzy rzeczami, kanciastym przedmiotem. Objawiony przez światło, byłem Twoim czarnym zwierciadłem, w którym mogłaś oglądać swoje piękno. A teraz? Teraz nawet nie pamiętasz, gdzie mnie powiesiłaś.

- Dość mazgajstwa! - mówię sobie. - Muszę być twardy!

Twardy, jak owadzi pancerz.

Każdego rana dźwigam z łóżka moją Duszę i od nowa wszywam Ją w życie. Najpierw pobudka, usztywniam się i prostuję plecy.

- No, dalej moja Duszko! Pora wstawać do pracy!

Adina siada na brzegu łóżka z opadającą głową. Cholera, Z-jn! Czemu nie mam kołnierza? Gdybym miał kołnierz, choćby i najbardziej tępy trenczowy ryj, postawiłbym go teraz i podtrzymał tę biedną głowę, która nie ma siły się unieść i opada na boki. Z trudem wywlekam Duszę na korytarz, poruszam rękami, kiedy odkręca żeliwny kran. Zanurzam Jej ręce w strumieniu wody, Ada robi miseczkę z dłoni i schylona chłepcze wodę. Potem mokrymi palcami czesze włosy, bo nie mogę znaleźć grzebienia. Do kieszeni wpycham Jej kawałek chleba, żeby poczuła głód, kiedy włoży tam ręce. W zimne dni puszę się, stroszę, nabieram powietrza między skośno tkane włókna - tracę kontur i wyglądam śmiesznie, ale przynajmniej jestem ciepły. Nasuwam rękawy na Jej marznące dłonie i jak niewidomą prowadzę przez ulice.

- Teraz ostrożnie - krawężnik! Uważaj - teraz skręt w lewo i

dalej prosto pod murem. Dzień dobry, pani Bl-er! - uginam lekko plecy. W odpowiedzi płaszcz pani B-ler również mnie pozdrawia. On też jest pustą łupiną, bo Pani B-ler nie ma w środku. Mijamy bekieszę z Leżajska, kapottek z Wilna, paltot ze Skierniewic i joppe z Bawarii – nie ubrania, lecz egipskie *kanope* wypełnione wnętrznościami zmarłych. Wiem jedno: kiedy twoja dusza jest martwa, żyjesz zamiast niej, a kiedy jesteś ubranie od Z-jna - nie masz innego wyjścia! Stajesz się materialną duszą tkaną na skos. Duszą, która jest na zewnątrz, jak rusztowanie oplatające pustkę.

Jednak... są dni, kiedy nawet ja nie daję rady. Nie mam siły Jej podnieść. Przez moje plecy skute lodem, ledwie żywa brnie rozpacz. Brnie przez mroźną pustynię, grzęźnie, gubi się w lodowych odbiciach. Słyszę krótki oddech Duszy, zimna wilgoć za chwilę pokryje mnie szronem, cały trzęsę się z zimna. Drżenie zamienia się w wyboiste łkanie, moje ramiona podskakują, kiedy Ona przemierza ukośnie tkany czas i opuszkami palców obwodzi czarne rocznice.

Śmiercisierść!

Wilcza sierść ulicznych ogłoszeń.

Śmiercisierść!

Słowo jak druciany wycior szoruje gardło.

Dusza musi dotknąć czarnych słów, żeby w nie uwierzyć.

Potem wracamy do mieszkania, siadamy przy stole i razem z innymi, rozsypujemy splątany sens. Włos kruchych pogłosek dzielimy na czworo, a potem z nadzieją chwytamy się z tej ćwierci.

- Podobno dostają w dupę, gdzieś na Wschodzie! Sami widzieliście, ile mundurów przywożą nam ze Wschodu.

- Wojna zaraz się skończy! Alianci już się szykują.

- Jak im wszystko oddamy, to nas wypuszczą.

- Nie mogą wszystkich zabić, przecież potrzebują nas do pracy.

Jak wszyscy tutaj uważnie przepatrujemy materię zdarzeń, szukamy pęknięć, tajnych przesmyków, nadwątlonych powiązań i przez sparciałe prześwity – uciekamy. Uciekamy każdego dnia.

Każdy ucieka jak potrafi.

Mecenas M-r, na przykład, opuścił czas teraźniejszy.

Co ja mówię - opuścił! On go zniszczył! Rozgniół! Rozszurał podszwami butów, a potem, krzycząc i złorzecząc, uciekł do przyszłości! Czy mówiłem, że zabrał ze sobą fotel, kiedy uciekał? I ciepłą czapkę? Nie mógł uciec do niepewnej przyszłości bez ciepłej czapki. Teraz siedzi w swoim fotelu w

**szlafroku, w ciepłej czapce i z zeszytem na kolanach
przedawnia dni kopiowym ołówkiem. Teraz M-r jest
bezpieczny – przecież autor, to ocalony z opowieści, bo sam
jest dalszym ciągiem, z krwi i kości. Szeherezada żyje,
dopóki mówi. Mecenas M-r żyje dopóki pisze. Zawsze po
drugiej stronie zakrzywionej linii tresuje śmierć kaligrafią,
odgania ją, osacza, zamyka w labiryntach pisma.**

**Nulla dies sine linea, każdego dnia choćby zdanie! Mecenas
M-r sadzi sens na równych grządkach linii swojego zeszytu.
Patrzy jak sens powoli dojrzewa, bo to, co nie ma sensu, w
ogóle nie może istnieć. Sens rośnie prosto z korzenia
sylogizmu, jak od tysięcy lat. Soczystym sensem karmi nas
mecenas M-r**

**- Kulturalni ludzie zawsze mówią prawdę, a oni (no, cóż,
trzeba im to oddać) są kulturalni, sami wiecie – Goethe,
Schiller, Kant.**

Wiemy.

**- Ergo - M-r dociska rzeczywistość kopiowym ołówkiem -
jeśli mówią, że nie zamierzają nas zabić, to z tego wynika, że
mówią prawdę!**

**Papier ze skrzypieniem ugina się pod siłą dowodu. Dorodne
sylogizmy wschodzą na papierowym polu mecenas M-r,**

eden po drugim, ot choćby ten

- Nie marnuje się chleba dla kogoś, kogo chce się zabić, a skoro dają każdemu po bochenku chleba, to z tego niezbitcie wynika, że nie zamierzają nas zabić. *Quod erat demonstrandum!* Co było do udowodnienia!

Są jednak pola jałowe, na których nic nie rośnie. Mecenas nie wie, co tam jest, ale czuje, że coś strasznego - coś, co wymknęło się jego rozumowaniu, co jednak istnieje wbrew wszelkiej logice. Na wszelki wypadek M-r obrysowuje białe miejsca kopiającym ołówkiem, zamyka je podwójną linią - nie może pozwolić temu czemuś uciec i rozplenić się po świecie. Wie, że za równo utkaną linią języka jest tylko skowyt, filc. Bezpieczny w swoim fotelu i swojej czapce, macha do nas z przyszłości Mecenas M-r i pisze w swoim kajecie

- Dawno temu rozbierali nas do naga, strzygli, wpychali do komór, a potem, kiedy już byliśmy martwi zakładali nam rzemienne paski na ramiona i ciągnęli do...

Zamknięci między liniami, tak beznadziejnie związani gramatyką, pozdrawiamy go z czasu dawno minionego.

Wpadłem na niego na ulicy. Janek Lesman! Uwielbiam go. Próbowałem zatrzymać Duszę, ale Janek był pierwszy. Uśmiecha się do Niej, ma nadzieję, że Ona też się

uśmiechnie, ale Adina go nie poznaje, więc Janek klepie mnie po plecach

- No i masz tę swoją czarną gabardynę! Ulga-materia!

Potem ogląda mnie z każdej strony, rozwija wolanta i przygląda mu się uważnie.

- Wygląda, jak wielki czarny kleks!

Janek mówi, że napisze o nim książkę - wolant pęka z dumy.

Jan naprawdę napisał książkę o profesorze z brodą, jak czarny atramentowy kleks zrobiony w zeszycie przez nieuważnego ucznia - taki kleks nazywano „żydem“ w czasach, kiedy jeszcze robiono kleksy i byli Żydzi.

Na końcu się okazało, że ten profesor wcale nie był profesorem, tylko GUZIKIEM od czarodziejskiej czapki doktora Paj-hi-wo! Kto miał taki guzik, mógł zmienić się w ptaka i uciec.

Ludzie dziwili się, czemu Jan nie napisał o Mieście

Nieprawym, o Duszy, czerni i mundurach? Ależ napisał!

Tylko, że Jan nigdy nie uprawiał literackiej taksydermii.

Nie mówił

- Patrzcie, patrzcie, to jest skóra zdarta z wydarzeń, których byłem świadkiem, pokażę wam ich truchło z wyprutą głębią!

Bo Jan ukrył prawdę pod zmyślonym ubraniem, jak niegdyś

robił to Z-jn. Na tym polega miłosierdzie sztuki, nie tylko krawieckiej. Chociaż czasem nawet wyobraźnia nie daje rady, nie potrafi niczego zakryć, ani wywrócić na opak, kurczy się i słabnie, odmawia miłosiernej postugi i wtedy rzeczywistość, tak długo trzymana w ukryciu, przemaka na drugą stronę. Uczniowie profesora z brodą jak kleks, zawsze są głodni i tylko we śnie mogą najeść się do syta. Nawet czarodziejska pompka, którą Profesor powiększa obiad, żeby starczyło dla wszystkich, nie może zaspokoić ich głodu. A potem przychodzi najgorsze: zagłada Akademii. Fryzjer Filip, ten golarz, który obcina brody, które są kleksami w białych zeszytach o równych liniach, wdziera się do środka, a uwielbiany Profesor, ten wszechmocny bóg, na oczach przerażonych uczniów nie stawia oporu, daje sobą pomiatać, słabnie, maleje, dziecinnieje i coraz mniejszy, coraz słabszy - staje się... guzikiem!

A co się stało z uczniami?

Zamienili się w srebrne widelce.

Wyjeżdżamy z Miasta! Trzeba stawić się na placu, można zabrać tylko najcenniejsze rzeczy.

Surdut złapał mnie za rękaw - złapał i trzyma. Znałem go, lubiłem jego apteczną woń. To W-er. Zapytał Duszę, czy myśli

o ucieczce. Kiedy zadał to pytanie, wklęstem zaciekawiony - czekałem, co Dusza mu odpowie, bo szczerze mówiąc: sam myślałem o tym bez przerwy. W snach namawiałem Duszę do uciezki, ale Ona, kiedy się budziła, udawała, że niczego nie pamięta. W końcu postanowiłem, że porwę ją, nie pytając o zdanie - *raptus puelle*, tak to się nazywa. Którejś nocy zaaplikuję Jej najgłębszy z możliwych snów, a potem zapnę w sobie i uniosę na drugą stronę muru. Muszę tylko odpruć tę cholerną gwiazdę, a potem będę biegł i biegł, aż...

- Do-kąd-do-kąd- do... - Dusza krótkimi haustami łapie oddech. - I po co?

Po co?

Brzmi jak echo dziecięcych pytań - pytań, którymi kiedyś otwierała świat, a teraz, tym samym kluczem, na zawsze go zamyka. Po co? Przecież to nawet nie jest pytanie, to manifest. Manifest odrzucenia. Ada B-g szyje swoją zemstę na rzeczywistości: już cię nie potrzebuję!

W-er chwyta mnie za ramiona, potrząsa z całej siły, a potem dłonią wymierza mojej Duszy policzek, lecz zaraz przygarnia nas do siebie.

- Chodź! - mówi.

Wspinamy się po schodach owiniętych wokół pustego

rdzenia kamienicy. Drzwi do mieszkań otwarte są na oścież i chociaż to środek lata - podłogi pokrywa śnieg. Śnieg? Przystajemy, Dusza i ja, a właściwie tylko ja, bo teraz ja powożę, a Dusza jest tylko bezwolnym pasażerem ciała. Stoimy w otwartych drzwiach pustego mieszkania - to nie jest śnieg, to gęsi puch. Dokonano tu rzezi! W kątach pierzyny z rozciętymi brzuchami, mięsny róż wyłania się spod rozdartej poszwy - andrychowska wsypa, dekonspiracja najbardziej intymnej, łóżkowej materii. Pamiętałem ją ze sklepu H-nna - gęsto tkana, do wypychania pierzem. Różowe łono, zawsze ukryte pod bielą poszewki, teraz pocięte nożem albo bagnetem, w poszukiwaniu ukrytych monet i biżuterii. Docieramy do celu. Na strychu kamienicy mieści się małe laboratorium W-era. Fiolki, szalki, pipety, jest nawet staroświecki gramofon na korbkę. Pełno tu białych kapsułek zrobionych z czegoś, co przypomina opłatek - do tych kapsułek W-er wsypuje środki przeciwbólowe albowiem popyt na wszystko, co łagodzi ból, co przynosi sen i zapomnienie, jest w Mieście ogromny. W-er, profesor „*extraconsolarius*”, „nadzwyczajny pocieszyciel”, jak go tu nazywamy jest chemikiem i gadają, że dostał nagrodę Nobla

w czasach, kiedy chemicy wygrywali wojny, ale to już przeszłość, tę wojnę wygrają fizycy, chociaż nikt o tym jeszcze nie wie.

W-er nakręca staroświecki gramofon, ostrożnie, jakby nawijał muzykę na niewidzialną szpulę. Chropawy zgrzyt sprężyny gramofonu i płyta, wirujące czółenko, tka muzyczną materię na poddaszu W-era: kwartet Haydna, opus 51, *Septem Verba Christi in Cruce*. No, wiesz, W-er, bardzo stosowne, nie ma co! Zaczynam się niepokoić – o jakiej ucieczce mówi ten szaleniec z Noblem? Czy przypadkiem nie o tej, kiedy upalnego lata w sierpniu 1942 roku profesor *extraordinarius* Richard Willstaetter umierał w swoim domu w Muralto nad jeziorem Maggiore? Jego odejście w wielkim dębowym łożu celebrowane było przez wykrochmaloną białą pościel ozdobioną koronkami z Brugii, z monogramami, jeszcze z posagowych zasobów jego żony – pościel, która była świadkiem miłosnych uniesień, narodzin, a teraz śmierci. Lato, jak powiedziałem, było upalne, ale koił je chłód płynący od jeziora. Okna pokoju były otwarte, a Richard Willstaetter leżał w pościeli i patrzył na jezioro, winnice i lasy. A jednak... Wiem na pewno, że tego upalnego lata profesor *extraordinarius* Richard We-r, o którym

mówiono „*extraconsolarius*” - był tutaj z nami, w Mieście, do końca. Widziałem go na TYM placu, w palącym słońcu i kurzu, jak razem z innymi wsiadał do wagonu, bo jedynie istoty o kartezyjańskim splocie nie rozumieją, że można żyć i umrzeć w dwóch miejscach naraz. Profesor umarł podwójnie, po obu stronach materii, którą z takim furkotem odślaniał K-z, gdzie obraz po jednej stronie, stawał się zaprzeczeniem tego po stronie przeciwnej i nigdy nie ustalono, który z nich był prawdziwy.

W-er usadza nas w wygodnym fotelu, z kieszeni wyjmując buteleczkę z ciemnego szkła, obficie nasącza pusty opłatek gęstym płynem i podaje Duszy jak komunię w kościele. Jedną kroplę litościwie upuszcza na mój tors. Nie mam pojęcia, co to za substancja i niewiele mnie to nie obchodzi. Ada zamyka oczy, czterostrunna nić Kwartetu owija się wokół sprzętów, a Dusza, zamiast zasnąć (być może na zawsze, jak myślałem), nagle otwiera oczy, wyciąga dłonie i chwyta tę nić - kosmate *arpeggio* prześlizguje się między Jej palcami.

- Popatrz! Czy widziałeś kiedyś coś podobnego? Łaskocze! - śmieje się z zadziornego dźwięku, który klei się do Jej palców.

Od tak dawna nie słyszałem Jej śmiechu. Właściwie, nigdy nie słyszałem, żeby tak się śmiała.

- Moje palce! Co się z nimi stało?- porusza czterema palcami, które nabrzmiewają muzyką. - Tylko kciuk milczy. Czemu?

- Nie wiesz? Kciuk jest ciszą! Bez ciszy nie mogłabyś pochwycić dźwięku?

No, proszę! Ja mówię! Tak, rozmawiam z Duszą Jej własnym językiem, tym niewidzialnym, tym, którego nie można dotknąć. Mój głos jest ciemny, miękki, wznosi się i opada równocześnie. Skąd płynie? Nie wiem. Po prostu... jestem głosem!

Kwartet utkany do końca zastygł i – czeka. Rozpostarta muzyka wisi w powietrzu, Dusza wstaje z fotela, ręce odchyła do tyłu i powoli zsuwa mnie, aż do nadgarstków. Jak zawsze chwytą w ostatniej chwili, obraca się, wtula we mnie twarz. Czuję Jej oddech. Chciałbym Ją zatrzymać, ale nie potrafię, przestałem podlegać prawom materii - leżę bezwładny. Kim jestem? Domem, kochankiem, ojcem, matką, Jej czarnym rycerzem? A może tylko metaforą Duszy, kształtem odcisniętym w materii innej, niż Ona sama.

Dusza wchodzi między zamarłe dźwięki a Kwartet, zachwycony, dotkliwie Jej słucha. Teraz Ona jest muzyką,

cała dźwięczy. Czterostrunna nić oplata Jej biodra, talię, szyję, owija się wokół nadgarstków, zaciska wokół kolan.

Nagle ogarnia mnie strach

- Uciekaj stamtąd! - wołam. - Uciekaj! TO nie jest kwartet Haydna! To czworokąt wycięty w młodym lesie ze zwojami kolczastego drutu na brzegach i nitką torów. Pośrodku lasu gra orkiestra, w rurach zamiast wody płynie gaz - rzeczy opuściły swoje miejsca, są tam, gdzie ich dotąd nie było, wypadły z orbit i w przesuniętych trajektoriach - spotworniały. Po torach jedzie pociąg, wykoleja nazwy miast, „Oświęcim”, „Treblinka”, „Bełżec” już nigdy nie odzyskają niewinności. Nie ufaj rzeczom, tym znajomym, codziennym, usłużnym, bo kiedy one zmienią swoje przeznaczenie - twoje przeznaczenie też się zmieni: już nie będziesz człowiekiem, staniesz się skórą, złotymi zębami, dywanem utkany z włosów. I nie będzie żadnego „jak” - tego świata nie da się z niczym porównać. W świecie absolutnego zła nastąpi Ostateczne Rozwiązanie Kwestii Metafor!

Odchodzi naga, zamknięta w cienkiej błonie bez szwów. Zastłania piersi i wełnisty trójkąt między udami, oplata się rękami, jak ubraniem - tym gestem zawstydzenia

przywołuje świat, z którego właśnie Ją wygnano.

Ubranie zszywało Ją ze światem, ubrania budzą respekt, a teraz, bez wypchanych ramion, modnego fasonu - przestała być człowiekiem. *Kleider machen Leute!* Nagość i wygnanie, *galut*, zawsze były tym samym, zapytajcie Adama i Ewy. Odchodzi mglista i biała. Mundury, które Ją otaczają, nie mogą znieść tej bieli, więc zasłaniają oczy aparatami fotograficznymi.

- Duszo moja! - krzyczę. - Odwróć się! Spójrz na mnie, „*there is no other shelter hereabout*” - „nie ma tu innego schronienia”. Wdziej się we mnie, a wdziana - dziej się we mnie! Wsuń się pod moją gabardynę, a ja obejmę Twoją talię, piersi, biodra, Twój oddech stanie się moim oddechem. Jestem Ci pisany, jestem Ci szyty! Jak mam bez Ciebie żyć? W-er zwisa z poręczy fotela przechylony na jeden bok - właśnie umarł na atak serca w swoim domu w Muralto.

Leżę opustoszały na stosie innych ciał, zbyt wiele wart, by pozwolono mi umrzeć.

Złamany tors, ramiona pogruchotane, spod gruzów wypływa szew, pieni się w talii nadprutą nicią - nie oddycham, nie bije we mnie żadne serce. Palczasta tyraliera sunie wzdłuż moich szwów, centymetr po centymetrze

przeczesuje włókna, wywraca kieszenie, zagląda pod podszewkę - próbuje wycisnąć ze mnie resztki duszy. Nic z tego! Jestem powierzchnią, która pochłonęła głębię. Destylaty potu rozesłane do najdalszych prowincji, wypukłość piersi odbita w moim wnętrzu, nawet drobina proszku do mycia twarzy Mimozela, która spadła na moje ramię - niczego im nie oddałem. Jestem *phantasiai*: śladem, który przemijająca anima zostawia w materii, zanim nagiej nie wypędzą jej z ciała. Jestem dzieckiem Upadku, bratem Śmierci. Nagość i nieśmiertelność wykluczyły nas z Raju, więc razem z bratem zamieszkaliśmy po drugiej stronie muru. Ja schroniłem się w zwierzęcych skórach i sierści, w kokonie jedwabników, brat miał słabość do jadu węży i ostrych kamieni. Ja rysowałem na pylistej ziemi kołnierze i rękawy, moje imię to „pustka”, „czczość”. Brat obmyślał maszyny do zabijania. Śmierć i Ubranie. Podzieliliśmy świat, odgradziliśmy nasze królestwa. W moim nic nie umiera, tylko wychodzi z mody. Pożądanie, które zszywa mnie z duszą, jest tym samym, które nas rozdzieli, kiedy pojawi się nowy fason. Sezonowa „śmierć” zawsze wygląda tak samo: nagie gipsowe dusze czekają na przybycie nowego ciała, ale „ostatni krzyk mody” to nie „ostatnie tchnienie”! Brat

mówi, że nic nas nie różni. Ja wypowiadam wojnę kolorom i długościom spodni, toczę kolorowe bitwy na niby. Brat zabija naprawdę. Mnie wszyscy kochają, brat budzi grozę, ale wiem, że mi zazdrości. Będzie czekał na mnie w upale, na końcu ślepych torów, pośrodku młodego lasu, na placu otoczonym zwojem kolczastych drutów. Tam zabierze mi Duszę. Mnie wpiszą na perforowaną kartę i dokładnie opisany, zarachowany i martwy - wyruszę w drogę. Nie znam celu, nie wiem, gdzie skończy się moja wędrówka, bo w materialnym świecie nie ma żadnego „później”, tak, jak nie ma żadnego „wcześniej”! Jest rozpostarta płachta czasu. Nic nie przemija. Wszystko trwa.

Raz w roku, na stacji metra Miserere w Buenos Aires Trencze blokują drzwi: „Tylko płaszcze i kapelusze. Buty nie wchodzi, buty zostały daleko stąd, leżą w barakach, bo kaci nie wchodzi w buty ofiar.”

Na stacji Miserere, my, bezludne ubrania, opuszczeni, ale przecież nie martwi, wytrząsamy z oprzędu kawałki dusz - z tego, co nam zostało, utkamy je od nowa między połami zapiętymi na guziki, a one urosną w nas, wyprostują nasze zgarbione plecy, wypchają rękawy i torsy - przed północą będziemy pełni. My przetrwaliśmy. Nie nasza wina. Kto by

pomyślał, że wystarczy szlachetna materia i wytworny krój.

- Co tam masz?

- Kroplę denaturatu, tu na rękawie. Ona zawsze kupowała denaturat do maszynki spirytusowej. Pamiętasz tę reklamę:

„Jak ona się męczy,

jak ona się dręczy

ma oczy pełne łez,

lecz teraz odżyła,

bo sobie kupiła denaturat

i kuchenkę EM-ES“

Więc kupiła tę kuchenkę, jeszcze w sierpniu. Chociaż i tak ciągle płakała... A co u ciebie?

- U mnie? Szklana ampułka, zaszyta tak mocno, że nie zdążył jej wyjąć.

- Wiem, wiem! Zobacz, to miejsce, które się zapada, ślad po dwóch, dał je córce i żonie, a sam...

- Zginął?

- Ocalał. Niestety.

- Zobaczcie tylko, kto tam stoi!

- To Henry Poole z Savile Row. Przeżył. Nie strzela się do garnituru za dwa tysiące dolarów!

- A słyszałeś, że Krawiec uszył dla Najmłodszego niezwykle płaszcz. Kto go założył stawał się niewidzialny! Płaszcz „niepatrz-na mnie“, płaszcz „pozwól-mi-przejść“, kto na niego patrzył, widział tapetę na ścianie, deski podłogi albo mur. Wierny paltot, druh duszy, niezrywalny, nierozstawalny. Kto go założył – ocalał.

- Gadanie! Lepiej zobacz tam? Szlafrok! I ciepła czapka! Kto go w ogóle wpuścił! Przecież tylko „płaszcze i kapelusze!

- Znałem go... Jeszcze, kiedy byłem...tam. To Mecenasa M-r. Przedawniał dni! Stara sztuczka! Na niewiele mu się przydała.

Gdzieś w oddali, Redingot pani Aj-er zaczyna rozdzierającą pieśń o Płaszczu Wielkim Mścicielu. Wycięty z nocnego nieba, z literą „szem“ wszytą przy kołnierzu, budził panikę wśród morderców. Jak cień przyczepiał się do żołdackich butów i nie odstępował ich na krok. Kiedy żołnierz dostrzegł ten dziwny cień - zaczynał się taniec śmierci! Prześladowany prześladowca kręcił się w kółko, trąc obcasami o bruk - nie mógł się uwolnić od Tego-Który-Nie-Znika-Nawet-Gdy-Zapada-Mrok.

- Nigdy przed nim nie uciekniecie! - śpiewa Redingot. - Nigdzie nie będziecie bezpieczni, bo każdy fragment czerni

nad głową, może być naszym Gabardynowym Mścicielem. On spada nagle, zabija naszych oprawców i nie zostawia śladów - jeśli nie liczyć strzępków czarnych nici.

Nad ranem, na stację Miserere, przyjeżdżają pierwsze pociągi. Szklane kandelabry, drewniane ławki linii A. Wchodzimy do wagonów, są prawie puste. Siadamy obok ortalionowych dresów, kurtek ze skaju, sukienek z non-ironu - wypełnione sennymi duszami kiwają się na wszystkie strony. Lumpexproletariat nie zna powinności ubrań, nie podtrzymuje głowy opadającej boleśnie na bok, nie chroni przed upadkiem. Tandetny niesort nie przywiązuje się do swoich dusz, nie tęskni za nimi. Zapadamy w naftalinowy sen - sen, który będzie trwał przez cały rok, aż którejś nocy znowu obudzimy się na stacji Miserere, żeby wspominać utracone dusze.

CZĘŚĆ DRUGA

Wątki, frazy i tematy o dotykanej teksturze:

„Dlaczego mnie nie kochasz”

Przebrane domy albo pasmanteryjny duch czasu.

Kalander - walec parowy do wyciskania wzorów na społecznej tkaninie. Inaczej: dyktator.

Kiedy odpowiedzi wyprzedzają pytania

Mysie wciałowstąpienie

Mundury są jak rasy psów

Płaszcz Homera

Dobrze być liczbą

Szyto-kryto - sposób szycia, dominujący w pewnych okresach historycznych

Teza-antyteza-prątkowana synteza - zmaterializowany postęp dziejowy

Kamizelka - ta trzecia. Znana również jako „karlica NEP”

Ortalion czyli kosmopolityzm

Na początek wymierza mi kilka solidnych klapsów, jakby chciała mnie ocucić. Szarpie za rękaw, otwartą dłonią bije po plecach, potem chwyta za ramiona, bierze zamach i z półobrotu wali mną z całej siły o żeliwny filar. Owijam się wokół niego - i trzymam. Nie zamierzam puścić! Niech sobie ciągnie, ruda walkiria, proszę bardzo, niech mnie rozerwie na kawałki.

Kobieta przygląda mi się uważnie i delikatnie odwija mnie

ze słupa. Dotyka wolanta, próbuje go rozwinąć, lecz on udaje martwego nietoperza - czarne skrzydło opada.

Przegląda się w podszewce, która nagle stała się matowa, zimna i nieprzyjazna, wymiguje się od refleksów, choć kiedyś tylko czekała na okazję, żeby olśnić.

Kobieta obmacuje moje wnętrze, wsuwa dłoń w otwór rękawa - podszewka jest zdecydowanie szorstka i odpychająca, więc ramię utyka w połowie tunelu.

- Posłuchaj, kobieto! Nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

Przed tobą była inna, ta, na którą byłem krojony! A poza tym, czy nie widzisz, że jestem za mały na ciebie!

Ona jednak dalej wciska się we mnie.

- Nic z tego, paniusiu, nie zapniesz mnie! Ostrzegam z góry - szwów swoich nie odstąpię, bo to jest wszystko, co mam! Strażnik w mundurze, odstawia karabin i podchodzi do nas. Chwyta mnie za ramiona i trzyma mocno. Kobieta z trudem wciska się w jeden rękaw. Alleluja! Alleluja! Rezurekcja już trzeszczy w szwach. Na okupację drugiego rękawa kobieta nie ma szans, więc drugi owija sobie wokół szyi - tkwię na jej plecach, jak czarna monstualna narośl. Kiedy jesteś pusty, a na dodatek nie zapięty, możesz obudzić się leżąc na kimś, kogo widzisz pierwszy raz w życiu!

Poszliśmy do niej i teraz stoi przede mną z kubkiem kawy zbożowej Enrylo, od której robi mi się nie dobrze. Stoi i gada. Byłem jej łupem, pustą łupiną, więc wypycha mnie słowami, chce posiąść mnie gadaniem! Gada, kiedy powietrze wychodzi z jej ust i kiedy ze świstem do nich wchodzi – jakby się bała, że przez tę szczelinę ciszy, jaką robi dla zaczerpnięcia oddechu, mógłbym gdzieś umknąć.

- Przestań! - mówię do niej. - Przecież nigdzie ci nie ucieknę! Wiszę na wieszaku, zaczepionym o drzwi szafy - nie widzisz? Na imię ma Tr-el i jest księgową w fabryce topionego sera. Sera bojowego. Żołnierze na froncie potrzebują go jak amunicji i czołgów – tak w każdym razie twierdzi Tr-el. Płyną opowieści o epickim smaku ementalera, ciągnie się heroiczny epos o serowym Odyseuszu, który wyrusza na wojnę; o próbie ognia i warzeniu w kotłach, po których Odys staje się morzem, a kiedy dobija do brzegu - krzepnie w postaci wielkich żółtych kostek. Obrzydlistwo! Słucham, lecz guzik mnie to obchodzi - mazistą substancję od razu uznałem za swojego wroga. A poza tym, miałem pewność, że i tak nigdy się nie spotkamy.

Tr-el stoi i gada, jej głos osacza mnie, jak niewidzialny wróg.

- Teraz ja jestem twoją prawdziwą duszą! - mówi Głos. -

Duszą z powietrza, jak należy, a nie tym wyuzdanym czymś, z ciała i krwi, co ubrało się w ciebie w jakimś sztetlu na Wschodzie.

Tr-el wiedziała, że przed nią była inna, ta, której miłość mnie stworzyła, na którą byłem krojony, na którą byłem szyty, lecz, choć mówiła bez przerwy, nigdy nie zadawała pytań. Kiedyś znalazła włos Duszy wystający z osnowy na moim rękawie. Przyjrzała mu się dokładnie pod światło, pogroziła mi palcem, i mówiąc: no, no! wyniosła włos do ubikacji, spuściła wodę i umyła ręce. Innym razem obwąchała mnie dokładnie i wywęszyła zapach, który jej się nie spodobał: Shalimar! I dym papierosowy.

Skrzywiła się, a potem przyniosła butelkę z zielono-złotą etykietą „*Koelnisch Wasser 4711*” i jak wielki rudy kocur, który zaznacza swoje terytorium, oblała mnie wodą kolońską. Teraz już na pewno byłem jej własnością – przynajmniej ona tak uważała.

Jak każdy płaszcz po przejściach, miałem swoje osobliwości. Na przykład, brakowało mi jednego guzika po owej nocy, którą nazwałem Nocą Absolutnej Pełni. Dusza nigdy nie przyszyła nowego guzika, nie chciała wypełnić niczym pustki, która w tym miejscu mojego ciała wydymała się w

niewielki wzgórek.

- Już ja cię tego oduczę! - powiedziała Tr-el.

I grubą nitką przyszyła mi wielki, niezgrabny guzik, który zupełnie do mnie nie pasował! Na ten dziwaczny skobel zamknęła moją przeszłość, wyglądam teraz jak ktoś, kim nigdy nie byłem: niemiecki mantel.

Jak każdego ranka, Tr-el kładzie mi głowę na ramieniu, rękawy owija sobie wokół szyi, zamyka oczy. Kocha mnie, chociaż nie byliśmy dla siebie stworzeni - no cóż, nie mogłem sprostać tej kobiecie, byłem za mały, a przecież, nawet bezwarunkowa miłość musi, choć odrobinę, trzymać się numeracji. Tr-el mruczy jakieś tango, kołyszemy się przez chwilę, a potem, zniechęcona, odsuwa się ode mnie. Człapie w kierunku wielkiej skrzyni, wyjmuje z niej grubego sweter w alpejskie wzory przywieziony z wycieczki do Murnau.

Wsiada na rower i jedzie do fabryki topionego sera.

Dzisiaj też stoi przede mną z opuszczoną głową, jak przed komunią w kościele. Przez chwilę myślę, że to zwykła poranna adoracja, że zaraz usłyszę jej żalosne mamrotanie

- Gdybyś tylko zechciał, gdybyś się postarał! Mógłbyś mnie objąć i bylibyśmy razem na zawsze. Dlaczego mnie nie kochasz?

Lecz Tr-el nieoczekiwanie zdejmuje mnie z wieszaka.

- Co robisz, kobieto?!

Ostrożnie, jakbym za chwilę miał się rozpaść na kawałki, zaczyna wciskać się we mnie.

- To niemożliwe! - wołam. - Przecież wiesz!

Próbuję otrzeźwić ją ideologicznie

- Chcesz się ubrać w marzenia żydowskiej dziewczyny z jakiegoś sztetla na Wschodzie? Ty, niemiecka kobieta, w niemieckim mieście? To się może źle skończyć!

Nie słucha. W jej kanciastych ruchach jest desperacja.

Wsuwa ramię w prawy rękaw, czuję zapach talku i potu.

Wypina piersi – zaraz pękne!

- Nie waż się tego robić! Oszalałaś?

Tr-el zamyka oczy, wciąga brzuch, wciąga wszystko, co daje się wciągnąć, łącznie z policzkami. Trzyma mnie za obie poły i spróbuje zetknąć je ze sobą.

- Mówiłem ci! Należę do innej! Zostałem dotknięty w sklepie H-nna. Gdybyś mnie zapytała, wszystko bym ci opowiedział.

O kobiecie, która siedzi w kinie, widzi płaszcz z czarnej gabardyny i nagle czuje, że świat stał się całością, jakby wszystkie kontynenty rozdzielone przed milionami lat na powrót zsunęły się i przywarły do siebie postrzępionymi

brzegami. Jak po raz pierwszy w życiu, ta kobieta czuje, że świat ma sens i wcale Jej nie dziwi, że ten sens przybrał kształt płaszcza.

Jednak Tr-el o nic nie pyta, tylko pociąga nosem, jakby zaraz miała kichnąć

- Sama nie wiem...

I wtedy... coś we mnie pęka.

Dusza jest nomadą. Osiedla się w nas i wtedy, przez krótką chwilę, unosimy się nad ziemią. Potem odchodzi.

Odchodząc, rozszarpuje powierzchnię, porzuca wymotyłony kokon. Dusza się przytrafia, nic nie mogę na to poradzić, tak zrobiony jest świat. Nie mam wyjścia, muszę się zgodzić na kolejne zmartwychwstania, bolesne i niechciane, kiedy jakaś przypadkowa dusza nawiedza mnie jak duch. Kiedyś byłem znakiem Jedynej, Jej monogramem i sygnaturą, materialnym dowodem, że istniała – lecz Ona odeszła i odtąd stałem się znakiem pustki, więc... czemu nie przygarnąć tej samotnej dziewczyny z fabryki topionego sera? Mógłbym ją objąć czarnymi połami i ofiarować to, czym kiedyś obdarowała mnie Dusza. Mógłbym sprawić, że uniesie się lekko i radośnie zawiruje przed lustrem. Mógłbym sprawić, że... zacznie żyć. Zdrada nie istnieje.

Wierny don Juan porzuca, żeby kochać na wieki.

Tr-el zamyka oczy, poły lekko nasuwają się, jedna na drugą.

Usztyniam się, wymuszam kształt - szwy i dyscyplina!

Muszę być bezwzględny - szczególnie dla piersi! Już nie

jestem odbiciem - teraz uwieram! Nie wyrażam zgody! Dryl i

szyk! Napinam plecy, unoszę ramiona, Tr-el delikatnie

zapina mnie od góry do dołu. Kiedy otwiera oczy, jest

dziewczyną o smukłej talii, prostych plecach. Patrzy w

lustro, chce zachichotać - wstydzi się zachwytu sobą. Unosi

rękę, żeby zakryć usta, ale ją powstrzymuję

- Naucz mnie! - prosi potulnie.

Opuszczam jej ręce wzdłuż szwów, lewą zginam na

wysokości czwartego guzika od dołu. W zgięciu łokcia

zaczepiam torebkę. Czas nagli. Kopciuszek wyrusza na bal

do fabryki topionego sera. Tramwajem.

O rowerze nie ma mowy!

Przebrane domy: pasmanteryjny duch czasu. Wszędzie

flagi. Flagi nie są bezpieczne - układają się z wiatrem! Wiatr

ośmiesza materię, kiedy owija ją wokół drzewca - wieje

niesubordynacją. Kiedy pada deszcz, jest jeszcze gorzej!

Deszcz napawa płótno antypaństwowym smutkiem.

Wysiadamy z tramwaju. Porywa nas ławica ubrań. Każde

ubranie niesie swój brzeg, swoją solidnie obrębianą krawędź. Setki koszul, zakietów i płaszczy płyną w jednym kierunku. Co ja tu robię? Na moich plecach jeszcze ciemnieje ślad po żółtej gwiazdce, a Tr-el już wsuwa mi opaskę na rękaw. Pasmanteryjne szaleństwo? Na wielkim placu konfekcja wierci się i sapie – na coś czeka. A może na kogoś? Reflektory przeszukują niebo. Jest! Pochwyciły metaliczny błysk, jak srebrzysty kiel Primadonny. Prosto z chmur spływa na ziemię KALANDER! Koszule, zakiety i płaszcze, jeszcze przed sekundą uwięzione w dzierganych ręcznie obrąbkach i w endlowanych maszynowo granicach, wydarte z całości i tak bezbrzeżnie samotne – nagle stały się jedną materią. Wyprężone rękawy wyrwały skosem w górę, jakby chciały wystrzelić z korpusów i wbić się w sam środek białej tarczy na czerwonej opasce ratusza - tam, gdzie czarna swastyka przypomina posłusznie zaciśnięty odby. Jeśli naprawdę tak się stanie, wszystkie ubrania wrócą do domów bez jednego rękawa! Zaraz! Tę bajkę opowiadała mi Dusza! Bajkę o braciach zamienionych w kruki. Tylko ubranie zdejmie z nich zły czar i na powrót staną się ludźmi, wiadomo: *"Kleider machen Leute"*, więc ich siostra zbiera łodygi pokrzyw, gołymi rękami

wydziera parzącym roślinom łykowaną nić, żeby z niej utkać koszule dla braci. Zabrakło jednak materii na jeden rękaw i ramię jednego z braci pozostało krucze. Rozglądam się dookoła i ogarnia mnie przerażenie – tam, w skośnie wyprężonych rękawach, ukryte jest krucze skrzydło zamiast ręki.

Kalander nie drży, nie omdlewa, nie pręży ramienia - jest zupełnie spokojny. On jeden na tym placu nie ma erekcji rękawa, tylko delikatnie unosi dłoń, trochę niechętnie, miękko, łokieć ma zgięty - to nawet nie jest pozdrowienie! To znudzone machnięcie: no dobrze już, dobrze! Uwielbienie go męczy. Kim jest? Przelotny kłak znikąd. Z Linzu? Czy z Wiednia? Konopna zdziera upleciona na skos teraz rządzi światem – mówiłem, że gabardyna to sposób bycia. Ruszył. Z początku cicho i sennie, nie naciska, tylko delikatnie wyrównuje powierzchnię. Materia na placu mięknie, poddaje się jego spokojnym słowom, ale w parowym kotle już wzbiera moc. Kalander nabiera prędkości - teraz zgniata i miażdży. Elektryczny wizg rozdziera przestrzeń, dudni deseń:

- Wy-pruć, wy-pruć wy-pruć, wy-pruć!

- Wy-pruć, wy-pruć, wy-pruć, wy-pruć! - tło odpowiada mu

echem.

Rozglądam się zdumiony - materia mdleje ze zgrozy, słucha opowieści o zwierzętach w ubraniach podszywających się pod ludzi.

-Wy-pruć - ryczy Kalandar. - Z mieszkań, sal wykładowych, ze sklepów! Wyszarpnąć z ławek w parku, z kawiarnianych stolików, z tramwajowych wagonów!

**Rozpędzony Kalandar mknie przez plac, ryje prosty wzór złożony z samych odpowiedzi, a kiedy odpowiedzi wyprzedzają pytania - czas płynie do tyłu! Znów płonie plemienny ogień i huczą bębny, jak przed setkami lat. Unia ubrań wzmocniona siłą równoległych gestów, wyje
- Jesteśmy razem, jesteśmy jednym, samotność nie istnieje!
Jeden Kalandar, jedna materia, jeden wszechogarniający
*ueber-mantel!***

Tr-el, jak wszyscy, chce wyciągnąć rękę w skośnym pozdrowieniu, ale jej rękaw drga konwulsyjnie - no, cóż, ja jestem silniejszy

**-Nie, nie, moja droga, to wykluczone! Moje szwy nie wytrzymają takich poglądów politycznych jak twoje!
Biedna Tr-el, stoi pośród wyjącego tłumu, z bezsilnie opuszczonymi ramionami. Beznadziejnie samotna,**

ostentacyjnie newszyta w zjednoczoną materię. W skośnym szaleństwie robi się dziura! Ta dziura, to Tr-el z ponurym grymasem na twarzy, przyciskająca ręce do tułowia. W ciszy wyprostowane rękawy łamią się, ręce palcami wskazują na mnie

- *Wer ist das? wer ist das? wer ist das?* - szept jak pleśń pokrywa ciszę.

Reflektor usłużnie wyszperał nas w tłumie, wyciął z tła, oślepił światłem. Na mojej piersi ślad po gwieździe w kolorze „żydowskożółtym” jarzy się czernią. Szept rośnie, ktoś krzyczy

- *Juedin! Das ist eine Juedin!*

Wiesz, co Tr-el? Zabieramy się stąd! Czas się ruszyć, zanim rozszarpią nas na strzępy. Wolant, jak okrętowa śruba, rozpycha tłum, toruje nam drogę, kiedy wycofujemy się z tłumem. Unoszę bladą Tr-el w czarnej gabardynowej łodzi podwodnej, byle dalej od tego miejsca. Biegiem, biegiem! Do fabryki topionego sera!

Milkną i patrzą na nas. Nawet patefon umilkł. Pryncypał zastygł z kieliszkiem w ręku, przerwał mowę na cześć Kalandra, z okazji urodzin Naszego Jedynego - i gapi się z otwartymi ustami. Kim jest ta piękność w czarnym

gabardynowym płaszczu? Czy to możliwe, czy to na prawdę ona? Nasza Tr-el?

Jak Pigmalion z drżącą Galateą w środku, ostrożnie poruszam Tr-el, a ona robi wszystko, co jej każę! Właśnie zamierza nabrać powietrza w płuca i ryknąć śmiechem, jak wszyscy tutaj, bo Pryncypał znów opowiedział dowcip o tym, jak nasz nieustraszony topiony ser daje w dupę Ruskom - lecz ja nie mogę na to pozwolić! Nie chodzi o politykę, lecz o guziki, więc Tr-el tylko wzdycha cichutko. Pryncypał patrzy na nią zdziwiony i marszczy brwi

- Co, Tr-el? Nie podobał ci się dowcip o tym, jak nasi dzielni chłopcy zwyciężają na froncie?

Tr-el tężeje we mnie. Mam, co prawda, opaskę na rękawie, ale nikt z zebranych nie jest pewien, czy na mojej czarnej, jak ziemia, piersi nie zakwitnie zaraz biała róża Sophie Scholl. Mała Tr-el, uważaj, w co się ubierasz, Kleider machen Leute. Na szczęście Pryncypałowa włącza patefon i zaczynają się tańce. Syn Pryncypała podchodzi do nas i prosi do walca. Odmawiam. Lecz Tr-el nagle przestaje mnie słuchać

- Tak! Ależ tak!

Mężczyzna zbyt mocno przyciska mnie do swojej marynarki

z ciężkiego whipcordu o tandetnie wyrazistych prążkach. Spoconą dłonią ugniata moją talię. Kiedy zaprosił Tr-el do magazynu, w którym trzymano ser, stałem się odpychająco sztywny

- Nie możesz tam iść! Piwnica pełna tłustej mazi nie jest dla mnie!

Tr-el odpina górny guzik, nabiera powietrza i jak tonący, który wreszcie złapał oddech krzyczy

- Tak jest!

Nagle postanowiła się ode mnie uwolnić. Na szczęście trzymam mocno jej ramiona. Wielki jak skobel guzik nie daje się odpiąć - sama tego chciałaś, Tr-el! Walczę z nią tak, jak ciało walczy z duszą, ale mężczyzna jest silniejszy - wywraca mnie na lewą stronę i rzuca w kąt, a dusza w kolorze topionego sera z ulgą wypływa z gabardynowej formy i znika.

Jak długo leżę w kącie fabryki? Nie mam pojęcia. Materia jest wieczna, nie wie, co to czas. Czas jest dla dusz, to one pojawiają się, nie wiadomo skąd i znikają, nie wiadomo gdzie. Leżę, czekam, cuchnę serem, chyba nie mam już szans na ciałowstąpienie i bardzo mnie to cieszy - dusze nigdy nie liczą się z ciałem i zawsze robią, co chcą.

Rękaw nagle zaczyna chichotać, bark podskakuje, w talii poruszenie, jakbym połknął kule bilardowe! Dusza-chaos, dusza-bieg wpada, węszy, kręci się w kółko, a potem rozbiega we wszystkich kierunkach. Łatwo się płoszy, więc nie mogę ustalić jej granic, jest w środku i na zewnątrz - równocześnie! Z ilu części się składa? Próbuję policzyć: trzy, osiem, dwanaście? W kieszeniach ciągle trwa ferwor narodzin! Przybywanie i ubywanie, kształt mojej duszy zmienia się z każdą sekundą, przyptyw i odpływ, falują kosmate korpuskuły, moja dusza jest śmiertelna i wieczna, ciągle rodzi się i umiera, a na dodatek łaskocze! Turlają się futrzane atomy, w każdym stuka posrebrzane serduszko: cud!-cud!-cud! Pękam ze śmiechu. Proszę, zostań we mnie mysie wciałowstąpienie z jedwabnym ogonkiem! Duszyczko podzielna i niezniszczalna - skąd przychodzisz? Taszczysz ze sobą ziarna i źdźbła traw, zagnieżdżasz się, zabiegasz, krzątasz - i nie masz pojęcia o moim istnieniu! Moja nowa dusza wcale mnie nie widzi, nie podziwia modnego kroju, nie zachwyca się moimi proporcjami - jestem tylko ziemią do osiedlenia, ziemią obiecaną pachnącą ementalerem, rozciągam się po krańce wolanta a światło gwiazd sączy się przez dziurki od guzików. Od ilu pokoleń błąka się we mnie?

Te najmłodsze, urodzone przed chwilą, sam układam do snu w skośnych bruzdach, fałdach i zagięciach - tu będą bezpieczne, tu nikt ich nie znajdzie, nie każe spakować walizek, nie naszyje żółtych gwiazd, będą mogły zachować swoje futra i zęby. No, dosyć biegania, idź spać, ludu mój srający bobkami! Zaraz i ja pokryję się szarą sierścią, wolant przemieni się w długi ogon, i będę taki jak wy, wielka szara mysz, Mysi Mojżesz.

Obcas wbija mi się w kark, nabita gwoździami podeszwa miażdży rękaw. Dusza czmycha, pazurzasty ścieg szyje ucieczkę. But, onieśmielony moją ruchliwą miękkością, cofa się! Ręka unosi mnie do góry. Wytrząsa ze mnie duszę, a ta wysypuje się z piskiem - zaspani maruderzy czepiają się pazurkami ziemi, która nagle zatrzęsła się i wywróciła do góry nogami. Uciekajcie, uciekajcie, serożercy! Wędrujcie dalej! Czy będziecie o mnie pamiętać? Czy będę waszym mitem o Atlantydzie?

Gapi się na mnie. W jego spojrzeniu jest zachwyt i jeszcze coś - tryumf! Zdiera mi opaskę z rękawa, wciska ją sobie do chlebaka - mam nadzieję, że tylko o nią chodziło, o wojenny skalp, że teraz zostawi mnie w spokoju. Zamaszysty półkolisty ruch i już siedzę nowej duszy na ramieniu,

okrakiem. Jadę na oklep - on jest moim koniem ze stalową głową i karabinem. Mój wehikuł śmierdzi wódką i lazaretem.

FAŁDA: W tamte sierpniowe dni, kiedy wisiałem niedokończony w pracowni Z-jna, a wokół nas ścieliła się armia, którą Krawiec szykował do wojny, Z-jn nagle zasyczał - Są jak rasssssssy psów!

Nie bardzo wiedziałem, co ma na myśli.

- Zawsze muszą wyglądać dokładnie tak, jak w podręczniku hodowcy! Co do milimetra! Jedne są buldogami, inne dobermanami, a jeszcze inne windhundami. Jedne mają przycięte uszy, inne poobcinane ogony, jeszcze inne spłaszczony nosy, przez które ledwie mogą oddychać, a wszystko według wzoru w podręczniku! I wszystkie są dumą narodów, które je wyhodowały, bez względu na to, jak bardzo są pokraczne i śmieszne.

- Ale kto? Co? O czym ty mówisz, Z-jn?

- Jak to o czym? O mundurach! Mundury są jak rasy psów! Mundury różnych ras w żadnym wypadku nie mogą mieszać się ze sobą! W każdym razie - nie oficjalnie! Ale... - Z-jn ściszył głos - czasem na polu bitwy rodzi się skundlony mundur, mundur- łatanina, przypadkowy i na pozór bezsensowny,

waleczny kundel.

Tak mówił Z-jn w tamte sierpniowe dni, a ja opowiadam o tym teraz, ponieważ mundur, na którym właśnie siedziałem, był takim właśnie osobliwym mieszańcem - jakby siedział okrakiem na dwóch światach, dwóch epokach przedzielonych wojną. Mundur ten - używając metafory Z-jna - miał być rasą całkiem nową, ale taką, żeby tylko doświadczony kynolog mógł stwierdzić z całą pewnością, że ten oto pies, jest psem zupełnie nowym, choć na pierwszy rzut oka bardzo przypomina psa dawnego, i żeby każdy, kto psa nowego zobaczył, z radością go witał, jak starego druha, który zaginął w wojennej zawierusze, i w końcu znalazł drogę do domu, bo obcego nie chcieliby wpuszczać na swoje podwórko. Nowi „hodowcy” zaczęli od guzików. „Pies dawny” miał ich siedem, a „nowy pies” - tylko sześć! Różnica niby niewielka, a ile przy tym oszczędzono guzików i pracy, przy robieniu dziurek! Lecz najważniejsze, jak u każdego psa były uszy! Uszy starej rogatywki opadały na bok, jak u spaniela, a uszy nowego psa wcale nie opadają - przycięte sztywno, trzymają się płasko. A kiedy ludzie zobaczyli, że to jednak nie ich pies, wtedy było już za późno. KONIEC FAŁDY

Pamiętałem głębokie wąwozy o brukowanym dnie.
Ściany wąwozów - czynszowe kamienice - piętrzyły fasadowe
nostalgie garnirowane ornamentami. O tych ornamentach
mówiło się, że były zbrodnią, choć ja myślę, że wcale nie
największą w tamtej zbrodniczej epoce. Pamiętałem
kobiety, ich nagie piersi prężyły się przed oczami
przechodniów, a ja nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że
zakazane sny przeniknęły przez gruby mur mieszczańskich
sypialni i osiadły na fasadach domów. Teraz miejskie
wąwozy płonęły, ruiny kamienic zamieniły się w górski
łańcuch, na którego szczytach rozpalono ogniska.
Biegniemy dnem tej płonącej doliny, on i ja! A mówiąc
ściślej: ja na nim! Na mojej duszy o nieznanym imieniu.
Miasto wisi w powietrzu, jego ognisty oddech spleciony z
gorących strumieni. Z dziurawych dachów strzelają w niebo
aromatyczne osnowy, palą się pierze i ołtarze, *Reis mit Zimt*,
jeszcze gorący, pęcznieje w piekarnikach, ludzkie zwłoki
pęcznieją w piwnicach. W noc przemienienia w dym, Miasto
uniosło się w powietrze i skręcone w szarą nić wplata się we
mnie. Nasycam włókna jego teksturą: luźno tkane
przedmieścia *Oltaschin, Bischofswalde, Hundsfeld*, rozdymają
mój tors; gęste zaułki Rynku wypełniają rękawy - jestem

natchniony płonącym miastem, jestem mapą ostatniego tchnienia Miasta, kartograficznym cudem. W płaszczu Homera więcej było prawdy o Troi, niż w jego słowach. Biegniemy na wojnę! Właściwie - gonimy wojnę, bo wojna mknie naprzód, czasem przystaje, czasem się cofa i czeka, zapada w zimowy letarg, a potem jednym susem przeskakuje rzeki i mknie dalej. Chcemy dopaść wojny zanim rozplynie się w ciszy. Rękawy mam zawiązane wokół jego szyi, wolant rozpostarł się i furkocze - wyglądamy naprawdę groźnie! Duch Spalonego Miasta unosi mnie do góry - bo teraz jest nas troje: ciało, dusza i - duch!

- Właściwie, po co mi dusza? - myślę. I rozplątam ramiona. Dusza w onucach cwałuje dalej, patrzę, jak się oddala - a ja wciąż lecę! Jestem wolny! Frunę! Oto zmartwychwstanie, na które czekałem!

Mój lot nie trwał długo. Wiatrołomny Duch Miasta przeniknął mnie na wylot, siwe opary uniosły się nad czarną gabardynową powierzchnią - Duch spojrział na mnie z góry, a potem, jakby zdziwiony moją obecnością, wzdrygnął się, zadygotał i - strząsnął z siebie. Przez chwilę szarpałem się z nim, błagałem, żeby nie odchodził, lecz on podleciał do szmaty w kolorze Siarkowej Żółci Schiaparelli zwisającej z

okna kamienicy. Żółty materiał chroni mieszkania tubylców, omijają je żołnierze i szabrownicy, bo teraz żółć to znak, że w domu panuje tyfus. Zostałem sam, Wolant wywinął się na drugą stronę jak zepsuty parasol i zacząłem opadać.

- Jestem jak sito! Kolejne dusze przelatują przeze mnie i gubią się gdzieś bezpowrotnie. Najpierw była ta na którą byłem krojony, Adina B-g i Jej miniaturowa *neszama jetera*. Potem Tr-el o zapachu ementalera, która swoją wonią przepowiadała (ale wtedy nie mogłem tego wiedzieć) piskliwą mysią duszę. Był nieznany żołnierz, o którym tyle wiem, że zamiast siedmiu – sześć miał guzików przy mundurze. I jeszcze nawiedził mnie Duch spalonego miasta. Odbił we mnie swój dymny zarys i – jak inne dusze - powędrował dalej. Teraz znowu byłem pusty. Leciałem w dół, a lecąc, myślałem tylko o jednym

- Komu ja spadam? Komu?

Marzyłem o... drzewie. Tak! Właśnie o drzewie, bo korzeniami wrosnięte w ziemię, nie będzie mogło odejść! Zimą, kiedy będzie spało, miękko otulę je sobą, żeby nie zmarzło. Na wiosnę usłyszę, jak szumią we mnie jego soki, będę pęczniał od pąków i będę miał kwiaty, a brzęczące pszczoły obsypią mnie żółtym pyłkiem... Odtąd żółty będzie

kolorem życia i słodczy, będzie zapowiadał miód i owoce, a nie choroby i śmierć. Z czasem obrosną korą, drzewo wchłonie mnie i okryje sobą, a za tysiąc lat, ktoś zetnie drzewo - i zobaczy w środku czarny gabardynowy płaszcz!

Spadłem na Z-jna.

Spadłem na niego prawem wojennego kaduka, prawem wiatru, który rozrywa wszystko na kawałki, porywa ludzi, zwierzęta, miasteczka i przenosi w zupełnie inne miejsce.

Kiedy wszystko jest rozdarciem, rozdzieleniem, opuszczeniem - każdy może spaść na każdego! Pocieszam się, że nie trafiłem źle. I póki co - moje na wierzchu!

Z-jn dotyka mnie zdumiony, odchyła moje poły, ogląda szwy, coś mruczy do siebie. Pamięć jego palców z trudem przedziera się przez twarde, nieczułe odciski, dłonie Krawca delektują się mną, jakbym był ucztą. Na deser - finezyjnie haftowane dziurki od guzików. A potem zrobił to, czego nie robi żaden krawiec: ubrał się we mnie!

Wiszę na nim jak czarny cudzysłów. Z-jn tkwi we mnie, jak cytat piekła opieczętowany diabelskim kopytem.

- Kto cię tak scudzysłowił, Aronie? W składni jakiego świata stałeś się obcy?

Objąłem go mocniej. Jego drżenie poczułem każdym włóknem – oto mój biedny stwórca szukał we mnie ocalenia!

Okazało się, że Krawiec jest numerowaną duszą!

Do tej pory wiedziałem tylko o istnieniu numerowanych ciał, tych całkowicie bezdusznych, wymyślonych i produkowanych w fabrykach. Zapytałem go o ten numer na przedramieniu, a Z-jn zamyślił się i odpowiedział, że najprawdopodobniej on również stał się ciałem. Fabrycznym roboczym ubraniem. Że ktoś pozbawił go duszy i z tego powodu numer najlepiej do niego pasuje. I dodał szybko, że on, Z-jn, jest z tego bardzo zadowolony!

Wyraziłem zdumienie. Kiedy wyrażam zdumienie, robi się we mnie wklęsłość, większa lub mniejsza, wszystko zależy od tego, jak bardzo jestem zdziwiony. Tą wklęsłością wabię odpowiedź. Moszczę w swoim ciele miejsce, w którym mój rozmówca będzie mógł bezpiecznie umieścić swoje wyjaśnienie, lecz tym razem otworzył się we mnie krater!

Prawdziwy KRATER ZDUMIENIA!

Z-jn mówi z trudem, oddycha ciężko, jakby dźwigał kamienie wdrapując się na brzeg krateru. Próbuje zapełnić go słowami – choć dobrze wie, że nigdy mu się to nie uda.

- Jako Abram, Aaron czy Dawid, mogę zniknąć i nikt tego

nawet nie zauważy! Ale jako numer jestem absolutnie konieczny i niezastąpiony! I nie mogę zniknąć, ot tak, bo zostanie po mnie widzialna pustka, dziura w równym szeregu. Jako numer jestem niezbędny i ... absolutnie nieprzypadkowy! Liczba pośród liczb - między poprzednim i następnym - w nieskończonym ciągu, ani piękny, ani brzydki, tylko cudownie kolejny! Nie można mnie pominąć! Nie można udać, że nigdy nie było! Nie można mnie... zapomnieć. I nikt nie powie, że jestem gorszy, bo czy liczba może być gorsza albo lepsza? Ta koślawa liczba na przedramieniu - twarz Krawca rozjaśnia się w uśmiechu - to ja!

- Więc po co było to nadawanie imion w Raju? - pytam.

- Och, to była taka praca, którą Bóg dał Adamowi! Na początku, jak jeszcze budowali obóz i Adam był pierwszym numerem, to myśleli, że chodzi o pracę. Jak ma się swój numer pod skórą, to jest porządek. Życie jest policzalne, łatwe do znalezienia, do wyłuskania z szeregu. Ale potem, jak już zjedli z drzewa i dowiedzieli się, czym jest prawdziwe zło, to już wiedzieli, że nie chodzi o pracę, tylko o to, że mają być liczbami. Bo z imionami zawsze jest kłopot. Imiona są jak woda z kałuży: rodzisz się i nigdy nie wiesz, co cię

obryzga. Może się zdarzyć, że nazwą Abram, Aaron, czy Dawid, a wtedy - nieszczęście gotowe! A poza tym, imiona są nietrwałe, na skórze się nie trzymają, można je zetrzeć, wytrzeć do sucha jak się nie podobają i sprawić sobie nowe, ładniejsze. A jak masz swój numer pod skórą - to jest prawdziwy porządek. I wiesz, co jest najważniejsze?

Wymościlem największą wklęsłość, na jaką mogłem się zdobyć, bo w końcu miałem się dowiedzieć od swojego stwórcy, co jest najważniejsze w życiu! No, ilu ludzi to wie?

- Najważniejsze jest to, że liczba niczego nie pamięta!

Oprócz tego jednego, co stał przed nim o świcie na apelu! Żadnych twarzy, niczego - tylko tę jedną liczbę. Mówię ci, w liczbach jest zbawienie od pamięci. I to właśnie jest najważniejsze!

Z-jn taszczy mnie na grzbiecie, jak wampir czarną trumnę.

Czy kogoś to dziwi? Nie! Nie w tym mieście! Nie tu!

- Ty tu?

- Ja tu! A ty tu też?

- Tu,tu!

- Jak to: ty tu? Ty przecież... tam... Tam!

- Tam... tam... ja... Ale ty... ty też... tam... tam...

- A teraz tu! Tu, tu.

„Tu,tu” - tak teraz w Mieście się witają. „Tu,tu” - to zwykle u nas pozdrowienie. „Tu,tu” - „tutają” wszyscy, a „tutając” - o ziemię tupają. Uklepują ziemię stopami. Kopniakami ją urabiają, bo bez powodu im się dostała. Bo nikt o nią nie prosił! Znaleźli, choć nie szukali. Ot, niechcący nadepnęli na Miasto, a wtedy brudna maź z ognia i dymu wylała się spomiędzy ulic. W dodatku Miasto było towarem od wojennego pasera. Poprzedni właściciel miał kryminalną przeszłość i odszedł w niesławie, więc starali pamiętać, że w każdej chwili może wrócić i odebrać im Miasto. Z tego powodu postanowili, że nigdy nie polubią Miasta i traktować je będą z pogardą, jak kobietę wroga. Kiedy tu przyjechali, wszystko wydało im się obce i niezrozumiałe: domy, ulice, zapach powietrza. Jak imigranci z innego świata, zastali tutaj same „obce słowa”, w dodatku na wpół spalone i roztrzaskane, więc żeby przeżyć, związali je niezgrabnie „gramatyką”, którą przywieźli ze sobą z daleka. „Obce słowa” wchłonęła nowa składnia, a „słowa” uległy jej, wypiętrzając nieznane dotąd znaczenia. Na przykład: „Monte Klamote”. Tak nazywają tutaj śródmiejskie pagórki usypane z zawartości opuszczonych mieszkań. Kiedy padał deszcz i zmywał ziemię ze stoków ukazywały się

niebieskie ornamenty zwiebelmuster, porcelanowe kapsle od butelek z czerwonym napisem „*C.Kipke Braurei.Breslau 1844*”, wyłysiałe szczoteczki do zębów, szczątki kubków z obcymi napisami *Lebe Glueklich*, czy *Zum Geburtstag*.

Najtrudniej było im pojąć ślągwistą naturę Miasta, bo tam („tam, tam”), skąd przyjechali, rzeki nie płynęły pomiędzy ulicami, pokryte brukiem jak rzesą, a tu („tu, tu”), mgliste wspomnienie rzeki ciągle unosi się w powietrzu. Zamieszkali w niezrozumiałych dekoracjach do nieznannej sztuki. Nie, żeby się tym martwili! Przywieźli ze sobą własne miasto i rozwiesili wszędzie, jak pranie, żeby zasłonić to Miasto Przypadkiem Znalezione. W tej zawieszynie zamieszkali. Wodnistymi głoskami - *lji-lji lja-lja-lju-lju* - zmywali obraz Miasta. Wtedy znowu mogli dojrzeć wyraźnie kamienicę Czarną i tę ze skrzydlatym lwem weneckim nad portalem siedziby Massarich. Tramwaj znów zgrzytał na „wykręcie Badeniego” i wjeżdżał w Łyczakowską ulicę. W czasie spotkań szczodrze dzielili się Miastem Utraconym, bo tylko tam wszystko było prawdziwe: prawdziwe powietrze i prawdziwe zimy. I oni sami też byli prawdziwi. Prawdziwe było miasto, nie jak ten tu, glut ślągwisty, wyciśnięty z ognia i popiołu!

- Tam tośmy byli!

- Tam tośmy żyli!

- Tam tośmy mieli!

Karmili opowieściami fatamorgany swoje dorodne i tłuste, aż sami stali się ich częścią. Fatamorgany rosły, lecz nigdy nie spadały na ziemię, tylko wisiały w powietrzu. Jak mgła. Wzięli Miasto jak mienie. Pewnie woleliby znaleźć coś bardziej białego, bardziej słonecznego i suchego, czy ja wiem - może Neapol albo Seville, w ostateczności Paryż! Jednak nie znali celu podróży, więc wzięli, co było pod ręką. Mienie - bezbronny miękki rdzeń, każdy go w sobie ma, nieważne, człowiek czy zwierzę, dom, miasto, widelec, albo guzik! Ze wszystkiego da się wycisnąć mienie, bo wszystko, co istnieje, jest tym, co można mieć. Wojenna metafizyka. Ja też byłem mieniem, innym niż Miasto albowiem Miasto było mieniem „porzuconym”: „Należy pod pojęcie „porzucony” subsumować wszelką własność porzuconą przez teutońską horde.” (J. Namitkiewicz, A. Rakower, „Ustawa o majątkach opuszczonych i porzuconych”, Kraków 1945)

Według nowego prawa, Miasto B. – porzucono! Teraz

**nazywało się W. lecz w jego najgłębszym sednie tkwił
znajomy skos, dlatego będę je nazywał B/W.**

**Pełno tu wrogich ubrań ukrytych w szafach, kufrach,
posypanych naftaliną, ułożonych starannie w walizkach,
których nie udało się zabrać ze sobą pewnej styczniowej
nocy, kiedy Gauleiter wygnał z Miasta jego mieszkańców.**

**B/W to ziemia obiecana krawców, do wywrócenia na nice,
do przerobienia według własnego kroju. Ze stalowymi
naparstkami, z igłami, z nożycami, rycerze nowego sznytu,
nucąc pieśni o odzyskaniu materialnej macierzy, kroją
nowoczesne i sprawiedliwe ubrania. To czas Wielkich
Krawców, czas krojenia na wielką skalę: na całe połacie, całe
narody i całe lata! Na wielkich stołach przywódcy już
rozwijają bele materii, już kredą rysują na nich nowe rzeki i
góry, nowe miasta pośrodku niczego, nowe fabryki. Już
fastrygują białymi kośćmi z gułagów wielkie kanały, zapory,
drogi znikąd donikąd. Pasuje czy nie - fason zarządza się
odgórnie i jeśli w ogóle ma do czegoś pasować, to do idei! Bo
idea, jak wiadomo, brzegi ma wyraźne, niewątpiące, ostre
jak siekiera, więc do idei łatwo jest materię przyciąć.
Zobaczyłem, nie bez zdziwienia, że Gabardyna znowu jest
królem! Gabardynowe są płaszcze, gabardynowe garnitury -**

lecz już nie czarne, tylko szare, bo czerń kojarzy się z pogrzebem, a to przecież czas narodzin nowego życia! Życie, choć nowe, trupioszare jest i zalatuje trupem.

Wszyscy teraz luźno się noszą, a może tylko wychudzeni są zbytnio, więc spodnie powiewają fałdami, w pasie ściągnięte paskiem, koszule jak chorągwie falują na wietrze, marynary bary mają szerokie, wypchane mocą, wielgachne, kwadratowe, jakby dyby nosili pod ubraniem albo nosidła do dźwigania wiader z wodą. To czas nadmiaru materii. Materialny czas. Mównice nawet ubierają w płótna, stoły zaścielają materia, kurtyny fałdziste wiszą za plecami mówców - wszystko, rzecz jasna, z robociarskiego, szorstkiego sukna. Dusze maleją przygniecione nadmiarem materii, wcale ich nie widać więc czasem mi się zdaje, że ubrania samopas chodzą po ulicach i samopas w biurach siedzą, a na zebraniach ubrania same wstają, same klaszczą, a kiedy trzeba zaśpiewać - śpiewają same i same siadają równocześnie. Tłumy ubrań idą w pochodach, z natury swojej ciche i miękkie, a że gabardynowe - to i dobrze się układają!

Chociaż nie wszystkie.

Wpadłem na niego na ulicy i zupełnie nie poznałem, tak bardzo się zmienił. Zatrzymał mnie zwykłym dla tego miejsca powitaniem

- To ty... Ty tu?

- A tu !

- Ty przecież.... - zawahał się. - Tam...

- Teraz tu. Tu!

I wyciągnął rękę, żeby mnie dotknąć. Chciał zmiąć mnie w garści, poczuć ONO - zobaczyć, czy szybko się odegnę.

Chciał się upewnić, czy to na pewno ja, czy może ktoś, kto podszył się pod mój kształt. Bo on nigdy nie wierzył w to, co widzi, ufał tylko swoim palcom, więc wyciągnął rękę i...

Wtedy to usłyszałem! Jego płaszcz! Wydawał dziwny dźwięk.

Skrzypiał! Nigdy dotąd nie spotkałem ubrania, które skrzypiał.

Nie do pomyślenia, żeby przyzwoita materia skrzypiała!

Tam... W sklepie H-nna, nawet twardzi i łykowaci, z

najniższych półek, zawsze siedzieli cicho. Rzecz jasna,

widywałem je nieraz - gruboskórne i łyse tam, gdzie jeszcze

niedawno wyrastały szczecinowate włosy. Plecy miały z ojca

i syna, żeby sobie dodać sobie męskiej twardości! Na rękawy

wybierano licznych braci z tego samego miotu,

najmłodszych i najmiętszych, żeby nie stawiali oporu przy

zginaniu, podczas gdy matka i córki, najlepiej układały się na połach. Nie uszył ich żaden krawiec, ani kuśnierz, tylko rymarz z wiecznie pokłutymi palcami, i oto K-z stoi przede mną w skórzanym płaszczu i trzeszczy przy każdym poruszeniu.

- Tam - powiedział - był K-z!

I zrobił ruch, jakby ścierał coś z tablicy.

- Tu: Diaaaa-Mat! Profesor Dia-Mat - uśmiechnął się skromnie. - To od Dialektyczny Materializm. Bo chyba wiesz, że w końcu materia doszła do głosu, a ja przecież znam się na materii najlepiej. Robotniczy drelich, już złapał skos, już wie, już czuje, jak go ciągnie do góry. Niedługo wszystkich połączy taka spójnia, o jakiej się filozofom nie śniło. Ale najważniejsze, posłuchaj, jest to, że Dusza nie istnieje! „Duszą” nazywali tkacze drewnianą łódeczkę, czółenko tkackie, które ciągnie wątek między napiętymi nićmi osnowy, wiedziałeś? Ci biedni, wyzyskiwani ludzie uznali, że to ona stwarza materię, dusza-łódeczka! Rozumiesz? I uwierzyli w to! A przecież jest dokładnie odwrotnie! „Materia nie jest wytworem ducha, lecz duch jest wytworem materii” - powiedział z namaszczeniem.

- Dusza to pomyłka! - skóra wtóruje mu skrzypieniem, a jej

szttywność utwardza poglądy K-za.

- Adina B-g, zwana przez najbliższych Duszą, nigdy nie istniała. Wcale nie przyszła do sklepu H-nna, tylko sam ją sobie wymyśliłeś - z nudów! Za długo leżałeś na półce, beczynn timer, a powinieneś być pójść do pracy, jak drelich i cwelich, bo - tu K-z znowu przyłatał cytat - „dziwolągi filozoficzne obalić może tylko doświadczenie i przemysł”!
K-z łąta cytaty co drugie słowo, cały zszyty jest z cytatów. Wyciąga je, nie wiadomo skąd, jak Dusza swoje chusteczki.

- Dusza to zabobon! - to chyba znów jakaś łąta-cytata.

- Proletariat już dawno wydalil ją w rewolucyjnych skurczach. To ubrania wymyśliły duszę, żeby się nie zapadać, żeby wypełnić pustkę w środku, bo nie wierzyły, że potrafią żyć bez żadnej podpórki. Ale teraz już wiedzą: dusza to manekin. Manekin ze słomy, drewna albo gipsu - i dlatego zawsze uwiera!

Postaliśmy jeszcze chwilę, on dziwnie popiskiwał, popierdywał, więc domyśliłem się, że chce mi jeszcze coś powiedzieć. I powiedział! Żebym obciął Wolant! A dokładnie: żebym „odciął się od niego”! Ale to chyba jedno i to samo. Mój wierny towarzysz, mały Sancho Pansa, aż się skulił.

- Czemu?

K-z/Dia-Mat rozejrzał się niespokojnie, zniżył głos i wyszeptał, że Wolant „nie odzwierciedla ideałów mas robotniczo-chłopskich”! Że jest w nim jakiś „burżuazyjny nadmiar”, który nie wiadomo do czego służy. A poza tym - zbyt się wychyla.

- To wszystko, co mogę dla ciebie zrobić, a na przyszłość wolałbym, żebyś trzymał się ode mnie z daleka i nie gadał za dużo. Rozumiesz, sklep H-nna i cała ta historia z Duszą... Bardzo się starałem, żeby nie dopuścić do tego, co się stało, ale wmieszał się T-yn i wyszło, jak wyszło.

Świńska skóra skrzypnęła i na wszelki wypadek - sama odcięła się ode mnie!

Olśnienie spadło nagle i było skośne. Rozejrzałem się wokół - była wszędzie! Pochyła kreska oddzielająca stare od nowego. K-z łamany był przez Dia-Mata, miasto B. łamane przez miasto W. Krawiec Z-jn, złamany wojennym losem, był krawcem już tylko w połowie, a w połowie numerem wytatuowanym na przedramieniu. W B/W wszystko przekreślono ukośną kreską. Odtąd każdy mógł zagrać nową rolę przed nową publicznością, w nowych dekoracjach i kostiumach. I zrozumiałem jeszcze coś. W takim miejscu musi istnieć azyl dla tych, którzy niczego nie potrafią

przekreślić, niczego odciąć, niczego zacząć od nowa.

W mieście pełnym ulicznych rzek, rzecznych portów, stoczni i przystani, nie dało się bez nich żyć - bez Żeglarza, Kapitana lub Bosmana, a czasem i Neptun się trafił! Więc płynęło się między Wodnikiem na rogu Świętego Antoniego, a Mewą, co przysiadła na Jedności za mostem po drugiej stronie rzeki, by pod koniec nocy - i życia - wsiąść na Fregatę o rozkołysanej podłodze. Miasta po przejściach - wojsk, królów, cesarzy i dyktatorów - miasta palone, burzone i budowane na nowo, objawiają swoje niewidzialne sedno, ONO. Zgniatasz je, miażdżysz, a miasto odgina się, podnosi z jakąś sobie tylko właściwą manierą. Znam się na tym. B/W odginało się z cyniczną gracją ulicznych nazw. Miało ulicę Przodowników Pracy i Jedności Narodowej, Osiedle Przyjaźni i ulicę Stalina. Jednak Fregata, okręt flagowy nocnych barów, wolna była od politycznej hipokryzji, szczerza i otwarta całą dobę - albowiem Fregata cumowała na Ofiar Oświęcimskich.

Nocny pasaż dla tych, którym dzień utknął pod sercem i mdli. W barze Fregata zawsze jest „żeglarzy” tłum, a każdy zdążył już odpłynąć daleko, tak daleko, że zaczyna wracać, bo odkąd ziemia kulista jest - od powrotu nie ma ucieczki!

Krzyczą więc, że chcą płynąć dalej, a Nereida cystacka na dziobie galeonu, tylko czeka na ich znak i wielkimi cyckami wody tnąc, płynie do nich z butelką w ręce.

Siedzimy razem we Fregacie, Z-jn z kromką chleba zaciśniętą w garści zasnął w kącie, nikt go nie budzi, a ja ogarniam go miękko połamami, otulam - troskliwe dziecko czuwające nad snem rodzica. Mały człowieczek, zagubiony w losie uszytym przez zły czas, uśmiecha się przez sen, chociaż... nie, to wcale nie jest uśmiech, to fragment rozdartej materii, w miejscu, gdzie kiedyś były usta najeżone szpilkami.

Przyszedł pewnego razu do Fregaty na Ofiar sam Przewodniczący Gminy i mówi do Z-jna, żeby on o przyszłości pomyślał! Że wojna się skończyła, co było, to było, i trzeba żyć dalej, a przyszłość jak najbardziej do życia się nadaje. I nawet dał mu adres, żeby Z-jn mógł tam iść, do tej przyszłości, co trochę nas wszystkich zdziwiło, że przyszłość dokładnie w jednym miejscu przebywa. Poszliśmy i faktycznie, była tam! Na ulicy Ruskiej, pod numerem 46, wejście od podwórza - spółdzielnia krawiecka „Przyszłość”. Nawet ładnie go przyjęli, chcieli krojczym go zrobić, ale on zaraz zapowiedział wszystkim, że niczego nie będzie kroił - bo się boi.

-

- Wojna i tak zaraz wybuchnie, ale ja do tego ręki nie przyłożę!

Został patkowym, patki prasował. Patka, to taka powieka, co opada na kieszeń i wtedy kieszeń wygląda, jakby spała. Każdego dnia od szóstej rano staliśmy obaj nad deską do prasowania. Z-jn narzucał mokrą szmatę na tę płaszczową powiekę, przygniatał ją żelazkiem, a wtedy chmura pary wełnistej unosiła się nad materia, a Krawiec wdychał destylat wysp spokojnych, bezwojennych, pełnych baranków pasących się na zielonych stokach gór, jakiejś Australii, Tasmanii, Nowej Zelandii - i na tej chmurze odlatywał. Nosem wędrował od wyspy do wyspy, a potem opowiadał we Fregacie o górach zielonych, o pasterzach, ich żonach i dzieciach. Po imieniu każdego znał i wiedział dokładnie, jak tam sobie żyją szczęśliwie.

Nie chcieli Krawca w „Przyszłości“! Powiekami się zastaniali, że niby on je przypala, a te nadpalone nie chcą opadać na kieszeń i udawać, że niczego nie widzą, więc zwolnili Krawca. Odtąd siedzi sobie Z-jn we Fregacie, nie szyje, tylko robi poprawki potrzebującym, bo czasy takie nastały, że wokół pełno jest niedopasowanych.

Od samego rana ustawia się długa kolejka do Z-jna. Stoją chłopci ze zwierzętami domowymi, robotnicy, inteligenci, arystokraci, każdy trzyma coś, od czego, jak by powiedział Dia-Mat: trzeba się odciąć! Nie jest łatwo z dawnym życiem się rozstać, tak rach-ciach, więc pamięć zaszywają, myśli nie takie, jak należy, i gniew, i strach. Szkoda im tego wyrzucać, więc pazuchy sobie wypychają, na wszelki wypadek, bo nie wiadomo, jak to teraz będzie. Pisarzom tajne dzienniki sterczą, bo tyle dzisiaj wolności - ile jej w sobie zaszyjesz. Gdzie im się to wszystko mieści - tego ja nie wiem.

- Szyto-kryto! - mówi Krawiec. - To jest dzisiaj powszechny sposób szycia.

A na dodatek wszyscy udają, że... nic nie zaszyli, chociaż od razu widać, jak im się to wypucza, jak wyłazi zewsząd gulami wielkimi. I wykrzywieni chodzą, bez ludzkiej symetrii, a im kto więcej zaszył, tym bardziej krzywy chodzi. Aż strach, że im już tak zostanie! Że już się nie odegną. Nie wyprostują.

- Ostatnio przyszedł do mnie pan Tyrmand. No, ale ja widzę, że on jakiś taki niewypchany stoi, kompletnie nie zaszyty w tej swojej kamizelce z dywetyny!

- Panie Leopold, czemu pan inaczej niż wszyscy robi? Ja panu gratis wszystko pozaszywam. A on mówi, że nie, że dziękuje, że przy ciele lubi się nosić, bo niski jest i tyje, więc niczym się nie będzie wypychał, bo straci kształt. Powiedział, że to kwestia smaku i właściwych proporcji. Dandys! Bo kto by się teraz o proporcje troszczył? I ciekawe, co będzie - pyta on - jak się nagle zaczną Wielkie Prucie? Jak wszyscy jednego dnia szwy rozprują i wszystkim ze środka wypadnie, co dotąd ukryte siedziało?

- No, tego ja już wolę nie dożyć! Chociaż... najbardziej to ja się boję czego innego.

- Innego? Czego... innego?

- No, że jak rozprują, to im ze środka wyleci, nie to, co zaszyli, tylko całkiem na odwrót!

- Na odwrót? Jak to możliwe?

- Może się zdarzyć, że kto miłość zaszył - wyjmie nienawiść! Ktoś inny będzie pamiętał, że nadzieję ukrył i żywił ją przez lata, doglądał, pieścił, a teraz mu wyleci z za pazuchy pokurcz jakiś, do siebie nie podobny! Wypełzną widma uśpione w fałdach, zatęchłe, zasuszone po kieszeniach, pogięte. Ożyją martwe idee, ale tak popuchłe od nagłej wolności, tak wzdęte, że nikt ich nie rozpozna! Kto dobrze

poszuka, to może wypruje z siebie resztki uczciwości, co ją trzymał na lepsze czasy. Albo i nie wypruje, bo mu się po tylu latach całkiem pokruszyła i teraz nie wiadomo, co z tymi okruchami uczciwości zrobić. Jeszcze inni podłóż za pazuchą namacają i zaczynają krzyczeć, że nie wiedzą, skąd się tam wzięła, pewnie im ktoś zaszył, jak spali. A będą i tacy, którzy niczego nie znajdą w płaszczu, choć pamiętają, że przecież kiedyś dużo tam ukryli. Ale najgorsze...

- Och, panie Z-jn, niech pan przestanie! Co może być jeszcze gorsze!

- Jak powyciągają to, czego tam nigdy nie było. Mówią, że Luna Laski wypruła, choć ich tam wcześniej nie zaszywała!

- Jezu! Luna? Ta...Luna?

- Ona sama! Wypruła Laski. Dobrodziejstwo wypruła, szlachetność i poświęcenie dla niewidomych.

- Luna Laski! O, Jezu!

A raz stanął przed Krawcem młody człowiek w garniturze, rozpiął marynarkę, a Z-jn zaraz go zapytał, co potrzebuje zaszyć, bo młodzi, to, ho! ho! - najwięcej mieli do zaszycia! Ale Młody tylko patrzy groźnie i mówi

- Czegoś mi tu brakuje!

Przyglądam się uważniej i faktycznie! Brakowało tej trzeciej,

między spodniami a marynarką, burżuazyjnej hybrydy, pół jedwabnej - pół nie. Zniknęła triada skrojona przez Hegla: spodnie-kamizelka-marynarka.

- Coś było z nią nie tak? - pytam cicho, żeby Młody nie słyszał.

- Na wskroś nierewolucyjna – odszeptuje Krawiec.

- Czemu?

- Z przodu twardo cytowała ortodoksję, ale na plecach...

śliska satyna! Miękka, zawsze gotowa do uległości. No i ten mały paseczek do regulowania, który mówi: można jeszcze odpuścić! Poluzować! Nie dociskać! Kamizelka, to wstydlawy kompromis, burżuazyjna karlica NEP, dwulicowa idea, ze śmieszną kieszonką na zegarek i drobnymi guziczkami.

Kamizelka to niebezpieczna tęsknota za czymś pomiędzy kapitalizmem a komunizmem. Za swoje wahanie, za śliskość pleców, musiała odejść, bo teraz tylko spodnie i marynarka, góra i dół, wróg albo przyjaciel, z nami - albo przeciwko nam. Tertium non datur!

- Ale przecież nawet Lenin ją miał! - upieram się.

- Owszem, lecz tylko po to, żeby się o nią kciukiem zaczepić, kiedy patrzył w przyszłość!

Kiedy indziej przyczepił się do Krawca jakiś profesor w okularach, za chudy trochę na nowe idee, więc podtrzymuje „dół”, który wyraźnie mu opada, a i „góra” z wielkimi watowanymi ramionami wygląda groteskowo na jego drobnym ciele.

- A nie dałoby się tu czegoś poprawić? Żeby jakoś się trzymało? Bo szablon dobry, to pewne, tylko wykonanie nie takie... Może tu-oooo pan zbierze, a tam-oooo poluzuje, w fałdy poupycha, trochę naciągnie, aż znikną błędy i wypuczenia. Ale Z-jn mruczy niezadowolony

- Chcą poprawki zrobić. Szwy zrywają i pokrętnym ścięciem łączą od nowa to, czego i tak połączyć się nie da. Każdy teraz po swojemu upina i zobacz sam, jak to wygląda! Jakby dla garbatego szyli.

Roboty Krawcowi nie brakowało i kolejki wciąż ustawiały się do niego we Fregacie, a jednak, muszę to powiedzieć wyraźnie: nie wszyscy szli do Fregaty poprawki robić.

Najwięcej było takich, co nic nie zaszywali, niczego nie wypychali, tylko drugie ubranie doszywali, temu pierwszemu - wspaniale! Dwustronnie się nosili, a zawsze mając jakiś „wierzch” i jakiś „spód” - na podpinkach żyli cały czas. Jak zimnem zawiało, albo na odwrót - odwilż przyszła,

ubrania swoje na drugą stronę obracali, szybko, jednym ruchem, jak K-z, który w sklepie H-nna materię odwracał, lecz robili to bez zbytniego furkotu, cicho, i tak, żeby nikt nie zauważył. Za wiader z wodą nienoszenie, za niemycie się w misce, za niestodołą wychodek i niegnój w oborze – za to wszystko warto było podwójnym się stać. Albo potrójnym, jak Trójca Święta: więc i chłopem pobożnym, i bezbożnym robotnikiem, a na dodatek - swoim własnym dziedzicem! Kto jeden był, ale w trzech ubraniach, sam sobie stawał się niepojęty, sam siebie nie ogarniał, od samego siebie w głowie mu się mąciło! Całkiem jak wtedy, gdy ksiądz Trójcę Święta na religii objaśniał.

K-z/Dia-Mat jest teraz szarą eminencją w szarym świecie, bo zna się na materii, jak mało kto. Jak kiedyś w Sklepie H-nna, staje na środku sali, a przed nim, już nie na półkach, lecz w szkolnych ławkach, ledwo się w nich mieszcząc, siedzą chłoporobotnicy, choć bardziej chłopci niż ci drudzy. Siedzą i patrzą, a Dia-Mat, jak czarodziej, bierze w ręce dwie nici i pokazuje, tak, żeby wszyscy widzieli.

Najpierw nić w prawej dłoni

- To jest teza! - płaszcz skrzypieniem potwierdza jego słowa.

- A to - Dia-Mat podnosi lewą dłoń - antyteza! Specjalnie dla

was idee filozofów pokazują i można je nawet pomacać.

Sala mruczy. Studenci Profesora Dia-Mata nie mają zeszytów ani piór, bo i skąd, więc zaciekawieni podchodzą i dotykają idei zadziornymi palcami, a nawet wywiązuje się walka o dostęp do idei, więc Dia-Mat krzyczy

- Tylko ostrożnie! Tezy nie potargać! Ani tej drugiej! Bo to są myśli z głowy filozofów wyciągnięte i dotąd nikt ich na oczy nie widział!

Z lękiem cofają dłonie czarną nicią cerowane, bo w brzdach skóry noszą ziemię, nieusuwalną, nieodbieralną, teraz już swoją własną.

K-z/Dia-Mat wzdycha ciężko

- Oni to tylko rozumieją, czego można dotknąć!

Niedotykalne nie istnieje! Bo jak krowa, to ta z otartym bokiem, albo ta druga, co kuleje, a nie jakaś krowa

Platońska z jaskini! A jak pożar, to ten, kiedy się u Maciejów stodoła paliła i od gorąca skóra świniom „odeszła”. Ale

najbardziej dotykalny ze wszystkiego jest czas! Wiosna cieli źrebięciem z mokrym futrem, wynurza się prosiętami i

wzdyma brzuchem kobiety. Lato rani stopy ścierniskiem do krwi, a zima wije się między palcami tkanym lnem i

konopną nicią, pierzem w nos łaskocze i drze się nowym

dzieciakiem. Taaaak! Czas jest najbardziej cielisty na świecie.

Kiedy już wszyscy się napatrzą, nadotykają, profesor Dia-Mat splata śliczny skośny prążek. Prążkowana synteza biegnie skosem do góry, posuwa świat do przodu, bo wszystko zrobione jest z postępu - postęp tak nieuchronny jest, jak amen w pacierzu! Studenci Dia-Mata, w kozuchach, baranicach, fufajach, grubymi palcami próbują splatać skośne prążki, męczą się i posapują.

Dia-Mat myśli: jakże oni prostopadle są tkani, jak worek na „kartoflę”! Nie na nich krojono teorię, tylko im ją narzucono, jak twardą płachtę na stóg siana.

A mówi tak

- Musicie pracować, ile sił! Robotnicy na całym świecie już tkają diagonale. Robotniczy drelich już złapał skos, już wie, już czuje, jak go ciągnie do góry!

I skrzypiąc płaszczem idzie wzdłuż ławek i dotyka ze znawstwem ubrań swoich uczniów, ich materia zbyt jeszcze surowa, bo Marks myśli swoje wykrawał na angielskie wełny, niemieckie flausze, francuskie pepity, a nie ten lenny len, łykowaty, twardy - i kompletnie nieświadomiony.

Mimo to dobrotliwie zachęca

- Splatajcie przeciwieństwa w skośne prążki, bo waszą
bronią jest skos! Nie ważne, skąd pochodzisz i z czego cię
zrobiono! Możesz być kaszmirską wełną, najdroższym
jedwabiem - jeśli utkają cię jak wór, jesteś trupem!
Słyszysz jak pomruk przerażenia niesie się po sali - ktoś
próbuję się przeżegnać, ktoś inny szepcze

- O Jezusie, trupem?

- Ale... - Dia-Mat uśmiecha się łagodnie - może się zdarzyć, że
jesteś nikim, konopną zdzierą, kłakiem niesionym przez
wiatr, zgrzebnym wyczesem - jeśli masz spryt, polot i
skośny splot - zaczynasz rządzić światem!

Lecz jak tu rządzić światem, kiedy granice furkoczą w
powietrzu, niepewne, gdzie mają przysiąść? Ludzie
wymieniają się miejscami i ubraniami (gorsze na lepsze, a
czasem zupełnie na odwrót), a miasta ludźmi (ja ci dam
tych, a ty daj mi tamtych!). Wiatr zdmuchnął nazwy i
nazwiska, porwał ze sobą wszystko, co nie tkwiło pod skórą,
jak numery na przedramieniu Z-jna. Nawet taki krawiec, jak
Z-jn, czasem nie daje rady. Nie wszystko można poprawić na
tym świecie, więc Z-jn od jakiegoś czasu niczego nie
naprawia, tylko odprawia potrzebujących.

Zapytałem go o Duszę lecz on tylko westchnął

- Dusza to przypadek! Nikt o tym nie mówi, bo wszyscy się boją, ale ja wiem, że to nie było żadne boskie tchnienie! On... wiesz, zwyczajnie zakrztusił się od tego pyłu, z którego lepił Adama. Bo wcześniej wszystko robił słowami, jak czarodziej, z daleka, żeby niczego nie dotknąć - jeszcze ręce by sobie pobrudził! Nie ulepił rękami kury czy dziobaka, bo jak by to wyglądało: taki wielki Pan, a ubabrany jak zwykły garncarz! Ale człowieka, nie wiadomo czemu, palcami zachciało mu się popróbować! A że nieprzyzwyczajony był, to się rozkaszał wniebogłosy, bo strasznie się kurzyło, a wszyscy od razu pomyśleli, że On naumyślnie duszę wetchnął praojcowi! Ale ja ci mówię - dusza to błąd, partactwo! A że ukryć się tego nie dało, to trzeba było klientowi wmówić, że tak miało być, że o to właśnie chodziło, że to wyjątkowa ozdoba, prawdziwe arcydzieło! Pamiętam, jak starszej pani R-jg przez nieuwagę kiedyś talię przeciąłem!

- O Boże, Boże! - jęczałem nad stołem. - Tu kobita w pasie przecięta leży, co robić? Ani materii dokupić ani nic, bo to wełna kaukaska jeszcze sprzed rewolucji!

I stałem tak w pracowni na przeciętą w talii panią R-jg, i płakałem, a wtedy żona mówi do mnie

- Aronie, ty niczego nie ukrywaj, nie przepraszaaj, nie mów, że

to błąd, tylko zrób z tego brylant!

I ja tak zrobiłem, jak ona mi powiedziała: zrobiłem krawiecki brylant w pasie pani R-jg! I nikt o niczym innym nie mówił, tylko o tym. Wszyscy mnie podziwiali, a ja się z tego cieszyłem! Ale potem pomyślałem sobie: a z czego ty się tak cieszysz, Aronie! Błąd jest błędem, nawet jeśli nikt tego nie zauważył. Człowiek bez duszy był doskonały, był wieczny, z jednej substancji, niezmiyszany, jednolity. Człowiek był płaszczem, a my, na chwałę Sartora, powtarzaliśmy Jego gest krawiecki. Zobacz sam, Gabardyno - wszystko masz, czego ci potrzeba! Stworzył cię skośny Logos, a ja tylko byłem mu posłuszny. Wsłuchałem się w ONO palcami, aż mi uległo. Nie potrzebna ci dusza, ten marny okrawek, jedno tchnienie wypożyczone na krótko, które zaraz trzeba oddać. Bo dusza to pożyczka na lichwiarski procent - spłacasz ją swoim oddechem, a każdy oddech to rata, na którą cię nie stać. Mówię ci: dusza to nieszczęśliwe nadzienie - niszczy twój kształt, przeznaczenie, godność; wypycha kluczami, głupimi ideami, złością i strachem. Na końcu sam siebie nie poznajesz, bo sprytna oszustka za wszystko płaci ciałem - twoim ciałem. A potem odchodzi. Odchodzi, kiedy chce, ale zmyśla dyrdymały, że ją więzisz, że musi się od ciebie

uwolnić, bo „ciało jest więzieniem duszy”! Że musi się „wyzwolić z ciemnicy ciała!” Bo ta wariatka wymyśliła sobie życie poza ciałem! I wiesz, co ci jeszcze powiem? Jeśli ciało jest więzieniem duszy, to jest więzieniem uwięzionym przez więźnia! Właśnie tak!

Z-jn powiedział, że ta pustka, którą noszę w sobie, to nie jest żaden brak, ani strata, tylko „pustka krawiecka” - taka sama część, jak rękaw czy kieszeń. On, Z-jn, specjalnie ją dla mnie wykroił i umieścił w środku, wcale nie dla duszy, tylko dla mnie. Powiedział, że to jest moja własna pustka, że bez niej nigdy nie czułbym się – pełny! To dzięki tej pustce trzymam fason i jestem płaszczem. I lepiej, żebym się do tej pustki przyzwyczaił.

- W końcu jesteś wolny! I nie pozwól znowu się wypchać!

Z-jn zasypia nad ranem. Kiedy śpi - chrapie z otwartymi ustami. Ja otaczam go sobą, okrywam, leżę ciężko na jego barkach, a on, taki kruchy i mały, zamknięty we mnie - czy to możliwe, aby więził mnie w sobie? Więzienie uwięzione przez więźnia? Ciało uwięzione przez duszę? Czy mógłbym go teraz zostawić, opuścić? Czy mógłbym się uwolnić, od tego, co noszę w środku?

Już od wielu tygodni nie schodzimy z pokładu Fregaty - nie

ma takiej potrzeby, bo Fregata, statek szaleńców, płynie ulicznymi rzekami, ale do brzegu nigdy się nie zbliża. Władza się do nas nie miesza, bo i po co. Żółć i rozpacz muszą gdzieś spływać, bo inaczej człowiek by się zadusił i władza dobrze o tym wie! Dlatego płynie Fregata razem z całym brudem świata - bo taka jest oczyszczająca moc rzeki.

Teraz zrobię zakładkę. Włożę do niej Fryzjera Midasa, a potem przeszyję podwójnym ścięgiem, żeby się z tej zakładki nigdy nie uwolnił.

Nie był żadnym fryzjerem, rzecz jasna, tylko głównym redaktorem Robotniczego Dziennika. Siedział w kącie i pił, co mu Nereida do stolika przyniosła, żeby ostrym zajzajerem zwarzyć dzień, który właśnie do końca się zbliżał, albowiem dni redaktora Robotniczego Dziennika taką miały właściwość, że zamiast spokojnie przeminąć - za nic nie dawały się strawić! Pod sercem mu utykały i mdliły.

- Innym - mamrotał redaktor Robotniczego Dziennika - życie gładko przechodzi, a mnie dni moje pęcznieją, bulgoczą - i cofają się! Nie chcą przejść i i muszę je wyrzygać, żebym raz jeszcze mógł zobaczyć, jakie są plugawe i cuchnące!

Nereida razem z butelką wódki przynosiła mu blaszaną

miskę, żeby miał gdzie zacier bury swojego życia umieścić. Mógł, rzecz jasna, lepsze trunki pić, w lepszych miejscach, ale on lubił się umartwiać we Fregacie. Pił jedną szklanekę wódki, potem drugą, a potem siedział i patrzył na swoje dni lekko tylko nadtrawione na dnie obtłuczonej blaszanej miski.

- Sumienie ma niewrażliwe, za to żołądek - owszem! - mruzczała Nereida.

Inni jednak twierdzili, że to żołądek stał się jego sumieniem, bo sumienie, to takie coś, co nie wiadomo, gdzie jest, ani jak wygląda, a bojąc się, że wszyscy o nim zapomną, osiedla się w różnych częściach ciała. Może być krwawą plamą na czole, która nie daje się zmyć, albo uszami, które samowolnie czerwienieją, kiedy nikt ich o to nie prosi; może być drgającą powieką lub ręką-donosicielką, która zdradza kłamstwo wykonując jakiś dziwaczny gest. Mógłbym wspomnieć o męskim przyrodzeniu majora S-ka, w którym zamieszkało jego sumienie, a tak boleśnie go napominało, że...

Jednak nie powiem.

Nereida śmierzącą miskę chciała Redaktorowi zabrać, wynieść na zaplecze, żeby w niej obrusy namoczyć, ale on tak mocno miskę obejmował ramionami, tak ją do siebie

tulił i żadnym sposobem odebrać sobie nie pozwolił, bo patrzeć pragnął na plugastwo swoje codzienne, w celu umartwienia.

- Nie możesz ty -pyta Nereida - pokuty odbywać na świeżym powietrzu?

Ale on mówi, że miski nie odda, bo Jakub Boehme w naczyniu kuchennym odnalazł absolut, więc i on szuka w misce mistycznego olśnienia, nawet gdyby olśnienie to obtłuczone być miało i dziurawe.

- *Wypiendrióżnik!* - z pogardą zawarczała Nereida, która dziesięć lat przesiedziała w łagrze na Syberii i przywiozła stamtąd różne fajne słowa.

Lubił się redaktor w metafory ubierać! Obnosił się w nich przed naszymi oczami, bo niby plugawy, ale jednak lepszy od nas, bo w metaforę elegancką odziany! W metaforach chadzał przeróżnych, więcśmy się nie zdziwili, jak raz przyszedł, strasznie potargany i kazał nazywać siebie „Golarzem Midasa”, bo jak mówił, trzcinę-szczecinę z mordy towarzysza pierwszego sekretarza Midasa zeskrobuje każdego dnia i wyplata z niej kłamstwa, które później drukuje w tym swoim Robotniczym Dzienniku, gdzie jest głównym redaktorem.

- Raz - mówi - nie mogłem już tego wytrzymać, bo aż mnie rozsadzało, żeby tak chociaż raz prawdę powiedzieć, skóry prostaka nie wygładzać, pukli mu nie układać, loków nie trefić z mowy szczeciniastej Midasa, któremu trzcina z butów wyłazi! Taka nienawiść we mnie wezbrała...

- Pewnie! Było do Fregaty przyjechać i nam tu wszystko wyrzygać do miski - powiedziała Nereida z ironią.

- Nie mogłem, bo byłem na odtruciu. Ale szofera budzę, każę mu się nocą wieźć daleko, hen!, za miasto, żeby jamkę w polu wydłubać i tam, do tej jamki, naszeptać prawdę. Ulżyć sobie. W polu stanęliśmy, na ściernisku ukląknęłam, gołymi rękami dziurę w ziemi wygarnąłem, aż mi krew poleciała! I pokazał śliczne swoje dłonie faktycznie czymś ubabrane.

- Więc gadam do tej dziury polnej, a tu widzę, na sąsiedniej polanie, znany pisarz klęczy, książkę sobie własną podłożył pod kolana, bo od ziemi ciągnęło - i też coś do ziemi gada. A potem ziemią zasypuje, przyklepuje łopatką, do samochodu wsiada i odjeżdża, dumny z tej pracy w polu. A następnego roku, tuż przed żniwami, Midas jedzie na pola z gospodarską wizytą. Wszystko przygotowane, chłopci stoją, chlebem i solą witają, śpiewają i tańczą, a tu, jak nie zaszumi, jak nie zajęczy - przez pola i łąki, lasy, trawy i trzciny, wiatr słowa

**prawdy niesie, tej prawdy, co wyrosła ze słów naszych jamie
zagrzebanych: Midas to chuuuuuuuj! Chuuuuuuuuuuuj!**

**- Czemu ty - pyta Nereida - słowa prawdy w polu zakopujesz,
a do nas przychodzisz się wyrzygać. Rzygaj tam, do tych
swoich polnych jamek, bo nam tutaj powietrze psujesz.**

**- Słowa prawdy dla przyszłych pokoleń muszę sadzić, żeby
wyrosły i szumiały prawdą! Plugastwem nie będę ich
plugawił. Plugastwo swoje zostawiam tutaj, we Fregacie.**

- To dla nas rzygi, a prawda dla przyszłych pokoleń?

**I wyrzuciła Redaktora razem z jego metaforą, na zbitą
mordę. On jeszcze nie raz próbował w przebraniu do Fregaty
wejść, raz jako Prometeusz Skowany, innym razem jako
Wallenrod, ale Nereida zawsze go w porę rozpoznała.**

**A raz przyszedł Dia-Mat do Fregaty i trzeszczał na Krawca
rękawami, żeby się Z-jn nie wtrącał do nowych czasów, bo
teraz trzeba wszystko z nowego materiału od nowa wykroić,
a nie stare łątać. Że on, Z-jn, niczego nie rozumie, bo całe
życie był burżujem! Bo miał prywatną pracownię w
Miasteczku! Postał jeszcze trochę, jak ksiądz na weselu,
płaszczem poskrzypiał, aż go Nereida wypchnęła na ulicę
wielkimi cyckami. Bo wolna była nasza Fregata! Bo należała
tylko do rzeki, a rzeka płynęła własnym nurtem, a my razem**

z nią – i żaden Dia-Mat nie miał tu nic do gadania.

Zresztą, sam Dia-Mat jakiś inny się zrobił. Skóra wodą mu podchodziła od kolejnych odwilży i taki nasiąknięty miękł powoli, nie trzeszczał już jak dawniej, lecz tylko cichuteńko popierdywał. Ta woda, co przychodziła z odwilżami, całkiem nowe i zawile problemy nanosiła Dia-Matowi, a on nocami musiał je rozplątywać i skręcać na nowo linę partyjną, żeby nią związać to, co i tak dawno się rozpadło.

Co noc budzi się Dia-Mat i nie może zasnąć, więc wstaje z łóżka, idzie do kuchni, nalewa sobie wódki. Patrzy na swoje dłonie - one rozwiążą problem, jak zawsze! Do jednej bierze twardy polski len i jedwab, też polski, i polską wełnę z Bielska. Krótko mówiąc: „nacjonalistyczne odchylenie”! W drugiej ręce, też nie najlepiej - ten, który zalał kraj swoim szelestem, „z ziemi włoskiej do Polski” - śnią o nim wszyscy i wszyscy go pragną, kobiety, mężczyźni i dzieci: włoski ortalion. Inaczej mówiąc: „kosmopolityzm”.

Dia-Mat patrzy na swoje ręce

- I tak źle, i tak niedobrze!

A on, Dia-Mat, musi sprawić, by materia międzynarodowa była i narodowa – jednocześnie! Obca i swoja. Wszędzie taka sama, ale zarazem tutejsza, nasza własna z dziada

pradziada. Musi spleść przeciwieństwa w jeden skośny prążek! Ha! „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” – lecz nie za bardzo? Już „Nieśmiertelna Róża” Luxemburg nieźle się na tym przejechała, a co dopiero on, całkiem śmiertelny Dia-Mat!

Siedzi przy stole w kuchni z rozłożonymi rękami, jak Chrystus podczas Ostatniej Wieczerzy i nie wie, jak przeciwieństwa upleść w jeden prążek, co w górę biegnie. Profesor musi problem szybko rozwiązać, bo inaczej zapłaci skórą. Nie skrzypiącą, nie martwą, ale całkiem jeszcze żywą, własną skórą.

Myśli Dia-Mata kręcą się jak kołowrotek, bo Dia-Mat z chaosu, co mu się w głowie kłębi, chciałby myśl mocną i równą wyprząść.

„Marks-i-engels, Marks-i-engels, Marks-i-engels”, tak w głowie mu terkocze. Pomyślał, że ich głowy są wielkie i włochate, jak gąsienice. Gąsienica przedzie kokon z idei, zamyka się w nim, a potem... Wzdrygnął się, bo poczuł, że mu się w głowie coś czwarzy, miesza, i jeszcze chwila, a z kokonu idei zaraz wyleci...

- Motyl! - zachwycił się Dia-mat własną myślą, nie po raz pierwszy zresztą. - Jaki ładny! Mógłbym użyć motyla w

przemówieniu pisanym dla Pierwszego na rocznicę Rewolucji. Słynną frazą mógłbym pojechać, że niby „motyl krąży po Europie!” I mógłbym napisać dalej, że przysiadł na naszej wykrwawionej ziemi i...O, Jezu! Nie! - Dia-Mat aż się spocił ze strachu. - Wiadomo przecież, że motyl krótko żyje, i jeszcze powiedzą że, że ... O, Boże!

I pomyślał, że metafory, to jednak zdradliwe dziwki są i lepiej się z nimi nie zadawać! Wrócił więc do problemu: narodowy i wszechświatowy jednocześnie? Jaki wielki łeb trzeba mieć, żeby to połączyć!

- Marks-i-engels, Marks-i-engels, Marks-i-engels... - modlił się cicho. - Te ich brody i czupryny, ich głowy kudłate, całe w gęstej sierści, jak kądziel na patyku, a oni, własnymi rękami myśli wyprzedli z chaosu, co splątany kłębił się na filozoficznej kądzieli, bo myślenie jest nawykiem rąk, bo palcami świat się myśli, każdy tkacz wam to powie! A potem własnymi rękami utkali materię nową, całkowicie naukową i jak płachtę grubą narzucili na świat. A świat dusił się pod płachtą, wzbierał, pęczniał, za chwilę miał wybuchnąć...

I nagle STOP! Zatrzymał się kołowrotek myśli.

- Oto rozwiązanie! Materia, owszem, taka sama, lecz nazwa inna! Ta sama idea z każdej ziemi wyrasta pod narodową

**nazwą! Nazwą, co własną ziemię czci! Przecież NYLON nazwą
połączył New York z LON-dynem. Jakże to polscy robotnicy
tęsknić mają za nylonem? Nylonu pragnąć? Albo stroić się w
helanco z Helwecji ? Oni przecież swój czesil, hungaryl,
dederon i nasz własny peerelon będą wielbić! A przede
wszystkim, ten największy ze wszystkich KAPRON:**

**Kommunisticzeskij Awangardno-Proletarskij Ruskij Nojlon!
Odetchnął Dia-Mat, nalał jeszcze szklankę, wypił i zaczął się
śmiać, bo mu się przypomniało, jak dawno temu proboszcz
w Miasteczku K-zowi-dzieciakowi tłumaczył, że Jedno takie
samo jest, chociaż w Trzech Osobach i mały K-z nijak tego
nie mógł pojąć! Aż do teraz! I śmiał, śmiał, aż dostał czkawki
i poszedł spać.**

**Rano wstaje sinym upiorem. Nereidy przynoszą Krawcowi
butelkę, stawiają na stół, a Z-jn wyciąga swój chleb
uschnięty, nigdy się z nim nie rozstaje. Potem wypija
pierwszy kieliszek i nigdy nie zapomina, by parę kropli
wódki wylać na mój tors.**

**Tkwi we mnie, jak zaszuszone krzak bawełny: włosy jak biały
puch, narośla z brązowej kory na twarzy, zdrewniałe
paznokcie. Rani moje ciało. Boję się, że któregoś dnia
pokruszy się, a wtedy ktoś chwyci mnie za ramiona i**

wytrząśnie go ze środka.

Jego pamięć ledwie trzyma się głowy. Z-jn chwyta każdy strzęp, każdy kosmyk i czarną pamięć przewleka na nice, tam, gdzie już gęstnieją ściegi. Zabierze wszystko ze sobą, niczego tu nie zostawi - tego się nie robi pamięci!

Opowiedział mi historię Najmłodszego. To również moja historia, bo jestem z nią związany nierozzerwalnie aktem rozdarcia. W tej opowieści jestem nieobecnością, tym co przypadło innym, bo z tej samej materii wycięto los i nie-los. I nieważne, który kawałek ci się dostanie, bo nawet jeśli ten potępiony, kaleki fragment stanie się losem kogoś innego - ty zawsze będziesz jego wklęsłym odbiciem, resztą, którą krawcy nazywają *szmu*. Wycięty z nicości, już na wieki będziesz nosić w sobie tamten kształt. Będziesz do niego przylegał jako jedyny widzialny dowód tamtego losu, bo z tego, co ze mnie zostało, Z-jn uszył płaszcz dla Najmłodszego, a tak wszystko zgrabnie przypasował, że okruch nawet nie został - po tym poznać dobrego krawca, że materię szanuje. Ubrał Najmłodszego w piękny gabardynowy płaszczyk, bo miał nadzieję, że choć raz w życiu materia mu się odwdzięczy za to wszystko, co dla niej zrobił - za doskonały kształt, jaki jej dawał i piękne

wykończenie, za dziurki ręcznie haftowane, o jedwabnej podszewce nie wspominając.

- Bądźmy wdzięczni rzeczom, które nas chronią - powiedział. I kazał Najmłodszemu iść. Iść i nie wracać. I jeszcze tupnął na niego, bo Najmłodszy wcale nie chciał odejść, chciał być razem ze wszystkimi, więc Z-jn krzyknął na niego, odepchnął i uderzył - tym uderzeniem wyprawił go w świat.

A potem sam uszył sobie płaszcz, czarny, z najgorszego mitfiszu, z kołnierzem sztywnym od fiolek, które dał mu aptekarz, żeby starczyło dla żony, i córek, i synów. Każdemu fiołki szczodrze rozdzielał jak chleb wieczorny, sprawiedliwie: dużym - większe, małym - mniejsze, a potem jeszcze dodawał każdemu po odrobinie, tak dla pewności, na wszelki wypadek. Potem każdego układał, każdego całował i za rękę prowadził w głąb snu. Opowieść Krawca skowytem ślizga się po strunie głosu, szoruje gardło, chrypi, wznosi się i nagle opada, leci na złamanie karku - czekam aż się roztrzaska o ciszę na dnie, lecz ona nagle potyka się łkaniem, a może czkawką, i to łkanie lub czkawka, jak bańka powietrza, unosi opowieść w górę, jakby prawo ciężenia przestało działać.

- Bo wiesz... ja... wtedy... mocno go uderzyłem! Mocno i

gniewnie. I kazałem mu iść! On odszedł parę kroków, odwrócił się i patrzył na mnie. Nie rozumiał, dlaczego musi odejść. Zasłonił się ramieniem, żeby go nie dosięgła moja pięść. Patrzył, bo chciał zrozumieć mój gniew i to uderzenie. Tak samo patrzył Izaak na Abrahama, kiedy ten układał go na całopalnym stosie. A ja nie umiałem... nie potrafiłem mu tego wyjaśnić... słowami. Bo słowa zawsze chcą pojmać sens, zniewolić go, a potem drą się na całe gardło, że jest tylko „tak” albo „nie”! I poza „tak” albo „nie” niczego więcej nie ma! *Tertium non datur*. A przecież ja tam byłem. Byłem w tym „trzecim miejscu”! Byłem między „tak” i „nie”, gdzie niczego nie da pojąć się słowami! I wróciłem stamtąd.

Nereida przysiadła i słucha, płacze, a Z-jn opowiada. Nie, on nie opowiada, on czyści gadaniem świat, nie zostawi tu Najmłodszego, teraz zabierze go ze sobą. A co ze mną?

- Wiesz co, Z-jn? Z duszy i ciała ukręć jedną nić! Czarno-biały paradoks, niemożliwy melanż tego, co nigdy połączyć się nie dało. I przewlecz na drugą stronę, tam, gdzie gęsto od ściegów. Tylko ty i ja, dusza i ciało. Zawsze razem.

Z-jn opowiada, ale końce słów strzępią się, rozplatają, a potem wiążą od nowa, już nie wiem, gdzie koniec, gdzie początek. Jeszcze połyskują w nich fragmenty obrazów,

widzę małego chłopca, w czapce, w dobrze skrojonym czarnym płaszczku - chłopiec podnosi ręce do góry. Głos Krawca potyka się i milknie. Z-jn dotyka palcami swojej chudej szyi, jakby to był gryf skrzypiec. Szuka drżącej pod skórą cięciwy, z której wypuszczone słowa nigdy nie trafiają do celu.

- Musi tu być! Głos! Muszę go znaleźć, dotknąć, wypruć z siebie jak niepotrzebną fastrygę, bo wokół głosu zawsze owija się jakiś sens. Wkręca się w głos i nie można go wyrwać! Nawet kiedy zabraknie słów - zostaje ton! Ton taszczy swój sens i każdy od razu go rozumie. A kiedy i ton znika, i zostaje tylko skowyt - to, uwierz mi, skowyt jeszcze piękniej wyskowycze swój sens. Skowyt to prawdziwy mistrz opowieści! Dlatego trzeba zniszczyć głos, zerwać struny, wypruć z ciała - przecież to tylko kawał ścięgna! Inaczej zawsze będzie „tak” albo „nie”.

- A kiedy już nie będzie głosu ? Co zostanie?

- Szmu. To, co nigdy nie przemówiło, co niepojęte, bo oderwało się od sensu. Tylko tam, w tym niemym sednie, on... wiesz... On tam wcale nie płacze, tylko odchodzi, bo w tym miejscu bez głosu, on już wie, już rozumie, że śmierć to dar, który odejmujesz sobie od ust, bo nie starcza dla

wszystkich, a ocalenie jest ofiarą złożoną z miłości. On rozumie, że łatwo jest umrzeć za kogoś, a najtrudniej przeżyć... za niego.

Z-jn nożem dźga skórę szyi, nacina żółtawą materię, pomarszczoną jak krepa.

- Muszę wrócić pod skórę! - mówi Krawiec. - Wiesz, całe życie szyłem ubrania, sztukowałem świat, ukrywałem brzydotę i zło, lecz zapomniałem, że tylko to miejsce pod skórą jest uczciwe. Pod skórą nic nie swarzy się słowami, nie dzieli, nie odróżnia, nie wybiera jednych, żeby odtrącić innych.

Skóra to najostatniejsza granica, pod nią jest ziemia obiecana, królestwo nieznaczenia – tam się ukryję...

I dobył do „najostatniejszej” granicy, do-był i już go nie było! Uciekł pod skórę, uciekł, jakby ciekł. Jakby wsiąkł w porowatą materię. Na srebrzystej podszewce zostało mi tylko jego odbicie, wgłębienie po duszy, która wierzyła w uczciwość niemej materii.

Znów byłem pusty.

W barze Fregata granica między życiem i śmiercią nigdy nie była wyraźna. Bywało, że śledź owinięty wokół kiszzonego ogórka, jak kobra i tak nieżywy, jak to tylko możliwe - nagle podrygiwał na talerzu. Albo człowiek jakiś, co przez trzy dni

leżał pod ścianą nieporuszony z otwartymi ustami jak trup - nagle wstawał i krzyczał, żeby mu piwa dać. Rozejrzałem się po sali - Fregata dawno zatonała, a razem z nią „żeglarze”, wzdęci od trupiego światła, które sączy się ze szklanej witryny bufetu. Żywi czy martwi - kogo to obchodziło. Najważniejsze, że w końcu byłem wolny. Dusza, staroświecki gadżet, „nieśmiertelna terrorystka” okazała się rzeczą - ot, zwykły dodatek krawiecki, jak watolina albo sztywnik z końskiego włosia.

Nereida wciąż gapi się na mnie. Znam to spojrzenie, wiem, co oznacza. One zawsze tak patrzą, a ja nigdy nie wiem: chcą być ze mną na zawsze, czy tylko sprawdzają, czy im we mnie do twarzy. Kochają mnie, czy tylko przymierzają?

- Posłuchaj, Nereido! Już nie biorę, co dają! Zbyt wiele przeszedłem, zbyt wiele wycierpiałem, wierz mi, nie tak łatwo jest ciągle zmartwychwstawać! Teraz muszę już iść! Odtąd będę prowadził „żywot ironiczny”, jak Mikołaj Stawrogin, o którym czytała mi Dusza: do niczego nie będę przylegał, od wszystkiego będę odstawał. Zawsze swój własny - książkę niezmięty.

Wychodzę z Fregaty. Wolant, jak ster obraca mną we wszystkie strony, a ja płynę ulicami rozdęty wolnością, jak

czarny żaglowiec. Płynę bez celu - skąd miałbym wziąć cel, skoro nie ma we mnie duszy - teraz porusza mną mój własny, pofałdowany, trójwymiarowy los, wyrzeźbiony z zagniecień i plis! Pogięty przez życie, pełen dolin i nie-dolin - w końcu stałem się sobą! Kieruje mną logika gabardyny, niezależny od nikogo, zbieram w żagle wiatr paradoksów i śmigam skośnym halsem! Błyskotliwa podszewka już nie służy kolejnym duszowstąpieniom. Teraz jest tylko szarym jedwabiem - i niczym więcej! Unoszę rękawy, kołyszę nimi, zginam, obracam, znowu opuszczam: igrzyska wolnej woli! Zachwyca mnie płynność z jaką skos zamienia się w ruch, czarne prążki falują, zmieniają kształt, łamią szyk, a potem znowu stają w nieskazitelnie równym szeregu. Chociaż... Chyba nie powinienem tak machać rękawami, bo na ulicy zawsze jest ktoś, kto myśli, że to gest pozdrowienia i zatrzymuje się, wita ze mną, czasem nie poznaje, a czasem na odwrót, i wtedy pyta o Adinę B-rg, o Miasteczko, o Z-jna, czasem płacze, a czasem tylko kiwa głową. Guzik mnie to obchodzi! Daję nura w głąb samego siebie, bo już wiem, że głębia zawsze była we mnie, tylko nie potrafiłem jej odnaleźć, bo nie szukałem tam, gdzie trzeba, bo mi wmówiono, że jest na zewnątrz i przychodzi z daleka. Teraz

sam będę sobie głębią i religią, o tu, popatrz: *Triduum*
Kieszeni, Patki i Rękawa. A tam: Adoracja Wielkiego Guzika.
I jeszcze *Jom Kipur* wycięcia z nieskończoności i wygnania ze
Sklepu Mojżesza H-nna. Nie czekam, aż coś mnie wypełni, bo
jestem pełen - niczego mi nie brakuje! Ile podróży przede
mną! Ile ciemnej materii do przemierzenia!

Spadła z nieba wprost na ulice B/W.

Widać ją wszędzie, bo jest dobrej jakości, nowiutka i
błękitna. Mężczyzna w gabardynowym mundurze Luftwaffe,
powiedział, że wcale nie z nieba, tylko z magazynu. W
magazynie znaleźli.

- Przewodniczący Rady Narodowej powiedział, że mamy w
tym do pracy przychodzić, żeby wyglądać „jak ludzie”, bo
materiał dobry, a krój *fliiegerbluse* - jakby niewojenny.

- Jak ludzie! Bo Niemcy, jacy by nie byli, to czyści byli! -
powiedział Przewodniczący. - I kulturalni. I mieli Goethego!
Nie, jak ta parciana dzicz, co karabiny nosi na sznurkach. -
dodał.

Wtedy ktoś krzyknął, że parciane i łykiem szyte, to jest,
owszem, ale rozumowanie Przewodniczącego, bo jak
człowiek dostaje kulę w łeb, to ma w dupie, czy Goethe do
niego strzela, czy inny Puszkina.

- Ale mnie jakoś... - ciągnie ten w błękitnej gabardynie
Luftwaffe - dziwno tak! Żeby niemieckim mundurze chodzić?
Prawda, że moja marynarka i płaszcz zupełnie się przez
wojnę wytarły, a władza dobrym sznytem powinna się
wykazać! O, taki Mikołajczyk, jak wejdzie na trybunę w
angielskiej jesionce z najlepszego tweedu, to od razu
wszyscy wiwatują z respektem, jak należy! Ale ja to bym
wolał coś polskiego z dziada lub pradziada. Jakąś lenną
koszulę, sukienną sukmanę.

I chwycił mnie za guzik, mocno trzyma i pyta, czy może ja,
płaszcz z czarnej gabardyny, nie chciałbym z nim zostać, bo
wyglądam na swojego.

- Nie! - mówię mu.- Ja już nikomu do niczego nie służę. Nie
jestem użyteczny, nie chronię, nie bronię – więc, do cholery,
puszczaj guzik!

- Chociaż na trochę! - błaga on. - Do czasu, aż sobie coś
lepszego znajdę.

I guzik trzyma.

Żal mi się zrobiło guzika, bo pięknie był, jeszcze przez Z-jna,
przyszyty - przedwojennie! Na „nóżce” stał, trzy razy nicią
okręconej. Gdyby istniał gdzieś konkurs na przyszywanie
guzików, Z-jn byłby prawdziwym szampionem!

- Dobrze! - mówię. - Tylko rozpiąć się muszę.

Ten w lotniczej gabardynie puścił guzik, a wtedy ja za kudły wiatr, co właśnie nadleciał, chwyciłem - i zwałem!

Złapały mnie dziewczyny w chustkach i kożuchach. Zmięte pieniądze z papieru trzymając w ręku, mówią głosami wysokimi, po pańsku, że miastowego szukają, chcą być, jak miastowe panny, bo ciało czyni duszę, zwłaszcza teraz, gdy już wiadomo, że od materii wszystko się bierze. Dziewczyny po nowemu chcą się ubrać, w nowym płaszczu zapiąć, rzucić tamto, co było. Zakręciły mną jak bąkiem, z każdej strony oglądają, macają paluchami, a potem same wyłuskują się z kożuchów, z chustek, z warkoczy - dawaj mnie przymierzać!

- Hola, moje panny! Teraz takie czasy nastały, że to ubrania wybierają z kim chcą być, więc ustawcie się grzecznie w kolejce i czekajcie, może coś „rzucą” na Hali Targowej, jakieś modne prochowce szyte przez prywaciarzy z materiałów z UNNR-y, albo jedwabne spódnice ze spadochronów.

Lecz one nie słuchają, tylko wyrywają mnie sobie.

- Słyszycie? Nie jestem zainteresowany! - zaczynam krzyczeć.

- Teraz ja wybieram, ja mam władzę i ode mnie wszystko zależy. Nikt mnie już sobie nie weźmie, ot tak!

A one już pakują się we mnie - wszystkie naraz! Nie ma wyjścia. Wolant wykonuje swój numer popisowy: wypada zza pleców i rozpostarty czeka na oklaski.

- Patrzcie! - dziewczuchy pokazują na mnie, a głos im nagle pogrubiał, skwaśniał, serwatką od niego wali. - On... ma parasol w dupie! Ma w dupie parasol!

I zataczają się ze śmiechu. I uciekają. A wolant chowa się, znika, jakby go nigdy nie było.

Skosem krąży, psem węszy, ale się nie zbliża.

Odchodzi, udaje, że na mnie nie patrzy, ale ja wiem, że zaraz wróci. O! Już jest! Chwyta mnie za rękaw i trze palcami, jakby chciała zetrzeć ze mnie skośny wzór. Potem dotyka wolanta i krzywi się, bo wolant, „burżuazyjny nadmiar”, jak na złość ostentacyjnie się puszy. Ja wiem: to pogardliwe skrzywienie ma ukryć zachwyt. Wcale mnie to nie dziwi. Bo czy można porównać PODCIĄGANIE (wąskiej spódnicy, która sfałdowana na brzuchu wygląda jak czarna dętka na biodrach, kiedy idzie się nad rzekę popływać); ODSŁANIANIE (bawełnianych pończoch przytrzymywanych tuż nad kolanem gumkami od słoika Wecka); OPADANIE (grubych bawełnianych majtek kolorze już na wieki zwanym „majtkowym”) albo, co jeszcze gorsze WISZENIE tych majtek

na jednej kostce ? A więc: czy można to wszystko porównać z dystygowaniem frywolnym ZARZUCENIEM Wolanta na plecy? Już wyobraża sobie ten gest, nie upokarzający, lecz jakby przypadkowy, ot wolna od klasowych konwenansów wolna miłość w godzinach pracy. A po wszystkim, Wolant opada, zakrywa scenę, jak kurtyna, żadnego ściągania spódnicy, szukania przydeptanych majtek pod biurkiem, podczas gdy on tylko zapina rozporek.

Jej mundur budzi we mnie... współczucie?

- Wiem, przed wojną siedziałś w więzieniu, potem też nie było najlepiej. Ostatecznie - mówię- mógłbym pójść na współpracę i zostać twoim tajnym źródłem rozkoszy! Co ty na to? Albo kontaktem operacyjnym z przeszłością, która ci umknęła. Tu, za kołnierzem, zachowałem kroplę perfum - Shalimar, prawdziwe, przedwojenne, zanurz się w tej kropli, no, szybko, nikt nie widzi!

Wciska się we mnie: najpierw jeden rękaw, potem szybko drugi. Niezgrabnie podrzuca mnie na plecach, żebym się dobrze ułożył. Cuchnie biurowym zajzajerem - pastą do podłogi, tuszem do pieczętek i spermą.

- Nic z tego, towarzyszeko, nie zapniesz mnie! To kwestia szwów, nie rozumiesz? Szwy to nieprzekraczalne granice

własnoręcznie obrębione przez Z-jna skrupulatnym ściegiem. To moje nienaruszalne świadectwo moralności.

- Popracujemy nad tobą! - mruczy ona. - Posiedzisz rok, dwa, trzy, aż zmięknie i zaczniesz się pruć.

- Obawiam się, *madame*, że to nie będzie proste! Ostrzegam, moje szwy są sumienne.

Wbija we mnie pazury i próbuje rozerwać podszewkę.

- Myślisz, że jesteś ode mnie lepszy? My wiemy, jak cię odwrócić na właściwą stronę!

- Pani wybaczy, ale ja nie mam właściwej strony - po obu stronach jestem dokładnie taki sam!

- Wyrwiemy ci ze środka wszystko, a wtedy stracisz fason! Załamiesz się, zapadniesz w sobie, zapomnisz kim byłeś - i zaczniesz się z nami układać.

- No cóż, nie przeczę, niektórych z nas można przyciąć w jakieś kacabaje, fufaje, kandybure - ale nie mnie! To kwestia niezłomnego kroju.

- No to pomyśl o swoim życiu! Tyle przeszedłeś, tyle wycierpiałeś, a teraz... teraz musisz żyć, tak czy wspaniale, wszystko jedno! Bo nie będzie innego życia za naszego życia!

- Chyba mnie towarzyszka z kimś pomyliła - nie jestem duszą, wodnistą pulpą, którą można przekupić byle czym. Ja

jestem płaszczem od Z-jna! I jeszcze raz powtarzam - szwów swoich nie odstąpię i będę się ich trzymał, bo to jest wszystko, co mam!

Nie chce mnie puścić, nie chce odejść, więc cały się napinam - i wewnętrzny skurcz wypycha ją ze mnie.

- Ty łachudro! - syczy. - Jeszcze pożałujesz! Pamiętaj: nie będzie innego życia za naszego życia! Zobacysz!

Kolejny skurcz - i chlustam nią na trotuar.

Epoki złe, splątane, chaotyczne wciąż powtarzają ten sam gest i coś, co miało przydarzyć się tylko raz - przydarza się bez przerwy. Deja-vu to przypadkowy splot okoliczności, który, przez swoją powtarzalność, niespodziewanie staje się deseniem. Mój czas utkany jest z samych deja-vu..

Czyjaś ręka chwyta za Wolant i wciąga mnie do bramy. Ręka-wciąga-mnie-do-bramy-ręka-wciąga-mnie-do-bramy-ręka-wciąga-mnie-do... Jeden nieważny gest stał się wzorem mojego losu. No cóż - każdy ma swoje własne deja-vu.. W bramie stoi stara kobieta.

- Ja cię znam! - szepcze. - Widziałam cię TAM, w Miasteczku, wiem, kim jesteś, ale nie bój się, nikomu nie powiem. Tu jesteś bezpieczny, bo tu wszystko jest niczyje, tylko brać-wybrać, nikt się o nic nie upomni. Ale do Miasteczka nie

wracaj! Tam nasze widelce, nasze domy, nasze zęby mają się lepiej od nas!

Wolant bierze zamach, chce się odwinąć, strzelić ripostą, ale tylko chowa się za moimi plecami. Uciekam. Cholera!

Uciekam!Uciekam!Uciekam!Uciekam!Uciekam!Uciekam!

Mężczyzna szarpie mój rękaw. Szarpie i płacze

- Ukryj mnie, szybko! Nie ma tu innego schronienia! Są tylko Ci i Tamci. I każą mi wybierać, Tych lub Tamtych. *Tertium non datur*. Myślałem: miasto przekreślone skośną kreską, to miejsce dla mnie! Bez opasek na rękawach, flag, przypinanych znaków i odznaczeń. Ani To, ani Tamto. Trzecie Miejsce. Myślałem: teraz, kiedy wszystko lata w powietrzu - ludzie, granice i ubrania - nikt mnie tutaj nie zauważy! Tutaj wszystko zacznę od nowa, ani z Tymi, ani z Tamtym. Pamięć sobie wypełnię od nowa - czym zechcę! Przodków sobie wybiorę, jakich zechcę, i język, którym będę mówił - też sobie wybiorę! Albo dwa - ten drugi będzie od święta. Albo siedem - na każdy dzień tygodnia! W tym mieście bez pamięci, będę ekspatem, eks-bratem, eks-ojcem-i-matką, a moją jedyną ojczyzną będzie płaszcz, który sobie narzucę na grzbiet! Będę narodem ubranym przez siebie samego, a nie przez Tych lub Tamtych.

Od jego łez miękną mi szwy. Oprócz nieprzekraczalnych krawędzi, Krawiec ukrył we mnie wielki zapas miłosierdzia.

Być czymś królestwem? Jedyłą ojczyzną? Czarną legitymacją in blanco i dokumentem podróży przez czas?

Waham się, lecz jednocześnie słyszę szept Z-jna

- Nie pozwól znowu się wypchać. Dusza to więzienie ciała, karcer, który nosisz w środku. Porzuci cię, kiedy zechce. Albo zamknie w szafie i będzie trucć naftaliną, żebyście obaj, po jego śmierci zbutwieli razem w drewnianej bombonierze.

Pamiętaj! Tylko ty jesteś wieczny! I musisz nauczyć się żyć sam!

Krawiec ma rację, to nie dla mnie! Być tylko przypisem do duszy, uległym odbiciem - i ciągle się z nią układać? Ciągle pytać: będzie ze mną, czy powiesi na strychu? Upchnie w skrzyni lub w kartonowym pudle, albo komuś pożyczycy i zapomni odebrać? Może nawet wyrzuci na śmietnik, a potem, o świcie, z czeluści cuchnącego kubła, ktoś zafunduje mi rezurekcję na końcu metalowego pręta, w towarzystwie skorupki od jaj i gnijących obierków. „Wstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwych...”

Być zawsze świadkiem cudzego losu?

- Na mnie nie licz! - mówię Ani-Temu/Ani-Tamtemu. - Musisz

radzić sobie sam, bo ja prowadzę „żywot ironiczny”: do niczego nie przylegam, od wszystkiego odstaję. Zawsze tylko swój własny. Książę...

Nieprawda.

Jeśli chciałem być sam, jeśli nie pozwoliłem nikomu wcielić się we mnie, to dlatego, że pustka, którą nosiłem w środku miała Jej kształt. Byłem kwitem zastawnym Duszy, Jej skryptem dłużnym, Jej rewersem. A kiedy wypełniała mnie inna dusza byłem „chwilowo zajęтым depozytem”.

Namitkiewicz i Rakower twierdzą, że jestem „mieniem opuszczonym”, a jako „mienie opuszczone”, mam zostać „przywrócony do stanu początkowego”, to się nazywa w prawniczym języku *“restitutio ad integrum.”* Tak nazywali to Rzymianie, a oni dobrze znali się na wojnach i grabieżach. Trzymam się litery prawa, bo to oznacza, że mam być zwrócony mojej Duszy, dokładnie w takim stanie, w jakim mnie zostawiła - tam, pośrodku lasu, w piaszczystym czworokątnym miejscu, który nie był kwartetem Haydna. Codziennie sprawdzam, czy moje szwy mocno trzymają; zarządzam poranny apel guzików - teutońskiego skobla, nie udało mi się pozbyć! Wietrzę podszewkę, odstraszaam owady - muszę być gotowy na Jej powrót!

Wciąż na Nią czekam. Wiem, że Adina B-g żyje, tylko zapomniała, kim jest. Czy duszom przytrafia się amnezja? Bez przerwy. Jednak wiem, że kiedyś w końcu mnie znajdzie, dotknie Wolanta, rozwinie go - i przypomni sobie samą siebie.

CZĘŚĆ TRZECIA I OSTATNIA

Wątki, frazy i tematy o dotykanej teksturze:

Co zrobić, kiedy miasto wisi w powietrzu i nie chce opaść?

Słoń przywrócony do Macierzy

Sobieście – powszechna praktyka partyjnych mówców

POWRÓZ i POMPON - dwa rodzaje ucisku

Nocna bliskość wrogów, inaczej: szatnia

Co tu robi Patti Smith?

Wodociągom jest wszystko jedno,

Filmy „noir” – drugie przyjście ubrań

Słowa-banici, inaczej: grypsera

Płaszcz-samoprujca

Kim jesteś?

„Żeglarz” z Fregaty poznał mnie na ulicy, grzecznie się ze mną przywitał i zapytał, czy słyszałem o skórze?

- Czyjej? Krawca? Jego własnej, pod którą uciekł jakby ciekł?

- Nie, nie Krawca!

- A więc Dia-Mata?

- Nie! Nic nie rozumiesz - skóra była Karla! Skóra należała do Karla tak, jak tylko skóra może należeć do żyjącej istoty - nieodwracalnie! Bo żaden K-z, czy inny subiekt, nie mógłby złapać jej za wystający brzeg i odwrócić na drugą stronę, bez względu na to, jaka prawda ukrywałaby się w środku.

Okazało się, że Karl był słoniem „porzuconym przez teutońską hordę”, a potem odzyskanym i powróconym do macierzy! Teraz Karl nazywał się Mieszko, a pomarszczona szara skóra bez cięć i szwów należała do Karla/Mieszka całkowicie, razem z małym ogonkiem i mięsistym różowym atłasem na czubku trąby.

- Przyszedł raz Dia-Mat do Fregaty - ciągnął „żeglarz”- stanął

nad nami i rękawami trzeszczy! Trzeszczy, że Miasto B/W do ziemi nie przywiera, że miejsca się nie trzyma, tylko wisi w powietrzu i nie chce opaść! A wszystko przez nas!

- Czemu przez nas? - pytamy zdziwieni, bo wiele złych rzeczy mamy na sumieniu, ale do nieprzywierania Miasta B/W nikt się akurat nie poczuwał.

- Boście fatamorgany swoje przywieźli i jak pranieście wszędzie rozwiesili, żeby zasłonić Miasto Znalezione! Zamiast zamieszkać, jak ludzie, w tym mieniu porzuconym, co wam stanęło na drodze.

- Niby w czym? - my mu na to. - W tym glucie nadpalonym, pełnym popiołu i ognia? Musieliśmy Miasto B/W fatamorganą własną zasłonić i w niej zamieszkać, bo inaczej żyć by się nie dało!

I wtedy jakoś zmiękła skóra Dia-Matowi.

- No dobra! - mówi. - Ale trzeba coś z tym zrobić! Posadzić Miasto na ziemi, żeby przestało latać w powietrzu.

- A jak by tak - odezwał się najbardziej pijany „żeglarz” - zaprosić sławnych ludzi z całego świata, a jak ci sławni już przyjadą...

- To niby co? - Dia-Mat się zdziwił.

- No, jak tu staną, na tych ziemiach przypadkiem

**znalezionych, jak je przydepną, jak przygniotą ciężarem
swojej sławy, to karta-stół!**

**I wtedy on, ten Dia-Mat, strasznie się czegoś ucieszył,
postawił nam kolejkę, a potem drugą. I poszedł.**

**W cholerę ich się najechało - tych, co mieli Miasto do ziemi
przydusić swoją sławą. Był Picasso, malarz, i Eluard, poeta,
co pisał wiersze miłosne do Partii, i córka tej Skłodowskiej, i
Huxley, ale nie ten, tylko inny, co się zajmował dzikimi
zwierzętami. Dia-Mat wszystkich zaprosił do ZOO, bo to
miejsce wytworne, eleganckie, pełne pałaców dla zwierzyny
- no i całkiem nie spalone! Na początek Dia-Mat, miękko
zadzierzgnął temat, a zaczął od słonia, bo wokół słonia
wszyscy się zebrali.**

**- Słoń ten symbolem jest naszej ziemi, bo odzyskany, do
Macierzy powrócił słoń nasz Piastowy, któremu po latach
niewoli nadaliśmy imię Mieszko!**

**Wszyscy patrzyli na Mieszka z dumą i zadumą, bo wielki był i
piękny w majestacie swojej szarości, choć, trzeba przyznać,
ogromnie wychudzony.**

**- Słoń ten, choć wyniszczony, nienaruszalne ma granice! -
podkreślił Dia-Mat.**

Po Dia-Macie zabrał głos Pierwszy.

- Ten, co mu Fryzjer Midasa szczecinę z mordy golił i w pukle słowne wiązał?

- Ten sam. Ależ on skrzypiał! Jak wał przy nabieraniu wody z głębokiej studni. Najpierw wziął oddech-zamach i ciągnie, ciągnie - sznur nawija, monotennie, bo tchu mu brak.

Zdania, kawałek po kawałku, wyciska i tylko patrzy, żeby nie stracić tego, co już z takim trudem uciągnął, bo myśl z takim mozołem uciągnięta chlapie mu na boki, głos obija się o cembrowinę, już się wydaje, że upuści co nabrał, ale - nie! Udało się! Nie zmarnował się wysiłek przy wyciąganiu słów z kartki. Wszyscy, rzecz jasna, wstają, biją brawo. Myślę sobie, słusznie się brawa należą temu, co gadał. Ale patrzę, że ten, co gadał, też brawo bije. Komu on bije? Sobie bije? Nawet mi się to spodobało, bo ot! Zwykła ludzka próżność była w tym sobiebiciu. A potem zrozumiałem - nie sobie on przecież bije, ale tej pracy, co go przygięła do mównicy! Pracy rąk! I nie dziwno, bo zaraz jakiś robotnik na trybunę wychodzi. Ten jednak niczego nie ciągnie, tylko - zrywa. Głosem nieheblowanym słowa podważa - i grrrrrach! Rzuca na ziemię. A żeśmy się rozstąpić chcieli, bo jeszcze by w kogoś trafił! Równy, zdanie po zdaniu, jakby deski ze stodoły zrywał, tak jak to ze strykiem robili, kiedy mu stryku obiecał

te deski dać, żeby się miał czym na swoim pobudować. Robotnik na szczęście szybko się z robotą uwinął, a wtedy na podwyższenie wyszedł Fadiejew! No, ten się nie patyczkował, tylko od razu mocno cepem przywalił. Łupie paździerz, łupie rytmicznie, żeby tylko sensu odsłonić, i tym tykiem, ledwie odpaździerzonym, gadać. Młóci, młóci, lecą na ludzi słowa twarde, ostre jak drzazgi! Wszyscy stoją i nic! Ani okiem nie mrugną, bo strach, ale jak tylko nikt nie widzi - strząsają drzazgi z siebie.

- A co z tym słoniem?

- Ze słoniem, to dopiero było! Słoń jak wiadomo dwustronny jest, jak stanie, tak go widać. Dopóki stał, jak stał, to wszystko było dobrze, ale on nagle się obrócił i wszyscy zaczęli krzyczeć, a niektórzy nawet rzucili się do ucieczki, bo na drugim boku pokazał się wypalony ogniem wielki krzyż z połamanymi ramionami. Bo słoń, jak się później okazało, ulubieńcem był gauleitera Karla Hanke i na urodziny gauleiterowi został podarowany z wielką swastyką wypaloną na boku. Natenczas Fadiejew wyciągnął nagan i już chciał strzelić w głowę, tylko nie wiedział w czyją - słonia? Dia-Mata? Czy może w swoją własną? Nagle ktoś krzyknął, żeby do słonia nie strzelać, bo co będzie jak słoń

upadnie hakenkrojem do góry? Wtedy już żadna siła nie da rady go odwrócić. Co innego Dia-Mat. W Dia-Mata strzelić. A ktoś inny woła, żeby w ogóle nie strzelać, bo to wstyd przed gośćmi zaproszonymi z zagranicy, że wystarczy słoniowi na drugim boku wypalić sierp i młot i od tej strony patrzeć na niego. No, ale zaraz, ktoś inny zakrzyknął, że to prowokacja, bo ludzie powiedzą, że to dwie strony tego samego słonia.

I wtedy cud się wydarzył od Boga zesłany! Słoń spojrział na zebranych oczami mądrymi od starości - a byli tacy, co twierdzili, że łzy prawdziwe z oczu mu płynęły - i przemówił! - Językiem słoni?

- Nie, po francusku. „*Des habits de peau... L'ourlet d'une robe sans couture... Ne tailladez pas l'oeuvre de...*” - tak powiedział, co podobno znaczy: nie rańcie mojego ubrania ze skóry, mojej sukni nie szytej nie kalajcie! Czy jakoś tak.

I wtedy piorun strzelił w Picassa! Z tłumu wyskoczył i choć mały był, cały na słonię się rozcapierzył i słonia ciałem swoim - zasłonił! Krzyknął, że nie da słonia tknąć, bo słoń ten, co pięknem swoim ludziom służy, na polityce przecież wcale się nie zna i łatwo go wykorzystać, chociaż łeb ma wielki!

- Mógł się nie zgodzić, odmówić, boku nie nadstawiać w zamian za dobrą paszę - krzyknął Huxley, ale nie ten, tylko jego kuzyn od dzikich zwierząt.

- Na każdym innym mogli piętno swoje zostawić diabelskie! - Picasso wbił się oczami w Huxleya. - Na małpie, żółwiu, czy hienie, ale oni tego największego wybrali, bo ogryzki ich nie interesują!

Wyjął pędzel, i raz-dwa gołąbka maźnął na słoniu, gołąbka pokoju z gałązką oliwną w dziobie, bo Picasso akurat był w okresie „gołąbkowym” i wszędzie tymi gołąbkami srał.

Teraz Mieszko stoi sobie z prawdziwym pikasem na boku, a ludzie gapią się na niego, jak na obraz w muzeum. Fakt, że muzeum najgłówniejsze w stolicy już sobie zamówiło ten fragment Mieszka, który z Mieszka ma być wycięty po jego śmierci, a może i wcześniej.

- A Dia-Mat? Co z nim? Wyszedł z tego jakoś?

- Wyszedł, ale po paru latach. I bez skóry. Już skórą nie trzeszczy. Wrócił Dia-Mat na łajbę naszą rozkołysaną, co niejeden sztorm już przetrwała przycumowana w jednym miejscu, żeby łatwo było do niej trafić. Wrócił, od stolika do stolika między „żeglarzami” krążył, ale tak jakoś dziwnie stawiał kroki, jakby się zapadał - pflaf-pflaf-pflaf-pflaf! Bo

teraz wszyscy tak chodzą, odkąd mróz puścił i chlapa się zrobiła - „żeglarz” mrugnął do mnie jednym okiem.

Myślicie, że we Fregacie piło się tylko i rzygało? O, nie! Mieliśmy u nas filozofów upadłych, na dno rzeczywistości stoczonych, którzy nocami różne problemy pomagali nam rozplątywać swoim umysłem. I tak, od słowa do słowa, ustaliło we Fregacie kółko filozoficzne. Jak w każdej innej knajpie, tak i u nas, wisiał na sznurku zeszyt zapomniany z napisem „Książka skarg i zażaleń”. W zeszycie tym zapisywaliśmy swoje pytania i skargi do Wszechświata, bo do Nereidy, rzecz jasna, nikt żalu nie miał o nic! A nawet, jakby miał, to i tak by nie powiedział, bo to mateńka była nasza piersiasta, życiodajna i okrutna zarazem, co z lokalu potrafiła wyrzucić na zbitą mordę.

Sława naszych posiadów filozoficznych po mieście się rozeszła i tłumy zaczęły walić do Fregaty. Raz nawet pan Hugo Steinhaus przyszedł i Nereida wyciągnęła specjalnie dla niego ruski koniak i wytwornie mu polewała - dygając za każdą kolejką, jak uczennica.

Przychodzili tajniacy odwrócenie na drugą stronę, jak materia w sklepie H-nna. I dygnitarze partyjni, którym właśnie łuska spadała z oczu we Fregacie i trzeba ją było

wymiatać co dzień, tak chrzęściła pod nogami. Z rok to trwało, aż znowu mróz ścisnął, oczy nową łuską się pokryły i trzeba było zamknąć Fregatę dla obcych. Jednak myśli wolnej - jak Fregata Fregatą - nikomu jeszcze stłumić się nie udało, więc dyskusje swoje prowadziliśmy dalej w milczeniu. Ot, wchodzi ktoś obcy, patrzy, a tu dwóch siedzi sobie przystoliku, jeden naprzeciw drugiego, nic nie mówią, a obok nich, jak zwykle, flaszka i kieliszki, ale kto by się dobrze przyjrzał, od razu by zobaczył na stoliku nici równo rozciągnięte, grube, napięte, zdolne unieść najbardziej burzliwy spór - to była osnowa dyskusji. Na początek pierwszy z rozmówców, zapraszająco wątek zadzierzga i członkiem małym nić puszcza na drugi brzeg. Tamten, z drugiego brzegu stołu, watek ogląda, patrzy czy mu pasuje, a jak pasuje, to członek odpycha od siebie i „odpowiada” - swoim kolorem, swoją nicią, swoim rytmem. Czasem łódeczka z „odpowiedzią” pod powierzchnią znika, zdaje się, że już utonęła, a potem nagle - wyskakuje i mknie żwawo przez fale osnowy. Ręczna rozmowa nie zawsze spokojnie się toczy. Czasem jeden dociska, chce swój deseń narzucić, a drugi swoim wzorem mu odpowiada, i w całym tym bałaganie „rozmowa” im się urywa! Wtedy Bufetowa zabiera

ją i chowa na zapleczu, a po paru dniach wynosi, żeby ją interlokutorzy mogli dokończyć, bo zdarza się, że ktoś na trzeźwo w świetle dnia na utkaną „rozmowę” spojrzy i mówi - Tu jednak trzeba podpruć konkluzję, bo nie pasuje, a tam wstawić inny argument – i proszę! Już konsensus wdzięcznym kutasikiem kończy spór.

Niektóre rękodzieła wyszły bardzo piękne, więc Nereida ogłosiła konkurs na najładniejszy dialog. Powiesiła na ścianie pijackie gadki-szmatki i odbyło się głosowanie, a potem, owszem, ręczna dyskusja, ale nieładna całkiem, bo się paru pobiło, i przyjechała milicja, i kazała rękodzielne nawijki nasze zdjąć ze ściany. Zdjęliśmy.

Wszystkie.

Wszystkie, z wyjątkiem dwóch. Na oko i tak nikt by nie zgadł o czym były te dysputy szmaciane, tylko my, „żeglarze”, patrzyliśmy na nie ze smutkiem - a niejeden przy tym zapłakał! POWRÓZ i POMPON - tak się nazywały. Dwie rozmowy, o dwóch rodzajach ucisku.

POWRÓZ, to niewolnictwo widzialne. Przemoc prostacka i prymitywna, dotykalne pęta. Dobrze ukrecony powróż wrzyna się w skórę, zostawia ślady, które nigdy nie znikają, a każdy skręt powroza, to jedno zmiążdżone pokolenie.

**Każda rewolucja, rzecz jasna, obiecuje, że zniszczy powróż!
Że odkręci włókna, zwolni ucisk i uwolni wszystkich, których
od wieków miażdżył skręt. I – odkręca! Tylko, że nigdy nie
wie, kiedy się zatrzymać w tym odkręcaniu, bo żaden
moment nie jest dobry, wiadomo: rewolucyjna walka ciągle
trwa i poluzować strach, więc to, co miało być odkręcaniem,
na powrót staje się skręcaniem, tyle, że w drugą stronę.
W ten sposób każda rewolucja kręci sobie własny sznur.
Powróż ukręcony jest z nienawiści, ale najbardziej na
świecie powróż nienawidzi sam siebie! Powróż chciałby być
„babim latem”, latać w powietrzu, kleić się do policzków, jak
niewidzialna nić, którą strzepuje się ze śmiechem, ale cóż:
powróż jest niewolnikiem swojej skręconej natury.
Nienawidzi siebie tak mocno, jak to możliwe i próbuje
popęłnić samobójstwo: dosłownie dusi sam siebie! Ale nie
tak łatwo jest umrzeć, kiedy jesteś powrozem! Jak
powiedział mi kiedyś Z-jn
- Kiedy patrzysz na sznur i wisielca, to wiesz, że żaden z nich
już nie cierpi.
POMPON jest inny. Pompon to sama puszystość i miękkość.
Miła w dotyku frywolna nie-wolność. Miliony włókien,
choć ściśnięte w niewidzialnym centrum - falują**

swobodnie! Albowiem pompon ma powierzchnię i to „coś” w środku, co nigdy się nie objawia i w czego istnienie nikt nie wierzy: węzeł, który wszystko trzyma. Trzyma i nie chce puścić! Człowiek, ściśnięty od środka strachem, już nie pamięta, że się boi. Nie wie, gdzie jest ta pętla, która go zaciska, bo przecież tu, na powierzchni samotne włókienko wiruje i myśli, że jest wolne.

Wisiały perory nasze we Fregacie czas jakiś, aż ktoś mruknął, żeśmy wszyscy teraz w pompona zrobieni! A powróż, jaki był taki był, ale przynajmniej wiadomo było, że jest i gdzie go szukać. Więc Nereida zdjęła rozmowy ze ściany, a nowych nikt dotąd nie utkał.

Dia-Mat przychodził do Fregaty i opowiadał, że jest jakimś Marsjaszem! Że on, Dia-Mat, tak jak ten Marsjasz, polityką nigdy się nie interesował! Że owszem, coś tam wiedział - ale jakby nie-wiedział! I słyszał - ale jakby nie -słyszał! Wierzył - chociaż zupełnie nie wierzył! No i się bał. Dia-Mat jak Marsjasz, tylko grał na swojej fujarce, bo myślał, że o piękno się rozchodzi - o piękno myśli. Ale Słoneczko nasze, nasz Apollo z wąsami, ze skóry Marsjasza obłupił, a skórę jego powiesił na drzewie. Z zemsty, rzecz jasna! Bo wielkim artystą był Dia-Mat/Marsjasz !

- Kto z władzą zadziera, tego władza obdziera - płakał Dia-Mat.

- Sraty-taty! - syknęła Nereida. - O niczym nie wiedziałeś? Już my tu dobrze pamiętamy, jak na pokład Fregaty wchodziłeś na rozstawionych nogach i pierdziałeś na nas tą swoją skórą. A teraz jakimś Marsjanem się zasłaniasz. W końcu na tej swojej skórze się przejechałeś! Ja mówiłam: ubrania mściwe są!

Bufetowa, nasza matka jedyna, tak się wkurzyła za to gadanie, że wsadziła Dia-Mata do szatni. Sanepid kazał jej szatnię zaprowadzić we Fregacie, bo niby, że ubrania niebezpieczne są dla zdrowia i życia, i nie można ich razem z jedzeniem trzymać.

- Jakim jedzeniem? - zdziwiliśmy się wszyscy chórem.

Bufetowa spojrzała na nas krzywo i mówi, że takie zarządzenie przyszło, więc niech Dia-Mat, czy jak on się teraz nazywa, siedzi sobie w tej szatni i ubrania zabiera, bo akurat na tym zna się najlepiej.

Kiedy jesteś pusty, a na dodatek jesteś płaszczem - szukasz miejsca, gdzie możesz spotkać takich samych jak ty, wydrążonych z duszy, pozbawionych kształtu, o zapadniętych torsach i opadających ramionach, tych, którzy

zbierają się nocą, żeby odejść o świcie.

Szukasz szatni. Szatnia to pokątna rzeczywistość, tymczasowe zawieszenie broni i reguł, nocna bliskość wrogów. Ktoś wiszący pod numerem „dwadzieścia trzy” otwiera włochate wnętrze podbite starym futrem z nutrii i wabi nim kurtkę angielskiego lotnika z numeru dwudziestego drugiego. Cwana marynara „z unry”, w żółtą pepitę, nieoczekiwanie brata się z sybiracką szubą po przejściach. Szatnia, jednonocne spotkania, fraternizacja nie do powtórzenia w świetle dnia, zażyłość przypadkowa - albo i nie! W wiszącym tłumie, wtulam się w angielskie jesionki, kurtki z amerykańskiego demobilu, partyjne gabardyny, bikiniarskie żakiety. Zasypiam bezpieczny, bo nie mam swojego numeru, nikt się o mnie nie upomni, a nad ranem wyjdę, zanim ktokolwiek zdąży mnie zauważyć.

Dia-Mat, a właściwie znowu K-z, nie tylko przymyka oko na komunikację między kieszeniami, ale sam dyryguje nocnym ruchem: krążą paczki dolarów i złota, koperty z cennymi ampułkami, namiętne zaproszenia od pań i panów. Krążą podania i listy z prośbami, których nikt dotąd nie chciał wysłuchać, a którym teraz, być może, uda się im trafić do miłosiernej kieszeni. Szatnia to sen udręczonych - koryguje,

odpuszcza, luzuje to, co przykręcone w imadle dnia stało się nie do zniesienia. Bez szatni żaden świat by nie przetrwał. Władzolibny K-z zawiesza i przewiesza. Znow jest wielki, znow opiera się o ladę, jak w sklepie H-nna, a za nim w równych szeregach, ten sam materiałowy tłum. K-z ze wszystkiego potrafi wycisnąć choćby kroplę władzy! Nawet sparaliżowany, dowodziłby, rządził i kierował na przykład - dniami tygodnia.

- Nie pchać się, najpierw poniedziałek! Sobota na koniec kolejki! Czwartek - proszę się nie ośmieszać, a mnie nie obrażać! Niedziela, o, proszę tylko spojrzeć, jak niedziela pięknie się układa!

Teraz, w szatni, kłania się nisko przybyłemu gościowi, bierze od niego płaszcz i głęboko się namyśla: który numer przydać płaszczowi? Bo to rzecz wcale nie prosta. K-z ma numery dla wybranych, te od jednego do dziesięciu, ukryte dyskretnie z tyłu, gdzie przestrzeń między numerami jest większa, tak, że mieści się solidny drewniany wieszak. Tam, starannie i z namaszczeniem, K-z układa wybranych. Innych zawiesza na zwykłej tasiemce wszytej na górze pleców, a kiedy jej nie ma, ostro nabija kołnierz na hak, bo K-z, specjalista od materii, nieomylnie wyczuwa palcami przyszłość, wszystkie

zmiany zaczynają się tutaj, w szatni, wystarczy sprawdzić, jaki numer dostało się dzisiejszej nocy i już wiadomo! Szary prochowiec z popeliny nagle zajmuje numer drugi lub trzeci, a ten, co zawsze tam wisiał - znika i nikt nie może go znaleźć.

- O, jest!

K-z podnosi z podłogi bezkształtny kawał materii, dobrze już podeptany i z fałszywym uśmiechem mówi

- O, spadł!

Uderza weń otwartą dłonią, żeby strzepnąć kurz, ale ja wiem, że daje mu w pysk i trzeba wtedy widzieć minę właściciela! Jeśli ma trochę oleju w głowie - nie będzie dziś nocował w domu. Przypomniałem sobie, jak nieszczęsny Cremutius Cordus przewiesił w Senacie płaszcz Sejana, bo spadł (i jeszcze nadepnął go niechcący). Zginął potem Cremutius Cordus na rozkaz Sejana. Trzeba umieć, na wzór przesądnych Rzymian, wróżyć sobie z płaszców.

Kiedy szatnia jest pełna i nie ma wolnych miejsc, K-z rozsiada się i czyta nam, jak kiedyś w sklepie H-nna. Czasem rzuca cytaty i każe zgadywać, kto jest ich autorem.

Najciekawiej jest w te noce, kiedy wiszą obok siebie: Kurtka Hłaski, amerykańska, kupiona „na ciuchach za półtora koła”

(Hłasko mieszka teraz w B/W, na ulicy Borelowskiego i często wpada do Fregaty), oraz Tribon, płaszcz filozofów, zgrzebny, ale uczony wełniany paltot Hugo Steinhaus, który zagina kurtkę Hłaski na cytatach filozoficznych.

- A więc, zaczynamy! - K-z robi poważną minę. - Kto powiedział „Tylko kapelusze i płaszcze. Nic więcej.”

Tribon wie, rzecz jasna.

- Kartezjusz, kiedy wyglądając przez okno spodziewał się ujrzeć ludzi na paryskiej ulicy, a zobaczył tylko płaszcze i kapelusze.

Ubrania wierzchnie wyrażają podziw podszyty zdziwieniem, że tak wielką rolę odegrały w filozofii, tylko Kurtka Hłaski marszczy się obrażona, że niby, jak można zwykłego szofera filozofami po oczach dźgać!

K-z szybko wali z innej rury.

- A to? „Dusze dawno umarły, został tylko nieuchwytny dźwięk.”

- Gogol! Gogol!

Kurtka czeka na oklaski, bo niby zwykły szoferak, ale obzarty literaturą jak mało kto. Zwiśliśmy smętnie, bo z Kurtką zawsze tak jest! Nikomu nie daje wygrać - prymuska! Wierzch ma twardy, sznyt męski, wojskowy, a i tak wszyscy

wiedzą, że w środku mięciutka jest i ponad miarę wzdęta od pisarskich ambicji.

K-z dla odmiany szykuje damski cytat.

- „W całym jej stroju było coś śpiewnego“

Zamiast odpowiedzi, rozlega się szloch. To płacze

Moskiewska Jesionka. Głupio nam za K-za! Co mu strzeliło do głowy! Wszyscy w szatni wiedzą, że Jesionka, jak owa

Fantyna z „Nędzników“, w której stroju „było coś

śpiewnego“, zostawiła córkę u ludzi na wsi u chłopów i

dobrze im zapłaciła, a kiedy wróciła, córki nie było i nikt nie

wie, co się z nią stało. Jesionka-Fantyna wciąż jej szuka,

kartki na słupach rozlepia, („ma niebieskie oczka, proste

jasne włoski i dołeczki w policzkach, nazywa się Renia i umie

pacierz“), a nocami w szatni wpycha płaszczyznom do kieszeni

listy proszalne. Ciężko nam się zrobiło i czarno, bo każdy z

nas nosił w sobie tyle listów od Jesionki, że nazwano nas

„beznadziejnymi listonoszami“.

K-z szybko próbuje odwrócić swój błąd, jak kiedyś w sklepie

H-nna, kiedy odwracał materię na dobrą stronę ale nikt go

nie słucha - nastrój wklęsł. Nikt nie ma już ochoty na

zgadywanki. W końcu ja zabrałem głos.

- „Czytam tanie kryminały w hotelowym lobby czekając na

Williama Burroughsa. Przychodzi odstawiony w czarne gabardynowe palto..."

Coś się nie zgadza? Nie ten czas, nie to miejsce? Ha! Biedni ludzie! Wysupłują z wieczności jedną nić i muszą się nią zadowolić. Żyją jednokierunkowym życiem, podczas gdy ja przewlekam się w dowolne miejsce na drugim końcu świata, mogę być wszędzie, w każdym miejscu i każdym czasie. Nie ma żadnego „przedtem“, ani żadnego „potem“, to przywilej materii zwanej, nie wiadomo dlaczego – martwą! I proszę! Gdzieś na Manhattanie Patti Smith czyta kryminały i czeka – na mnie! Na czarne gabardynowe palto, w które odstawił się William Burroughs. Skąd się tam wziąłem? Czas jest opowieścią materii, materia dzieje czas, mogę z nim zrobić, co zechcę: wlec w nieskończoność sekundy a potem jednym haustem zagarnąć całe millenia. Tak powstaje „garb czasu“ - czy fizycy znają to pojęcie? Ja znam. To ciężki czas, który musisz taszczyć ze sobą, choćbyś nie chciał. Niepotrzebny nadmiar, który deformuje ci życie. Uciulane dni o rozmytym konturze, ugniecione tak ciasno, że wszystko przylega do siebie, siedmiostrunny tydzień właśnie się rozplótł: trzy kolejne piątki skleiły się ze sobą - stały się Wielkim Piątkiem, grubym jak powróż, czwartek podszyty jest

niedzielą sprzed dwóch lat, a wszystkie gorące dni stały się jednym dniem, tym pośrodku młodego lasu wyciętego w czworokąt, który nie był Kwartetem Haydna. Tylko Z-jn wiedziałyby, co z tym zrobić. Często myślę o Krawcu, bardzo mi go brakuje. Chciałbym znów powierzyć mu materię mojego życia, powiedzieć

- Przerób mi życie, bo tego już nie mogę nieść! Wytnij, co lepsze kawałki, zszyj od nowa - może ci wyjdzie coś ładnego? Coś małego, lecz dobrze skrojonego, co dobrze się układa.

A resztę spal!

Rano szatnia jest pusta. K-z sprawdza, czy wszystkie numerki są na swoim miejscu. Na koniec przygląda mi się, wygładza ręką moje plecy, szturcha i mówi

- No, idź już!

Idę, prosto w nerwowy blask miejskiego świtu.

Miasto B/W. Choroba dwubiegunowa: amok nowych osiedli i depresja starych dzielnic, podziurawionych kulami. Doktor Jekyll i pan Hyde trwają obok siebie, wściekli, że muszą dzielić się jednym ciałem! Ich wzajemna nienawiść widoczna jest na każdym rogu. Na wyszczerbionej powierzchni rośnie absurdalny wzór: szyny zamierzchłych linii tramwajowych przecinają chodniki i znikają w fasadach

domów; w parkach leżą nagrobne płyty, a nowe ulice, ledwie trzymają się śladów starych, pokrywając dawną fizjonomię Miasta stężalym grymasem apoplektyka. Jednym ruchem odwracam Miasto na drugą stronę - kto chce zobaczyć prawdę o Mieście B/W musi zajrzeć do środka! Pod powierzchnią, po drugiej stronie, jest inne miasto: rozumna sieć, inteligentna podziemna materia, utkana z elektrycznych kabli, gazowych rur, wodnych duktów. Prawdziwa strona Miasta B/W zachowała niewidzialność wobec politycznych zawirowań, i jak tajna policja dyskretnie obsługuje zmieniające się reżimy. Wodociągom jest wszystko jedno, nawet język, którym mówią. Samotny żeliwny hydrant w pikelhaubie z napisem *Vereinigte Armaturen Gessellschaft* dalej pełni swoją służbę, jak tajniak, któremu nikt nie powiedział, że wojna dawno się skończyła. Parowe serce zamknięte w Wieży Na Grobli tłoczy życiodajną wodę podziemnymi arteriami. Przed każdą z kamienic miejskie tętnice nagle zwężają się i kapilarami przenikają do mieszkań. Z tych mieszkań żyłne kanały zabiorą potem nieczystości do miejsca, gdzie w dole rzeki rozwiera się miejski anus. Uciekam pod skórę Miasta, rozplływam się w podziemnej czerni. Przez kamienistą

**membranę ulic sączą się dźwięki - słucham jak brzmi Miasto
B/W.**

**Dzień zaczyna się zgrzytem. Zgrzytają o bruk końskie
podkowy i koła wozów obite blachą. Z podmiejskich wsi
jedzie mleko w bańkach i białe sery, jak białe serca
wciśnięte w róg Inianej poszwy, przyciśnięte kamieniem,
odsączone z serwatki, żeby stwardniały przez noc. Jadą
pokątne kiełbasy z „bitych” świń, nieopierzone zwłoki kur,
gęsi i kaczek; jedzie „kartofla” sprzedawana na „metry” i jej
destylat przemycany w butelkach. Do zgrzytliwego
preludium dołączają tramwaje. Z wizgiem hamują na
przystanku, ktoś szarpie drewniane drzwi, żeby je przesunąć
- one też zgrzytają - a potem, kiedy wszyscy już wsiądą i
wysiądą, konduktor pociąga za sznurek wiszący nad jego
głową, dzwoni dzwonek, konduktor krzyczy
- Odjazd!**

**I tramwaj rusza z łomotem. Jeden przystanek - a tyle
dźwięków!**

**Kiedy przybywa dnia, metaliczny zgrzyt zamienia się w
warkot - to warczy „bajadera”, zbiera gnijące kopczyki
usypane z odpadków przed domami, bo nikt jeszcze nie
wymyślił kubłów na śmieci. Śmieciara „bajadera” miesza w**

swoim wnętrzu wszystko to, czego nie zjadły szczury.

Chciałbym opowiedzieć coś o szczurach, ale one nie brzmia.

Zresztą, o czym tu mówić? W B/W szczury są oczywiste,

zobaczyć je można wszędzie, nawet w nazwie miasta:

V-RAT-ISLAVIA. Powinny być w miejskim herbie, bo ani-

porzucone, ani-opuszczone, ani z tymi, ani z tamtymi, są

szczury niechcianym przez nikogo mieniem Miasta B/W.

Kiedy odjeżdża warcząca „bajadera“, zaczynają szumieć

brzozowe gałązki. Zamiatacze ulic miotłami zgarniają liście

do „japonek“ - taczek na dwóch kołach - nazwanych tak...

nie mam pojęcia dlaczego. A potem śmiech i tupot

dziecięcych trzewików. I coś brzęczy - to rowerowa „rawka“,

nigdy nie wiem, czy to dzieci pchają metalowe kółko, czy

może ono ciągnie je za sobą?

Po tej szumiąco-brzęczącej uwerturze, z całą siłą wybuch

symfoniczny szaberplac! *Vivace* drą się kury, świnie, gęsi i

gołębie, *con fuoco* kłóćą się sprzedawcy. U inwalidów w

trójkołowych wózkach towarzyska impreza nigdy się nie

kończy. Spod brezentowego przykrycia, sprzedają wódkę na

kieliszki, papierosy na sztuki, jakie kto chce: Mazury, Piast,

Wawel. Ktoś krzyczy

- Pijaaawek! Pijaaaaawek!

Skrzeczący głos zostanie tu na zawsze, chociaż zniknie starucha z butelką wody i czarnymi stworzeniami łapanymi w strumieniu. Zasypiam ukryty pod skórą miasta.

Wychodzę, kiedy zapada ciemność.

Miasto jest czarniejsze niż zwykle, bo od jakiegoś czasu w Mieście B/W brakuje prądu. Wcale mnie to nie martwi, pasujemy do siebie: czarne Miasto i ja, płaszcz z czarnej gabardyny. Do kompletu przydałaby się jeszcze kawa – oczywiście czarna. Ale kawy też brakuje. Żeby ją kupić trzeba mieć kartkę na żywność, jak za okupacji. Ja nie mam kartek, ubraniom, które nie mają duszy w środku, kartki nie przysługują. Nie tylko z tego powodu doskwiera mi pustka – ta „pustka krawiecka“, którą Krawiec specjalnie we mnie umieścił, która mnie dopełnia i bez której nie mógłbym stać się prawdziwym Płaszczem-Od-Z-jna. Wydrążony, wytrzewiony muszę sobie jakoś radzić, więc ostrożnie rozpinam nici ze światła i kurzu między połami płaszcza – ciemne wnętrze migocze obrazami, wybieram jakąś chwilę z przeszłości – zbliżenie – STOP! Jest! Adina, Ada, dla przyjaciół Dusza klęczy na środku Sklepu Mojżesza H-nna i dotyka mnie, a ja układam się w Jej dłoniach jak nigdy dotąd! Albo: Dusza patrzy na biały ekran, widzi mnie i woła: „Oto jest ten

którego szukałam!" I jeszcze jedna scena, kiedy leżymy razem za zasłonką, w Mieście po lewej stronie rzeczywistości, a ja, *en una noche oscura* - pewnej nocy ciemnej- układam dla Niej dobre sny, żeby choć przez chwilę mogła się uśmiechnąć. Montuję fragmenty rozbitego świata, zapętlam. Już Cię nie okrywam, tylko - odkrywam! Twój smak, zapach, barwę głosu, bo z tego, co mi zostawiłaś, mogę od nowa utkać Cię w swoim łonie. Znow nasycasz mnie Twoim istnieniem, znow jestem powierzchnią, która pochłonęła głębię.

Nie lubię rzucać się w oczy. Wchodzę, kiedy na sali gasną światła. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, ot, płaszcz porzucony na kinowym fotelu. Na ekranie - ubrania! Niezapomniane kreacje w głównych rolach, kradnące uwagę widzów. Jedne, podbite wiatrem, poruszają się z wdziękiem, inne suną dostojnie jak maszyny wojenne. Nieme filmy objawiły epifaniczny geniusz ubrań - nie muszą mówić, skoro w trójwymiarowej rewelacji na wskroś przebijają wszystkie znaczenia. Kiedy Zmęczona Śmierć pojawia się na ekranie, czas zamiera i gubi się w czarnych fałdach jej płaszcza - z tego płaszcza Parki wysupłują jedną nić, żeby ją ofiarować człowiekowi.

Niestety! Złota era niemych filmów trwała krótko, dźwięk zabił w ubraniach ich wyjątkowy talent, teraz mowa-dratwa zszywa słowami to, co zwykła jesionka wyraziłaby w jednym rozbłysku światła. Ubrania stały się tandetne, nieważne - teraz dialog, jak sznurek, wiąże fabułę. Zdegradowane okrycia chwytają resztkę uwagi widza, już tylko jako rekwizyt, nie aktor! Jednak dla mnie nic się nie zmieniło - wciąż rozpoznaję ubrania dobre i złe, ich sekrety, których nikt inny nawet się nie domyśla. Oto idzie wytworna Dyplomatka o trzech kanonicznych kieszeniach, płaszcz zbyt doskonały, żeby nie budzić lęku. Klapy ma rozłożone jak okładki Księgi na ołtarzu.

- Purytańska *sola scriptura* - myślę. - Klapy nigdy nie kłamią. A poza tym ma rewolwer! Dyplomatka prowadzi Damską Pelerynę podbitą atłasem. Peleryny zawsze okrywają niewygodną tajemnicę, a ta - ho! ho! Ta ma wyjątkowo dużo do ukrycia. Nagle zza rogu wychodzi grubo tkany pocziwiec, szczerza kacabają szczyry szwy i jednym ruchem demaskuje Dyplomatkę, zabiera jej rewolwer, ratuje Pelerynę i żeni się z nią. Będą żyli długo i nieszczęśliwie! Znam ciąg dalszy, wynika z kroju: ci dwoje nie pasują do siebie, on zawsze będzie gardził Peleryną, bo jego proporcje

są zbyt proste, żadne Złote Cięcie, tylko podmiejski sznyt i twardość rozumowania. A Peleryna, jak nieszczęśliwa pani Bovary, będzie falować na podejrzanym balach, aż w końcu się zabije.

Czemu ciągle wracam do źródła, do miejsca, gdzie światło dotyka materii? Bo mam nadzieję, że któregoś dnia Dusza pojawi się ekranie. Będzie całkiem naga, wyciągnie do mnie rękę, powie: CHODŹ! Wtedy ja uniosę się z fotela i popłynę do Niej migotliwą rzeką z kurzu i światła, która sączy się z projektora. Dusza chwyci mnie za ramiona, wtuli we mnie twarz, a potem wypełni mnie czymś dawno zapomnianym - miłością i zachwytem! Tak odnalezieni odejdziemy razem w mglistą noc Casablanki, a na moich plecach pojawi się napis

KONIEC

Byłem przekonany, że ubrania bezpowrotnie zeszły ze sceny, że już nigdy nie wystąpią w gwiazdorskiej obsadzie, jak niegdyś, w czasach filmu niemego. I oto nagle stałem się świadkiem cudu: filmy „noir”, czarne kryminały, z niejasnego powodu przywróciły ubraniom należne im miejsce. Znowm mogłem oglądać płaszcze w oszałamiających kreacjach, płaszcze zawłaszczające ekran, kradnące

aktorom zachwył widzów. „Tylko płaszcze i kapelusze, nic więcej” - tak o tych filmach powiedziała by Karterjusz. Ach, gdyby tylko mógł zobaczyć Płaszcz, który trzymając w mocnym uścisku Waltera Neffa, zmusza go do wyznania zbrodni! Jak przewieszony przez jedno ramię, nie pozwala mu uciec do Meksyku! Bo w „Podwójnym ubezpieczeniu” wszystko jest takie komiczne: krowi róg dyktafonu, któremu zwierza się Neff, idiotyczna kamizelka Edwarda G. Robinsona, i ta idiotyczna blond rurka z włosów nad czołem Barbary Stanwyck - a i sama Stanwyck, mówiąc szczerze, tyle ma w sobie seksapilu, co „gacie hutnika po nocnej zmianie”, jak by powiedział scenarzysta tego filmu, Raymond Chandler. W tym filmie wszystko mnie śmieszy - wszystko, ale nie on! Nie Płaszcz Neffa! On jeden nie zestarzał się, nie wyszedł z mody - i ogarnął swoimi połami całą fabułę.

- A płaszcz Holly'ego Martinsa?

- Boże! Omal nie zemdlałem, kiedy go zobaczyłem! Był na ekranie kilka sekund, a do dziś nie mogę go zapomnieć! Całym sobą, od kołnierza po najbardziej odległy brzóg, krzyczał „ochronię cię, Anno!” A ona go odrzuciła! Upokorzony, zsunął się powoli z pleców Alidy Valli na

podłogę – za tę jedną scenę powinien dostać Oscara. Nie mam pojęcia, dlaczego ona go nie chciała?

- Czego nie rozumiesz? Był płaszczem Judasza! Holly Martins zdradził przyjaciela i dlatego jego płaszcz musiał zostać przez Annę podeptany!

- Ale Harry Lime był złoczyńcą! Rozcieńczył penicylinę, a płaszcz Martinsa był dobry, chciał ochronić Annę przed złą miłością! Gdyby go ubrała - byłaby ocalona!

- Kobiety czasem wolą facetów, którzy rozcieńczają penicylinę. A poza tym... ubranie nigdy nikogo nie ocali. Zamieram. Czy mi się zdaje? Czy ktoś ze mną rozmawia?

- Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć. Uważam, że okrycia wierzchnie mogą... czasem... uratować ludzkość. Na przykład... Na przykład... o, już wiem! Peleryna Supermana!

- Co jest, kurwa? Klub dyskusyjny? Cicho tam, do cholery! Głowy wokół mnie chwieją się we wszystkie strony, jakby wiatr zakręcił polem słoneczników - a więc niczego nie wymyśliłem, naprawdę z kimś rozmawiam!

Z kim?

Obok mnie siedzi dziewczyna o ciemnych włosach i brązowych oczach. Dziewczyna naglenosi się z fotela - zaraz? Skądś znam to unoszenie!. Dziewczyna mówi, że musi

iść.

- Zostań!

- Sama nie wiem...

Grypsera, to bezwarunkowy zakaz używania pewnych słów. Wiedzieliście? Grypsera to ścinki mowy. *Szmu-język*. Każdy człowiek ma swoją grypserę: słowa napiętnowane, wykluczone ze świata, słowa-banici, nieodwołalnym wyrokiem skazane na dożywotnie zapomnienie, zamknięte w więzieniu o grubych murach, żeby nie mogły uciec, dopaść nas i – zabić! Czas przeszły poraniony wykroił z mojej pamięci całe zdania. Te najbardziej bolesne, sam wyciąłem bez znieczulenia. Właśnie tak - tniesz, wycinasz, wyrzynasz to, co w tobie najmiętsze, najbardziej bolesne, a kiedy pojawi się nieczuła blizna, mnóstwo blizn, kiedy już nic nie czujesz – to znak, że już ją masz: swoją własną grypserę. W Mieście B/W czułem się bezpieczny. B/W to zrośnięta blizna. Wiele słów nie przeżyło wojny, nikt tu nie pali tytoniu przedniego tureckiego w bibułkach Herbewo, nic nie kojarzy mi się z przeszłością - prawdziwy Nowy Świat odkryty przez żeglarzy płynących ciągle na zachód! Fałszywe Indie. Jednak wciąż jestem czujny! Miasto jest moim labiryntem, jak szczur wężę, kluczę, omijam miejsca skażone trującą

pamięcią. I nagle - proszę! Niewidzialni zabójcy zaczęli się w ciemnościach kinowej sali! „Sama nie wiem...”

„Sama nie wiem...” - mówi Dziewczyna. I wychodzi.

Wlokę się za nią jak cień, który nie znika, gdy zapada zmrok.

W mieście B/W nie brakuje wody.

Są rzeki duże i rzeki małe. Są rzeki w różnym wieku. Jest Stara Rzeka, nieruchliwa, ospała, nawykła do swojego koryta i Nowa Rzeka, płynąca dziarsko w świat nowym łożyskiem. I są pożyteczne kanały mielące mąkę w młynach, i te które, już nie pamiętają do czego służą. W B/W zawsze można znaleźć jakiś kawałek rzecznoego brzegu, więc jak prawdziwi kinomani siedzimy nad błyszczącą taśmą z czarnego celulooidu, patrzymy jak przesuwa się przed naszymi oczami, chłoniemy jej chemiczny odór. Jak w prawdziwym kinie, dookoła panuje ciemność, a Księżyc nie jest Księżycem, tylko chwytem montażowym - jasny kontur zaraz się rozszerzy, niebo pojaśnieje i pojawią się gwiazdy filmowe: ubrania, doskonale obsadzone w swoich rolach, pewne siebie, wyraziste.

- Palisz?

- Mam swoje nałogi, jak każdy normalny płaszcz.

Dziewczyna wyjmuję papierosa z paczki, ale go nie zapala

tylko ugniata palcami, żeby wykruszyć ze środka tytoniowe wnętrzności. Potem puste papierowe ciało napełnia ostrożnie czymś, co trzyma w małym woreczku - nie mam pojęcia, co to takiego, lecz skoro tak pieczołowicie zgarnia każdy okruch, że to musi być jakiś skarb! Dziewczyna zapala papierosa, zaciąga się i - nieruchomieje. Ma zamknięte oczy - chyba próbuje sobie coś przypomnieć.

Mijają sekundy, zaczynam się niepokoić, bo Dziewczyna nie oddycha! Po chwili jednak przykłada usta do moich pleców i... wydmuchuje dym! Na wszechgabardynowy kosmos! Dusza nigdy tak nie robiła... Chłonę ten dziwny rodzaj bliskości całą powierzchnią swojego ciała. Zawsze byłem czyimś odbiciem! Jeśli coś przytrafiało się duszy, przytrafiało się i mnie, tak jak obrusowi przytrafiają się plamy z obiadu, który zjada ktoś inny, lecz ta Dziewczyna jest inna, traktuje mnie jak partnera i dzieli się ze mną swoim drogocennym dymem! Nie mam pojęcia, co robić, więc na wszelki wypadek zachowuję się jak ta, która siedzi obok: rozdymam tors, napinam się - i zastygam. Chyba wyglądam jak własny pomnik.

- Wyluzuj! - Dziewczyna aż dusi się ze śmiechu. - Wyglądasz jak własny pomnik.

Wypuszczam dym dziurkami od guzików.

- „Boski przywilej, jeden z niewielu, którymi się z nami podzielił!” - mówię. Dusza najwyraźniej siedzi między nami, drży w powietrzu, w słowach, które przywołałem.

- Skąd wiesz?

- Tak mówiła ta, na którą byłem krojony.

- Co się z nią stało?

- On... chciał Ją poczuć w sobie. I tak mocno się Nią zaciągnął, tak się sztachnął, że zakręciło Mu się w głowie! Jednym haustem wypalił Ją do końca, strzepnął popiół i... umarł. Z rozpaczy.

- Masz nadzieję, że Ona wróci?

- Wróci!

- To niemożliwe, dobrze o tym wiesz.

- Czemu?

- Prawdziwy świat tak nie działa.

- To niechać go! Niechać prawdziwy świat! Niechać jednokierunkowy zamordyzm, gdzie najpierw jest początek, a potem koniec, a skutki, nie wiadomo dlaczego, wloką się za przyczynami! Gdzie zawsze musisz wybrać: albo-albo, to-lub-tamto! A przecież między „tak” i „nie”, między prawdą i fałszem, jest jeszcze coś: Trzecie Miejsce, o którym wszyscy

marzą! Miejsce, gdzie za niczym się nie tęskni, bo nic nie zostało utracone, tylko ukryte w plisach i zakładkach, a zły los można odwrócić na dobrą stronę jednym ruchem.

W dobrze utkanej fabule wszystko jest możliwe! Można być w dwóch miejscach naraz, albo w trzech! Można przewlec się na drugą stronę przez warstwy czasu i w hotelowym lobby razem Patti Smith czekać na Burroughsa, który przychodzi odstawiony w czarne gabardynowe palto.

////////////////////////////////////// Dawno temu leżałem na półce w Sklepie H-nna, jeszcze nierozpostarty, niezmierny, nieskończony i tak cudownie możliwy. Moje ścinki, szmu, wciąż były ze mną – byłem cały i niepodzielny! A potem dotknęły mnie nożyce Z-jna i płaszcz stał się moim losem. Dlatego muszę wrócić do początku, odnaleźć to miejsce, ten jeden punkt, w którym sierpniowy dzień przecina się ze sklepem bławatnym Mojżesza H-nna, wbić pierwszą sylabę, wyszarpnąć wątek, wypruć słowa, jedno po drugim, jak nić. Im więcej nici, tym więcej nicości, więc będę snuł tę pustkę, dalej, dalej! Aż opowieść, która jest płaszczem, nigdy się nie zacznie! Zobaczcie! Ten ślad po słowach – to ja! Płaszcz-samoprójca. Wymknąłem się osnowie i jestem wolny. Znowu mogę być wszystkim i

wszędzie, mostem Brooklińskim, albo mosiężną trąbką, lub widelcem, a może kamizelką ciotki P-u, która mieszka w Karpatach? A właściwie mostem / trąbką / kamizelką / ciotką / i Karpatami / i stacją metra Miserere w Buenos Aires.

W powietrzu jeszcze przez chwilę unosi się mój skośny wzór, jak uśmiech Kota z Cheshire.

I już mnie nie ma.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ I OSTATNIEJ